W NUMERZE ŚPIEWNIK PATRIOTYCZNY

WYDANIE SPECJALNE NA 100-lecie ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 45 (310) 2018
5–11 listopada
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

MARSZAŁEK DO POLAKÓW:

MIŁUJCIE POLSKĘ STRZEŻCIE SIĘ AGENTUR!

CO JÓZEF PIŁSUDSKI POWIEDZIAŁBY NAM DZISIAJ? WYJĄTKOWY „WYWIAD" GRZEGORZA GÓRNEGO Z KOMENDANTEM

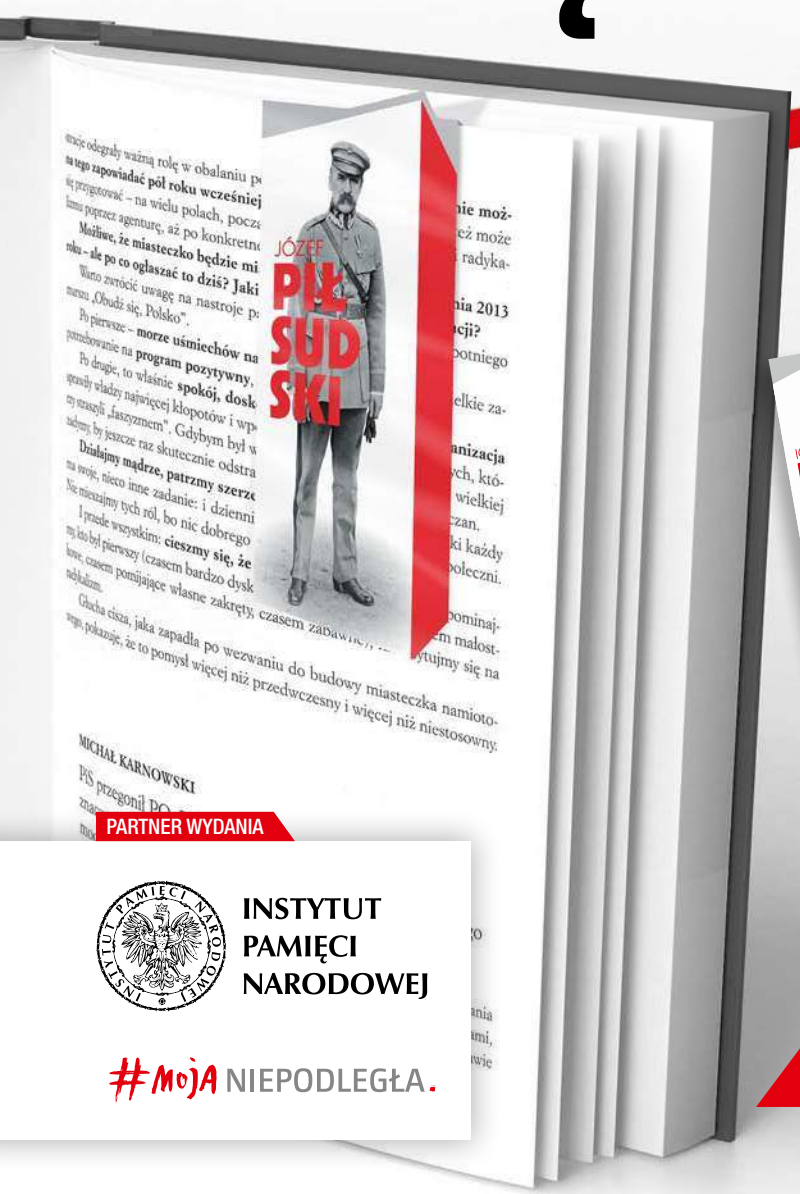
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl e3b98bc95b

12 LISTOPADA W TYGODNIKU SIECI

z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę Niepodległości

Magnetyczna zakładka do książki w prezencie!





Ojcowie Niepodległości:

- *Piłsudski*
- *Daszyński*
- *Witos*
- *Korfanty*
- *Dmowski*
- *Paderewski*

KUP TYGODNIK SIECI Z WYBRANĄ ZAKŁADKĄ LUB ZBIERZ CAŁĄ KOLEKCJĘ

PARTNER WYDANIA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

#MOJA NIEPODLEGŁA.

eprasa.pl e3b98bc95b

Instytucje!

W jakiej kondycji polski obóz niepodległościowy (to nazwa uprawniona, bo jest silne stronnictwo uległości) przejdzie przez tę wielką rocznicę? Nie chodzi mi o słupki poparcia, ale o zasoby instytucjonalne, które decydują o politycznej sile. I tu odpowiedź jest złożona. Bo z jednej strony ma uznawane powszechnie przywództwo, organizację polityczną, program, kadry i zaplecze intelektualne. Dzięki sprawnemu działaniu zdołał uzyskać w roku 2015 wpływ na sprawy polskie. Ostatnie wybory potwierdziły poparcie wśród Polaków. Ma zatem bardzo dużo, więcej niż kiedykolwiek od 1939 r. Z drugiej jednak strony jego struktury są wciąż słabsze niż przeciwnika. I niestety, w odróżnieniu np. od Węgier, rosną wolno.

Cytowany w tym numerze marszałek Piłsudski też narzekał na niezrozumienie tej sprawy: „Polacy nie są zorganizowanym narodem, wobec czego znaczy u nich więcej nastrój niż rozumowanie i argumenty; sztuką rządzenia Polakami jest zatem wzniecanie odpowiednich nastrojów".

Kiedy zatem dziś się zastanawiam, czego możemy za dekadę żałować, to dochodzę do wniosku, że właśnie zaniechania budowania trwałych instytucji. Tych społecznych (nawet kilka zorganizowanych osób ma znaczenie) i tych, które wzmacniają zaplecze polityczne – od fundacji przez media. Tym bardziej że stronnictwo uległości może liczyć na miliony z zagranicy.

Trzeba zatem działać – niech to będzie naszym rocznicowym zobowiązaniem.

Michał Karnowski

Sposób na leminga

Po bolesnej porażce w metropoliach na prawicy znów wróciło pytanie: czy lemingi da się przekonać do poparcia PiS? Odpowiedź jest oczywista: na pewno nie w ciągu roku, który pozostał do wyborów. To są postawy, które nawarstwiały się od wielu lat i które zeszły już na poziom kulturowych atawizmów. Skoro dotychczasowe zabiegi – czy to w postaci „wielkomiejskiej" kampanii Jakiego, czy pragmatyzmu szefa rządu – przyniosły tak skromne wyniki, to żadne zabiegi wiele nie pomogą.

Kusząca myśl o jakimś skokowym, cudownym zwiększeniu poparcia w wielkich miastach nie powinna przesłonić sprawy podstawowej: nawet przy pełnej mobilizacji lemingów PiS może wywalczyć reelekcję dzięki maksymalizacji poparcia na prowincji oraz w miastach średnich. I to właśnie powinno być podstawą każdej analizy. Bo, owszem, mają rację ci, którzy wskazują, że na dłuższą metę bez częściowego oparcia w metropoliach PiS grozi powrót do roli „partii obciachu", ale trzeba mieć świadomość, iż to zadanie na lata. Dziś jakakolwiek próba gwałtownego skrętu ku tzw. centrum zabrzmi fałszywie i przyniesie, być może, wyłącznie straty na zapleczu.

Kandydaci PiS na prezydentów w wielkich miastach zgodnie mówią o wyraźnym związku między dobrymi notowaniami PiS i dobrą atmosferą w kraju a ich osobistymi notowaniami. To jest, można sądzić, jedyna droga do przekroczenia w wyborach parlamentarnych poziomu 20–30 proc. w wielkich miastach, czyli progu, który dziś wydaje się mieć charakter strukturalny.

Jacek Karnowski



Autopromocja

Fot. Julia Szewczyk

eprasa.pl e3b98bc95b

SIECI spis treści



58 *Premier T.eoretyczny*
Marek Pyza, Marcin Wikło



76 Turbulencje w LOT
Konrad Kołodziejski



107-116 Polacy, którzy zmienili świat
odc. IX

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

9 **RUNDKA W CIEMNO**
Krzysztof Feusette

10 **AFERZYŚCI WOLĄ METROPOLIE**
Jan Pietrzak

11 **EUROPEJSKI MŁOT SĄDOWNICZY**
Bronisław Wildstein

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **SUKCES IDEI PAŃSTWA SOLIDARNEGO**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

100-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI

20 **Z JÓZEFEM PIŁSUDSKIM**
rozmawia Grzegorz Górny

24 **PORTRET NASZEJ NIEPODLEGŁOŚCI**
Marcin Wikło

30 **CENA WOLNOŚCI, CENA NIEWOLI**
Grzegorz Górny

32 **GEN WALKI W IMIĘ BOGA**
Marcin Wikło

34 **DRUGA POŁOWA NIEPODLEGŁOŚCI**
Maciej Pawlicki

36 **RODZINA MUSI MIEĆ PRZYSZŁOŚĆ**
Dorota Łosiewicz

38 **NA WSCHÓD GRANICĘ DAJ SĄSIEDZKĄ...**
Piotr Skwieciński

40 **WOLNOŚĆ NA ZGLISZCZACH**
Konrad Kołodziejski

46 **ZMAGANIA O TERYTORIUM**
Piotr Skwieciński

KRAJ

54 **PREMIER T.EORETYCZNY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

58 **Z TOMASZEM PORĘBĄ**
rozmawia Jacek Karnowski

64 **KRAJOBRAZ PO BITWIE**
Stanisław Janecki

67 **TAM, GDZIE PiS WZIĘŁO W WYBORACH WSZYSTKO**
Jaromir Kwiatkowski

71 **Z PIOTREM GUZIAŁEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

76 **TURBULENCJE W LOT**
Konrad Kołodziejski

SIECI KULTURY

79 **HISTORIA Z KOBIECEJ PERSPEKTYWY**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

84 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

86 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

88 **MORDERSTWO, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁO POLITYKĄ**
Jan Rokita

91 **Z ROBINEM ALEXANDREM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

104 **BUDŻET SIĘ NIE ROZJEŻDŻA**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

118 **MOJE SMAKI: MATTEO BRUNETTI**
Jolanta Gajda-Zadworna

119 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

120 **JUŻ NIE POTRAFIMY**
Piotr Skwieciński

122 **JESZCZE O PIERWSZEJ TURZE**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **ZOSTAŁA NAM WSPÓLNOTA CMENTARZY**
Aleksander Nalaskowski

125 **PiS PRZEGRAŁO ANKIETĘ**
Wiktor Świetlik

126 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

128 **MARSZ Z PRZESZKODAMI**
Ryszard Makowski

129 **POLONEZ LISTOPADOWY**
Leszek Długosz

130 **DWA MARSZE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

1/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b



Daj się pokazać z jak najlepszej strony.

www.dobrzeciewidziec.org

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Sygnalista nadaje

Najnowsza diagnoza wyborów w PiS jest taka: wybory były wielkim sukcesem (bo były), ale mogły być jednak większym i coś trzeba zmienić. Ale co? Dużo czy mało? Szybko czy na raty? O to dziś toczy się gra. Decyzje zapadną w okolicach przełomu listopada i grudnia. W każdym razie w niektórych rejonach PiS zrobiło się nagle bardziej nerwowo niż w czasie kampanii. A to dopiero początek procesu analitycznego CODP (Centralnego Ośrodka Dyspozycji Politycznej).

Ciekawy znak czasu: kiedyś nikt by się nie wychylił, by zaprotestować przeciwko tym nikczemnikom, którzy w mediach liberalnych i lewicowych ryją przeciwko zdrowej tkance partii, sprzedając największe tajemnice za srebrniki. Po prostu się ich bano, bo mogli zamordować każdego, a wielu zamordowali. A teraz strach wyraźnie mniejszy i już się mówi o niecnym procederze całkiem otwarcie. Ileż oni prawicowej krwi zmarnowali!

Niestety, wciąż nie ma chętnych, by powiedzieć „dość!" niemieckim i krajowym brukowcom, które za cel wzięły sobie polityczne uśmiercenie Beaty Szydło. To już zaczyna być także zabawne: tyle razy ogłosili, że była premier upadła, że nic nie znaczy, a naród przestał ją kochać, a tymczasem po miesiącu okazuje się, że muszą zaczynać robotę od nowa. Obecna fala ataków nie jest przypadkowa i wiąże się ze wspomnianą wyżej nerwowością. Patrzmy uważnie, kogo atakują.

Ostro atakowano ***Kurskiego***, wysyłając go do Brukseli. Pomysł był taki: jeśli wyrzucimy Kurę i otworzymy TVP na debatę z opozycją, to przekonamy do siebie wielkie miasta i centrum. Pomysł wyjątkowo głupi, ale i głupsze już wdrażano, więc wszystko było możliwe. Na szczęście pewien mądry człowiek zwrócił uwagę, że przerabianie TVP na drugi Polsat nie ma żadnego sensu, bo jeden Polsat już jest. To dlatego TVP zostanie sobą.

Wspomniani Niemcy sączą tymczasem tezę, że Polsat jest już pisowski i w ogóle służy władzy. Problem w tym, że to, delikatnie mówiąc, nie całkiem prawda, wystarczy włączyć i zobaczyć. Ale ciekawe jest co innego: otóż niemieckie media nie tyle opisują, ile mszczą się na Polsacie. Za co? Ano za to, że nie tak dawno temu jego właściciele nie zgodzili się na sprzedaż swojej własności zachodnim przyjaciołom. I chwała Bogu, że się nie zgodzili.

Niemcy, wszędzie Niemcy. Sporo się mówi, że za konfliktem w LOT stoją potężne agencje piarowskie, podnajęte przez tych, dla których podniesienie z upadku polskiego przewoźnika było prawdziwym pechem. Bo ten rynek już dawno wpisano do wieloletnich strategii rozwojowych. A tu jeszcze ci bezczelni Polacy chcą budować wielki port lotniczy. W tej sytuacji nie może dziwić, że LOT-owskich strajkujących mocno wspierają posłowie PO z Ewą Kopacz na czele.

No to jeszcze jedna ciekawa wiadomość z Berlina. W czasie ostatniej wizyty w Berlinie Angela Merkel podpytywała prezydenta Andrzeja Dudę, co tam słychać u Trumpa, bo ona sama nie bardzo ma bezpośredni kontakt. To przewrót kopernikański, bo przed Trumpem było

Trzecioklasiści to dzieci, ale na swojego rzecznika będą musieli jeszcze poczekać. Agnieszka Dudzińska najpierw przepadła w Sejmie, a teraz w Senacie, i słusznie uznała, że ma dość. Dlaczego ni z tego, ni z owego senatorowie PiS co do jednego zagłosowali przeciw? Bo na Nowogrodzką dotarły wieści, że pani Dudzińska nie tylko nie jest tak prawicowa, jak się wydawało, ale także raczej nie będzie można na nią liczyć w procesie konsolidacji państwa. Pierwszy feler pewnie by przebolano, ale drugiego nie można było zaakceptować.

eprasa.pl e3b98bc95b

tak: nasi jadą do Waszyngtonu i o coś proszą. A Amerykanie na to: a u Niemców już byliście, pytaliście?

Ale Niemcy mają też sukcesy. Red. Warzecha odwiedził Niemcy, został godnie przyjęty i wreszcie dostrzegł wspaniały obiektywizm niemieckiego rynku medialnego oraz jego wysokie standardy. Orzekł więc, że nasz zachodni sąsiad to kraj „konsensusu i obsesji obiektywizmu", a w głośnej sprawie przemilczenia gwałtów w Kolonii „system się zawiesił", bo „było to coś wykraczającego poza system". W tej sprawie może i się zawiesił, ale w sferze kooptacji działa doskonale już od setek lat.



Z jednej strony Niemcy, z drugiej Rosja. Rosjanie są na wschodzie, ale i na południu. Słowacy i Czesi w dużej części kibicują Kremlowi, a Węgrzy już chyba się ze swego romansu z Moskwą nie wyplączą. Zostają nam Rumuni, jedyny obok nas naród w tej części świata, który naprawdę rozumie Rosję i tak jak my się jej obawia. Szkoda tylko, że rządzą tam postkomunistyczne łobuzy spod ciemnej gwiazdy.

Ciekawa informacja z pewnej podwarszawskiej szkoły. Otóż jedna z nauczycielek katuje tam trzecioklasistów niewiarygodnie wielkimi porcjami zadań domowych. Dzieciaki niedosypiają, nie mają czasu na normalne dzieciństwo, mają wszystkiego dość, a i rodzice udręczeni. Na zebraniu podnieśli bunt. Co na to pani nauczycielka? Odpowiedziała, że to... wina rządu i reformy edukacji. Na uwagę, że w sąsiedniej gminie uczniowie klas trzecich mają normalne życie, pani nie umiała odpowiedzieć. Ilu takich nauczycieli ryje pod rządem?



W sprawie sądownictwa szykuje się punktowy odwrót na z góry zaplanowane pozycje. Jeśli PiS chce wygrać wybory, teraz dalej brnąć nie może. Już jest za późno. Zanim jednak to ogłoszą, opinię publiczną katowano publiczną dysputą w sprawie wniosku Ministerstwa Sprawiedliwości do Trybunału Konstytucyjnego z pytaniem o kompetencje TSUE. MSZ najpierw napisało, że wniosek jest bez sensu, a niedługo później i premier, i minister Czaputowicz przekonywali, że wniosek jest świetny. Rozgrywka musiała być ciekawa, ale takie zabawy naprawdę słono kosztują.



Wyjaśniło się, dlaczego w czasie kampanii sztab Rafała Trzaskowskiego ukrywał małżonkę kandydata. W pierwszym wywiadzie pani Małgorzata poskarżyła się na Kościół, który „nie zdał egzaminu, gdy PiS atakował sądy czy prawa kobiet, gdy protestowali niepełnosprawni". Dlatego pierwsza dama stolicy nie posłała swojego syna do Pierwszej Komunii, a dzieci już nie chodzą na lekcje religii. Na pewno zostaną starannie wykształcone i odniosą sukces, ale czy pójdą do nieba?

Pani Trzaskowska dodała: „Widzę też, że wielu znajomych wokół nas zerwało relacje z Kościołem. A ci, którzy je utrzymują, robią to często tylko z powodu presji starszego pokolenia. Kościół musi się zreformować i wrócić do źródeł". Jak wiadomo, zreformowane zachodnie kościoły są pełne Trzaskowskich, którzy wrócili po okresie zniesmaczenia konserwatystami. I tylko z nieznanych powodów świątynie albo się wyburza, albo zamienia na mieszkania, albo przerabia na meczety.

Paweł Kukiz potwierdził opinię, że muzyk rockowy może w polityce błysnąć jedynie na chwilę. Nie szło mu od dawna, ale słaby wynik w wyborach samorządowych wymagał odreagowania. Pewnie dlatego w czasie nocnej imprezy Kukiz „utracił kontrolę nad swoim kontem na tweeterze", co oznacza, że nie tylko zbluzgał kolegów, lecz i pokazał dość mroczną stronę własnej osobowości. Paradoksalnie, to chyba wszystkim wyjdzie na dobre, bo po tym, co się wylało, widać wyraźnie, jak bardzo oni wszyscy się już z sobą męczyli. Takie sprawy trzeba załatwiać po chrześcijańsku: szybko, szczerze i radykalnie. Tak po rockowemu.

Ze szczerości słyną od lat politycy Nowoczesnej. Niczym podlotki mówią, co im ślina na język przyniesie. Partię już wykończyli, ale ani myślą się zatrzymać. ***Katarzyna Lubnauer*** tak oto przeanalizowała wyniki wyborów: „Jeżeli spojrzymy, gdzie wygrał PiS, to trzeba sprawdzać, czy nie ma tam ograniczeń cywilizacyjnych". Może warto zacząć od edukacji? Bo w Polsce rzeczywiście są szkoły, i to wyższe, które wypuszczają z dyplomami ludzi albo niedouczonych, albo wykształconych niechlujnie. I idą potem tacy w świat, budują partie i mieszają ludziom w głowach.

Petru i Kukiz, czyli ludzie, którzy trzy lata temu wprowadzili nowe projekty do Sejmu, są już solidarnie niemal na dnie. Obaj snują wizje nowych projektów politycznych. Teoretycznie większe szanse ma Petru, bo choć skarży się, czego ludzie nie lubią („Czuję się oszukany przez ludzi, którym ufałem, i których wprowadziłem do polityki"), to przynajmniej deklaruje, że wyciągnął wnioski („Teraz wiem, na co uważać, jakich błędów nie powtórzyć i jak ważni są ludzie, którym można ufać"). Problem w tym, że i sam Petru zawiódł zaufanie. Może gdyby obaj liderzy połączyli siły, coś by z tego wyszło? W końcu czescy „Sąsiedzi" tworzyli całkiem ciekawe konstrukcje.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl e3b98bc95b

SPRAWDŹ, DLACZEGO KATOWICE ZOSTAŁY GOSPODARZEM
SZCZYTU KLIMATYCZNEGO ONZ (COP24)

COP24·KATOWICE 2018
KONFERENCJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
W SPRAWIE ZMIAN KLIMATU



KATOWICE – SMART CITY W SŁUŻBIE MIESZKAŃCÓW

W Katowicach, w coraz większym zakresie, wykorzystywane są nowoczesne technologie w wielu obszarach życia miast, takich jak bezpieczeństwo, walka z niską emisją czy transport publiczny.

Dwa lata temu w Katowicach, kosztem 14 milionów złotych, uruchomiony został najnowocześniejszy w Polsce inteligentny monitoring miejski (KISMiA), który dziś liczy 219 kamer i systematycznie się rozrasta. System potrafi samodzielnie wykrywać określone zdarzenia, takie jak zbiegowisko, leżącą osobę czy wjazd samochodu w zakazaną strefę i alarmować o nich dyspozytorów. W 2017 roku KISMiA wygenerowała 4192 alertów, dzięki którym możliwe było złapanie wielu sprawców przestępstw i wykroczeń na gorącym uczynku.

Wyzwaniem dla wielu miast w całej Polsce jest walka z niską emisją. W województwie śląskim trendy w tym zakresie wyznaczają właśnie Katowice. Od 2017 roku do lokalizowania osób spalających w piecach śmieci używane są z powodzeniem drony. Od listopada tego roku, w ramach projektu AWAIR, rozpocznie się instalowanie sieci 127 czujników badających jakość powietrza. Dzięki temu Katowice zostaną krajowym liderem dla wskaźnika ilości czujników przypadających na kilometr kwadratowy powierzchni miasta. - W kolejnych latach dane z systemu będziemy wykorzystywać do prognozowania jakości powietrza w Katowicach na kolejne dni. To będzie duża zmiana jakościowa w zarządzaniu miastem w tej materii, bo zamiast reagować na to, co dzieje się w danej chwili, czyli przykładowo ostrzegać mieszkańców przed przekroczeniami stężeń pyłów, będziemy mogli to odpowiednio wcześniej zapowiedzieć i także określić geograficznie - mówi Marcin Krupa, prezydent Katowic.

Nowoczesne technologie pozwolą w Katowicach dokonać rewolucyjnych zmian także w transporcie publicznym poprzez wdrożenie Katowickiego Inteligentnego Systemu Zarządzania Transportem (ITS). Katowice pozyskały na ten cel aż 47 mln zł dofinansowania w ramach RPO. ITS zostanie wdrożony do końca 2020 roku na kluczowych ciągach ulic i skrzyżowaniach, a jego działanie w praktyce oznacza m.in. automatyczne sterowanie sygnalizacją zapewniające optymalną płynność ruchu, bieżące informowanie o zatorach ulicznych, wprowadzenie priorytetu, tj. zielonego światła, dla tramwajów na skrzyżowaniach, możliwość kierowania pojazdów komunikacji publicznej na trasy alternatywne czy też bieżące informowanie o pasażerów w zakresie kursowania tramwajów i autobusów.

Mówiąc o idei smart city warto dodać, że Katowice to marka rozpoznawalna globalnie głównie dzięki Intel Extreme Masters, czyli mistrzostwom świata w grach komputerowych połączonych z targami. Tylko w tym roku do Spodka i Międzynarodowego Centrum Kongresowego przybyło na to wydarzenie prawie 170 tysięcy osób, a miliony śledziły to wydarzenie przed ekranami komputerów. Ten dynamiczny, technologiczny rozwój miasta przyczynił się do otrzymania przez Katowice statusu gospodarza tegorocznego Szczytu Klimatycznego COP 24.

eprasa.pl e3b98bc95b

Rundka w ciemno



KRZYSZTOF FEUSETTE

Dzień dobry, dobry wieczór, serdecznie witam państwa w pierwszym odcinku nowego telewizyjnego show, transmitowanego z dwuznacznym poślizgiem przez wszystkie stacje i portale polskojęzyczne, a zatytułowanego „Powyborcza rundka w ciemno". Brawo, my, brawo, wy! Przypomnę zasady: dziesięciu kandydatów do powyborczej rundki z panem Rodakiem będzie odpowiadać na jego pytania. Zapraszamy was, panowie, na scenę, oj, uwaga, panie Robercie, bo się panu boa w kable wkręci... A zatem alfabetycznie:

Robert Biedroń, były prezydent Słupska, mówi, że „jak pupa boli, to dobrze", ma partnera, ale poszukuje wyborcy.

Władysław Frasyniuk, jedna z legend „Solidarności", ciągle zwarty i gotowy do walki, jak opowiada: „Chce się znowu poczuć młodym Władkiem".

Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP, marzy, o tym by dostać się do Sejmu, choćby w bagażniku.

Władysław Kosiniak-Kamysz, ostatnia nadzieja ludowych mas pracujących w urzędach i spółkach, młody, wysoki, perspektywiczny, bo z wysoka widać więcej. „Wygraliśmy!" – powtarza po każdej porażce.

Katarzyna Lubnauer, jedyna kobieta w tym gronie, zakwalifikowana do programu przez pomyłkę po tym, jak koledzy wołali na nią „Staszek". Interesuje się kelnerstwem oraz ograniczeniami cywilizacyjnymi na terenach, na których nikt o niej nie słyszał.

Ryszard Petru, romantyk, podróżnik, ekonomista amator, w wolnych chwilach para się kabaretem oraz analizą zjawiska braku lojalności wśród politycznych partnerów.

Grzegorz Schetyna, wiecznie drugi, czasem trzeci, amator kulinarnych ekscesów (jego hasło „Po pierwsze: przystawki!" podbiło przygraniczną gastronomię), interesuje się szarańczą oraz historią faszyzmu w latach 2017–2018, przyjaciele twierdzą, że brak mu charyzmy, ale zniszczyć potrafi każdego i wszystko.

Roman Smogorzewski, mister samorządu w latach 2010––2018, poeta prezentacji, zdeklarowany feminista, a przy okazji doktor seksuologii stosowanej, człowiek o wielkim mózgu zlokalizowanym nietypowo, bo w okolicach Legionowa.

Donald Tusk, dżentelmen w każdej celi, to znaczy, w każdym calu, przepraszam, ktoś mi źle napisał, z zawodu Kierownik, który o niczym nie wie. Prywatnie, malarz rzeczywistości i kominów. Lubi haratać w gałę, o ile ktoś mu poda.

Lech Wałęsa, pierwszy pokojowy noblista, który popiera pałowanie przeciwników politycznych i marzy o zamachu stanu przeprowadzonym przez pułkowników. Laureat wielu wygranych w totolotka, mąż wybitnej pisarki Danuty, ojciec niepopularnego polityka, dziadek niejednego bandziora.

Oto oni, przyjrzyjmy się z bliska ich twarzom i możemy zaczynać. Panie Rodak, czas start:

Rodak: *Cześć, panowie, jesteście gotowi na trudne pytania?*

Biedroń: *Przepraszam, ale coś mi się odpięło od węża...*

Wałęsa: *Panie! Co pan amputujesz? Wystarczy dwa miliony ludzi i będziesz pan przez okno wyskakiwać!*

Lubnauer: *Muszę zaznaczyć, że ja tu jestem jako kolega. Jestem kolegą, chociaż jestem koleżanką. No i jestem gotowa, pardon, gotowy...*

Smogorzewski: *A co byś chciała, maleńka?*

Frasyniuk: *Spokojnie, Roman, nie jesteś u siebie. Ja panu, panie Rodak powiem tak: ja to bym, k..., chciał jeszcze raz poczuć się, jak, k..., Władek. A nie jak, k..., stary Grzyb.*

Kosiniak-Kamysz: *Kochani, dajcie spokój, co było, to minęło. Najważniejsze to odszukać ludowców buszujących w zbożu, chciałem z tego miejsca zaapelować...*

Tusk: *Siadaj, Władysław, i opanuj ręce, bo zaraz kogoś uszkodzisz. Proszę państwa, jestem tutaj z jednego powodu...*

Schetyna: *Tyle że teraz moja kolej. Za wcześnie dzielisz, Donku, skórę na szarańczy. Przypominam, że gdy wygram wybory, wszyscy, jak tu stoimy, spotkamy się w Trybunale Stanu. I wtedy zobaczymy, kto się śmieje ostatni.*

Petru: *To jest nieładny język. Pożarłeś Nowoczesną i ciągle chcesz więcej. A ja nie mam nic, poza merytoryką i elokwencją, komornik mi po starej chodzi, w sensie partii, a ty o kolejach mówisz?*

Kasprzak: *Pseprasam, ale musę zapytać: cy my się tu mamy kłócić, cy startować w programie, mnie się ząb rusa od casu tego bagaznika i ja tak długo nie wytsymam,...*

Rodak: *Okey, panowie. Czas na pierwsze pytanie: „Co zrobisz, gdy wygrasz wybory?". Proszę o odpowiedź pana Kaspsa... Kasprzaka. Bo słyszę, że wciąż rusza wargami.*

Kasprzak: *Nie rusam wargami, tylko mi w bzuchu burczy. Ja nie mam, kiedy psekąsić, bo my ciągle mamy jakieś akcje...*

Kosiniak-Kamysz: *A ja, jak wygram wybory, to chcę zostać premierem. Donald mi obiecał.*

Tusk: *Chyba ten ze Stanów. Powtarzasz, Władysław, jakieś plotki, ktoś coś chlapnął, ktoś się zachlapał, a ty to łykasz, jak leszcz kukurydzę. To tyle ad wodzem.*

Lubnauer: *Ja też chcę!*

Petru: *Ty wodzem? Wszyscy widzieli, jak za kelnerkę robiłaś!*

Biedroń: *A co to za różnica: kelner czy kelnerka?*

Frasyniuk: *Znaczna, kolego. Ja, k..., w ogóle nie rozumiem, co my tu, k..., robimy. Stan wojenny dookoła, czołgi lufy grzeją...*

Smogorzewski: *Chłe... chłe... No i właśnie. Czy my nie powinniśmy najpierw poznać stosunku pana Rodaka do pewnych spraw? Ja pana już dzisiaj zapraszam do Legionowa na samorządowe bingo-bingo. Rozerwie się pan jak nigdy!*

16/0918/F

eprasa.pl e3b98bc95b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Aferzyści wolą metropolie



Jan Pietrzak

Zanim uczeni analitycy uzgodnią, co się stało w wyborach, pozwolę sobie zwrócić uwagę, że mogło być gorzej, bo tylko w dużych miastach przewagę ma totalna opozycja. Z takiego oto powodu, że tylko tam mają miejsce duże afery typu dzika reprywatyzacja, Amber Gold, mafia VAT-owska itd. W dużych miastach mieszka wielu sprawców dużych afer i oni w sposób oczywisty zawsze głosują na podobnych do siebie polityków. Czasami, mimochodem, udaje się któregoś zamknąć w pudle. Ci zamknięci to jest również gwarantowany elektorat dwóch kryminogennych, quasi-samorządowych organizacji. Zakłady karne są placówkami miejskimi, a w nich kibluje karnie zorganizowany elektorat. We wsiach nie stawia się więzień.

Wszystkie te określenia, co duże, co małe, stosuję umownie, by wyjaśnić zjawisko zdecydowanego podziału elektoratu na wiejski – uczciwy i miejski – złodziejski. To jest felietonowe uproszczenie, bo przecież czasami przestępca mieszka na wsi, a w mieście można przypadkiem spotkać uczciwych ludzi. Natomiast zjawisko drastycznego podziału elektoratu godne jest uogólniającej refleksji. Jak powiedział mi taksówkarz: każdy, kto po boku kombinuje, rozumie tych, co w ratuszu kręcą lody. I on woli tych lodziarzy poprzeć, a nie wrednego szeryfa, co nie zna życia. A tu, panie, każdy w Warszawie kombinuje. Znasz pan „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka?”.

Ja oczywiście znam tę śpiewkę. Nawet się pochwalę, że słyszałem ją w oryginalnym wykonaniu Grzesiuka w knajpie Sielanka (tej, co niedawno nazywała się Sowa, a teraz Apteka!) w latach 50. Jednak cwaniak warszawski z tamtych lat to mógł kogoś na flaszkę naciągnąć, sprzedać frajerowi kolumnę Zygmunta albo wyrwać stówkę trikiem z kartami: „czarna wygrywa, czerwona przegrywa, raz, dwa, trzy, próbuj ty”. Natomiast w życiu by nie ukradł kamienicy z lokatorami, jak obecne łobuziaki z ratusza. Bo był charakterny, nie pazerny.

Rozważając problem „duże miasta i złodzieje”, przypomnijmy oficjalnie głoszoną przez rząd PO-PSL metropolitalną teorię rozwoju Polski. Im Polska powiatowo-gminna nie była potrzebna, kasowali tam policję, pocztę, przystanki, dojazdy, szkoły... Mafia i aferzyści wolą metropolie. I to się potwierdziło.

Pod powierzchnią widzi się i czuje inaczej



Z Bogumiłem Godfrejów, operatorem filmowym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy woda, która wypełnia czołówkę serialu „Pod powierzchnią” – tak niepokojąca, niczym z koszmaru sennego – bywa koszmarem dla autora zdjęć?

Bogumił Godfrejów: Generalnie zdjęcia robione pod wodą, w sensie technicznym, to dla operatora horror. Praca nad nimi łączy się z brakiem komunikacji, odcięciem. Parę filmów stawiało mnie już przed podobnym wyzwaniem. Zdarzyło mi się kilka razy tonąć, zostałem też porwany, razem z kamerą, przez nurt Odry. Mogę więc zaświadczyć, że zdjęcia w wodzie to ciągła walka. Czasem dosłownie o życie, bo też kamery, która jest dużym obiektem, nie zakotwiczymy jak łódki. Dlatego podwodne kadry staramy się robić w akwenach zamkniętych, gdzie nie ma prądów. Tu sprawdza się np. krakowski Zalew Zakrzówek.

Polskim wodom rzecznym, jeziornym daleko do krystaliczności.

Owszem, bywają bardziej mroczne, ale też z tego powodu przyciągają wielu ludzi. Dobrych parę lat temu świadomie właśnie w Polsce zrobiłem kurs nurkowania. Marzy mi się schodzenie pod wodę w Bałtyku. Słyszałem, że są tam fascynujące miejsca.

Jak się filmuje akweny „od środka”?

Trzeba znać ich specyfikę: wiedzieć, jak woda się zachowuje, np. jak mętnieje; co może w niej zrobić aktor i w jaki sposób zanurzenie będzie działać na jego psychikę; co jest w stanie zarejestrować kamera. Wejście pod wodę zniekształca odbiór zewnętrznego świata, potrafi wpłynąć na zmianę świadomości. „Pod powierzchnią” widzi się i czuje inaczej.

Fot. Tomasz Urbanek/DDTVN/East News

eprasa.pl e3b98bc95b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Europejski młot sądowniczy



Trybunał Sprawiedliwości UE zawiesił polską ustawę o Sądzie Najwyższym. Zrobił to w tempie zaiste ekspresowym, które jest zaprzeczeniem jego normalnych praktyk: skarga KE na Polskę wpłynęła do TSUE 3 października, a ten zareagował po 16 dniach. Właściwie zareagowała jego wiceprezes, Rosario Silva de Lapuerta, która do czasu wyroku ze strony UE jednoosobowo, bez żadnej procedury, zawiesiła polskie przepisy dotyczące wcześniejszej emerytury sędziów SN. Zażądała również, aby władze naszego kraju umożliwiły sędziom, których sprawa dotyczy, wykonywanie ich poprzednich funkcji, a także, aby powstrzymały się od wszelkich działań zmierzających do powołania nowych i wyznaczenia kolejnego prezesa tej instytucji. Rozkazała także polskiemu rządowi, aby do 30 dni zameldował, jak realizuje jej polecenia, a potem co najmniej raz w miesiącu raportował o wszystkich środkach, jakie podejmuje w celu zastosowania się do jej postanowienia.

Decyzję tę dostarczono w trybie zastępczym, inaczej musiałaby zostać ogłoszona później. TSUE zrobił jednak wszystko, aby upubliczniona została ona jeszcze przed wyborami i wykorzystana w antypisowskiej propagandzie. Oto bezstronne standardy UE.

To jednak nic w porównaniu z samą decyzją. Wywołała ona kontrowersje nawet pośród sędziów TSUE wyrażane, naturalnie, wyłącznie prywatnie. „Żądając powrotu do sytuacji sprzed 3 kwietnia, żąda się od Polski już teraz działań, które będzie musiała wykonać, gdy KE wygra proces przed TSUE. To po co proces i ostateczny wyrok?" – powiedział jeden z nich. Dodać trzeba, że gdyby TSUE przyznał rację rządowi polskiemu (wiem, że to niemożliwe, ale formalnie...), wszystkie wyroki, w których orzekaliby sędziowie przywróceni mocą decyzji Lapuerty, traciłyby moc prawną. Dodatkowo nie wiemy, kiedy TSUE wyda swój wyrok. Teraz nie musi się śpieszyć: zawieszenie przepisów nowej ustawy przywraca status quo ante. Pojedynczy sędzia ze Strasburga bez jakiejkolwiek procedury sprawdzającej decyduje o tym, jak wyglądać ma ustrój prawny naszego kraju, a w konsekwencji polityka polska, na nie wiadomo jak długo. Inna sprawa, że potraktowanie rządu polskiego przez ową osobę, która każe mu się regularnie meldować i sprawozdawać, jak wypełnia jej polecenia, nie tylko przekracza jakiekolwiek cywilizacyjne standardy, lecz i jakiekolwiek pozory, które obowiązywały nawet w bloku sowieckim.

Czemu jednak się dziwić. KE pozwała nas przed TSUE pod pretekstem złamania dwóch praw unijnych. Pierwsze z nich to artykuł 19, ust. 1, akapit drugi traktatu Unii Europejskiej.

„Państwa członkowskie ustanawiają środki niezbędne do zapewnienia skutecznej ochrony prawnej w dziedzinach objętych prawem Unii",

Co to ma wspólnego ze zmianą wieku emerytalnego sędziów i reformą SN? O jakie prawa Unii chodzi?

Drugie prawo, na które powołuje się KE, zawarte jest w Karcie praw podstawowych Unii Europejskiej, której Polska nie podpisała. Można powiedzieć więc, że mamy do czynienia z jaskrawą kpiną z prawa. Ale przeczytajmy ów 47 artykuł. „Każdy, czyje prawa i wolności zagwarantowane przez prawo Unii zostały naruszone, ma prawo do skutecznego środka prawnego przed sądem zgodnie z warunkami określonymi w niniejszym artykule. Każdy ma prawo do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy w rozsądnym terminie przed niezawisłym i bezstronnym sądem ustanowionym uprzednio na mocy ustawy". Itd.

Czy wcześniejsze odesłanie sędziów w stan spoczynku narusza ich prawa i wolności?

Kilka dni po ogłoszeniu decyzji Lapuerty prezes TSUE Koen Lenaerts na pytanie: „Co będzie, jeśli Polska nie zastosuje się do woli Strasburga?", ogłosił, że kraj, który nie podporządkowuje się orzeczeniom Trybunału, „wpisuje się w proces podobny do brexitu". Tego było za dużo nawet dla prawników z TSUE. W efekcie Lenaerts ogłosił specyficzne sprostowanie, które trudno traktować poważnie.

„Ulica" totalnej opozycji totalnie nie wyszła, pozostała jej więc operacja „zagranica", którą wespół ze swoimi zachodnimi patronami prowadzi z delikatnością Majdanu. Jest ona na rękę elitom UE, które czują, że pojawiła się szansa na ugruntowanie ich panowania, a Polska jest do tego wygodnym pretekstem. Prawnicy z godną podziwu konsekwencją budują twardą oligarchię, a Niemcy chcą nas mieć w UE jako wasali w rodzaju Tuska & consortes. Przeprowadzający operację, jak zwykle, gęby mają pełne frazesów na temat państwa prawa i demokracji, które w rzeczywistości bezceremonialnie depczą.

Podstawowa decyzja jest jednak w rękach Polaków. Czy nasze kompleksy uwewnętrznione zostały tak głęboko, że gotowi jesteśmy zrezygnować z niepodległości i demokracji, aby nie rozgniewać Europejczyków?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3b98bc95b

Brazylia

Antychiński Trump z tropików

Zwycięstwo w wyborach w Brazylii kandydata prawicy Jaira Bolsonara to dobra wiadomość dla prezydenta USA nie tylko dlatego, że nowego przywódcę największego państwa Ameryki Łacińskiej media zwą „Trumpinho", czyli mały Trump. Również dlatego, że Bolsonaro zamierza poluzować więzi, łączące jego kraj z największym konkurentem Ameryki – Chinami, które w ostatnich latach przejęły część infrastruktury energetycznej i transportowej Brazylii oraz większość tamtejszych kopalń.

„Chińczycy nie kupują w Brazylii. Oni kupują Brazylię" – ostrzegał Bolsonaro wielokrotnie. Zamiast tego chce zawrzeć „korzystną" umowę handlową z USA. To zła wiadomość dla Państwa Środka, a przecież także w Argentynie i Chile mnożą się głosy, mówiące o drapieżczej polityce Pekinu wobec Ameryki Łacińskiej.

Zwycięstwo Bolsonara było oczekiwane, w I turze bowiem zgromadził on aż 46 proc. głosów, a popierał go nie tylko wielki biznes, lecz także protestanckie wspólnoty ewangelickie, policja, wojsko, młodzież, kobiety, oraz zmęczeni przemocą mieszkańcy faweli. Nie pomogła medialna nagonka, której celem było przedstawienie byłego oficera brazylijskiej armii jako rasisty, homofoba, seksisty i fana wojskowej dyktatury.

Brazylijczycy mają dość lewicy. Nieudolnej i skorumpowanej. Były prezydent Luiz Inácio Lula da Silva, który doszedł do władzy w 2003 r., siedzi w areszcie. Grozi mu do 12 lat więzienia za przyjmowanie łapówek. A kraj tkwi w poważnym kryzysie gospodarczym. Rozwarstwienie społeczne się pogłębia, bo władz nie stać już na drogie programy socjalne. Tymczasem Bolsonaro twierdzi, że jest przywiązany do demokracji. Po ogłoszeniu wyniku wyborów obiecał, że „będzie bronił konstytucji, demokracji i wolności". „To nie jest zwykła obietnica, próżne słowa człowieka, tylko przysięga złożona Bogu" – dodał.

Z prezydentem USA łączy go m.in. sprzeciw wobec projektów lewicowej inżynierii społecznej oraz dyktatu politycznej poprawności. Jest przeciwnikiem aborcji. Chce zliberalizować warunki posiadania broni, znieść odpowiedzialność karną za zabójstwo we własnej obronie i wysłać wojsko do faweli. A policja miałaby zasadniczo wolną rękę, gdy idzie o środki do walki z organizacjami przestępczymi.

Ale to nie wszystko. Prezydent elekt zapowiada program „radykalnej" prywatyzacji państwowych spółek, ograniczenia wydatków socjalnych, poluzowania wymogów administracyjnych dla biznesu i obniżenia podatków. Trump ma powody do radości.

Aleksandra Rybińska



Fot. Antonio Scorza/Shutterstock.com

Niemcy

Tureckie kazanie

Decyzja zapadła: Adil Yiğit może zostać w Niemczech. Jeszcze kilka dni temu groziło mu deportowanie do Turcji.

Czym się naraził? Tym, że podczas wizyty prezydenta Erdoğana na konferencji prasowej z udziałem kanclerz Merkel wystąpił w koszulce z napisem: „Wolności dla dziennikarzy w Turcji". Nie da się ukryć, w kraju Erdoğana wielu dziennikarzy siedzi za kratami, ale że na konferencjach prasowych w Niemczech demonstracje polityczne są niedopuszczalne, Yiğit został siłą usunięty z sali. Nie zaprotestował ani jeden z żurnalistów i żaden, choćby na znak zawodowej solidarności, nie pokazał pleców prezydentowi ani kanclerz. Sam Yiğit przekazał natomiast do mediów informację, że cofnięto mu prawo pobytowe.

Niemcy – wiadomo – państwo prawa, a nawet wielu praw, tak zrozumiałych jak tureckie kazanie. Deportacji Yiğita jednak nie będzie. Choć „nie może udokumentować pracy dziennikarskiej" i, jak poinformowano oficjalnie, „żyje z zasiłku dla bezrobotnych", przedłużono mu zgodę na pobyt w RFN „ze względów humanitarnych". Wstawiło się za nim nawet Niemieckie Stowarzyszenie Dziennikarzy, bo w Turcji prześladowania... itd.

„Dziennikarz" Yiğit był aktywistą organizacji lewackich bojówkarzy Devrimci Sol. W Hamburgu zamieszkał w latach 80. dzięki małżeństwu z Anitą Friedetzky, gdzie ta uruchamiała biuro lewicowej gazety „Die Tageszeitung" (tej, która prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu przyprawiła kartofla zamiast głowy). Podczas rewizji w mieszkaniu Yiğita znaleziono broń, materiały wybuchowe i oprzyrządowanie do fałszowania dokumentów. On sam uciekł do Turcji z notabene fałszywym paszportem. Dwa lata poźniej złapano go w Hamburgu i odsiedział za to w więzieniu bez mała trzy lata. Po wyjściu na wolność zmienił właściwe imię Ertuğrul na Adil i zaczął pisać od czasu do czasu jako „wolny dziennikarz" dla „Taz" oraz „Die Zeit".

Jak się ma sprawa Yiğita do np. skandalicznej konferencji z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę, na której „grillowano" prezydenta Andrzeja Dudę? Nijak, wszak wyznaczeni przez niemieckich organizatorów dziennikarze nie wystąpili w koszulkach z napisami i deportacja pani Rozalii Romaniec z Deutsche Welle nie grozi...

Piotr Cywiński

Rosja

„Kommunarka”, czyli problem pradziadka

Kommunarka – to jedno z moskiewskich miejsc masowych egzekucji ofiar Wielkiego Terroru z lat 30. Tu też, podobnie jak na terenie innych takich obiektów, w zbiorowych grobach chowano dopiero co rozstrzelanych.

Innym podobnym obiektem jest Butowo. Tylko że w Butowie ofiary represji uczczono już parę lat temu; stoi tam dedykowana „nowym męczennikom” (czyli zamordowanym kapłanom prawosławnym) świątynia, a także stelle, na których wypisano nazwiska wszystkich tam straconych.

Butowo różni się jednak od Kommunarki składem ofiar. Wśród tych z Butowa jest silna nadreprezentacja – właśnie – duchownych. I to skłoniło Cerkiew do otoczenia tego miejsca szczególnym kultem. Stąd świątynia, stąd pomniki. Inni pomordowani, niejako przy okazji uczczeni w Butowie, to raczej zwykli ludzie. Przedstawicieli komunistycznej nomenklatury, która sama stała się ofiarą tworzonego przez siebie systemu, spoczywa tam niewielu.

Inaczej jest na Kommunarce. Tam z kolei wśród ofiar mamy solidną nadreprezentację bolszewickiej elity.

Parę naście dni temu przyszła pora na uczczenie ofiar Kommunarki. Odsłonięto tam upamiętnienie, którego elementem są – jak w Butowie – ściany z nazwiskami zamordowanych.

I zaczął się skandal. Bo wśród nich – na równi z innymi ofiarami – umieszczono też nazwiska enkawudzistów rozstrzelanych w ramach kolejnych czystek, którzy, zanim popadli w niełaskę, sami mordowali, torturowali i skazywali niewinnych na śmierć. A wśród nich, i to jest symboliczne, samego Gienricha Jagody, szefa NKWD, człowieka mającego ręce umazane krwią po ramiona. Potem aresztowanego, torturowanego i w końcu rozstrzelanego i pochowanego na Kommunarce.

Wielu uznało to za bluźnierstwo. A przecież kształt upamiętnień został zatwierdzony przez Memoriał – zasłużoną organizację zajmującą się destalinizacją, której nie sposób podejrzewać o pobłażliwy stosunek do bolszewickiego dziedzictwa. Memoriał broni się, argumentując, że ściany z nazwiskami to tylko informacja, a nie pomnik. Po cichu zwolennicy tego stanowiska dodają, że przecież nikt nie wie, czy np. taki Jagoda w ostatnich chwilach życia nie żałował swej przeszłości. A krytycy – również po cichu – mówią, że intelektualno-emocjonalnym podkładem dla tej decyzji mogło być to, że przodkowie wielu obecnych rosyjskich demokratów byli wtedy bolszewikami, i stąd niechęć do symbolicznego i ostatecznego potępienia pokolenia pradziadów...

Jeśli ktoś powie, że konflikt wokół Kommunarki przypomina mu rozmaite polskie spory – nie zaprzeczę.

Piotr Skwieciński



Fot. giulio napolitano/Shutterstock.com

Ukraina

Największy autorytet prawosławnych...

Ciekawe wyniki przyniosły badania socjologiczne przeprowadzone na Ukrainie przez renomowany ośrodek Rating Group. Poświęcone były religijności tamtejszego społeczeństwa, a jedno z pytań dotyczyło zaufania do przywódców różnych Kościołów. Okazało się, że największą nieufność (u 37 proc. respondentów) wzbudza – co nie stanowiło żadnej niespodzianki – patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl. Zaskoczeniem dla komentatorów było natomiast pierwsze miejsce, jakie w rankingu zaufania zdobył... Franciszek, którego wskazało 34 proc. ankietowanych. Zdziwienie jest tym większe, że rzymscy katolicy stanowią zaledwie 1,7 proc. ludności kraju.

Choć większość mieszkańców Ukrainy wyznaje prawosławie, to jednak jego przywódcy nie cieszą się dużym zaufaniem społecznym. Wpływa na to głównie fakt „zimnej wojny religijnej”, która toczy się między różnymi odłamami prawosławia. Media związane z patriarchatem kijowskim nazywają patriarchę Cyryla „obywatel Gundiajew”, te zaś sympatyzujące z patriarchatem moskiewskim piszą o patriarsze Filarecie „obywatel Denysenko”. W rezultacie prestiż osobisty antagonistów gorszącego sporu stale spada. Wschodni hierarchowie postrzegani są też jako osoby uwikłane w gry polityczne, a nawet prowadzący operacje biznesowe.

Na tym tle daleki Franciszek jawi się jako autorytet duchowy, stojący nad podziałami politycznymi. Na jego popularność wpływa również to, że w 2016 r. zorganizował światową zbiórkę pieniężną przeznaczoną dla Ukrainy. Nie należy jednak przy tym zapominać, że już kiedyś największym zaufaniem w ukraińskim społeczeństwie cieszył się Jan Paweł II – papież podkreślający swoją słowiańskość, który w 2001 r. odwiedził ten kraj i niezwykle dowartościował go podczas swej pielgrzymki.

Na koniec warto też zaznaczyć, że aż 30 proc. pytanych odpowiedziało, że... nie słyszało w ogóle o Franciszku. To pokazuje poziom świadomości religijnej w kraju poddanym wieloletniej przymusowej ateizacji.

Grzegorz Górny

eprasa.pl e3b98bc95b

OGNIEM NA WPROST

Zupełnie inny weekend



Źle się dzieje w ZHP. Wśród władz Związku nadal bryluje płk Adam Mazguła, znany peerelowski trep, który ile sił, atakuje Kościół, broni ubeckich emerytur i zajadle zwalcza partię rządzącą. Jedna z instruktorek, zadeklarowana biseksualistka, snuje opowieści o swoich preferencjach seksualnych na łamach wysokonakładowej prasy. Teraz polscy następcy lorda Roberta Baden-Powella, twórcy skautingu, pomni zasady wpajanej wychowankom: „Harcerz pracuje nad sobą, jest czysty w myśli, mowie i uczynkach", zorganizowali „Dzień przeciw transfobii". Ostatnio wyświetlili dwa filmy propagujące klimaty homoseksualne: „Ognisko", a na zbiórce wędrowników ZHP w Puławach „Zupełnie inny weekend". Za zgodą władz ZHP wznowiono korzystanie z podręcznika dla instruktorów akceptującego pornografię i masturbację, jak również obcowanie płciowe nastolatków od 15. roku życia wzwyż. Drodzy rodzice, gdzie wasza czujność, gdzie wasza reakcja? To przecież głównie od was zależy, czy wasze pociechy bawiące się w harcerstwo nie obudzą się pewnego dnia na „zupełnie innym weekendzie", który zmieni ich życie o 180 stopni.

Jedną z pierwszych spraw, jaką zajęła się tuż po wyborach samorządowych nowa rada miasta Białegostoku, jest wszczęcie inicjatywy zdjęcia tablic z nazwą ulicy poświęconej pułkownikowi Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszce". Radni z Forum Mniejszości Podlasia oraz nowo wybrany stary prezydent Tadeusz Truskolaski (wcześniej Platforma Obywatelska) z zapałem godnym czerwonego komisarza zabrali się do wdrażania nowej (starej) polityki historycznej, czyli likwidowania pamięci po narodowym bohaterze. Do akcji zaraz włączyła się lokalna „Gazeta Wyborcza", funkcjonująca ideologicznie w tamtejszym Froncie Obrony Ubeków. Okazuje się, że „Łupaszka" jest dla nich kontrowersyjnym bohaterem. Powtarzają jak mantrę wyświechtany slogan, że „zamiast łączyć, dzieli". „Kontrowersyjny patron zniknie z osiedla Skorupy" – nie ukrywa radości białostocka filia redakcji z Czerskiej. Aktyw z „GW" i rady miejskiej proponuje już nawet nową nazwę, niezbyt oryginalną, ale za to „wyważoną": ul. Podlaska. Co się tak skradacie, więcej odwagi! Ochrzcijcie drogę imieniem Ofiar Żołnierzy Wyklętych. Białostoczczanie, czas na protest!

Pakistański Sąd Najwyższy uchylił wyrok z 2010 r., jaki został nałożony na katoliczkę Asię Bibi za rzekome znieważenie proroka Mahometa. Zgodnie z art. 295c Kodeksu karnego Pakistanu takie przestępstwo jest karane śmiercią. Asia Bibi była pierwszą kobietą w tamtym kraju skazaną na najwyższy wymiar kary za powyższy delikt. Jej mąż oraz córka, kiedy tylko dowiedzieli się o uniewinnieniu, skomentowali je jako „najwspanialszy moment w życiu". Wraz z resztą rodziny i wszystkimi znajomymi dziękowali Bogu za wysłuchanie modlitw. Natomiast w Polsce aż roi się od bluźnierców. Na czele stoją znani rockmani, jak satanista Nergal czy chwiejący się ciągle na nogach Maleńczuk. Wiedząc, że nic im za to nie grozi czy może raczej prawie nic, z lubością obrażają Boga oraz wiernych. Gdyby rzeczywiście traktowali tę sprawę poważnie, zorganizowaliby sobie tournée koncertowe po Pakistanie i tam ze sceny pouzywaliby sobie trochę na Allahu.

Prorok Mahomet już się cieszy prawną ochroną Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Na jednym z ostatnich posiedzeń orzekł, że „oczernianie proroka Mahometa wykracza poza dopuszczalną wolność słowa". Ściślej chodziło o sprawę austriackiej aktywistki Elisabeth Sabaditsch-Wolf, która w roku 2009, zdaniem austriackich sądów, miała oczernić proroka, nazywając go „pedofilem". Rzecz rozbija się o kwestię sześcioletniej Aiszy, którą Mahomet miał pojąć za żonę, samemu będąc w wieku 59 lat. Protest podniosły organizacje islamskich imigrantów, zarzucając Sabaditsch-Wolf kłamstwo, albowiem prorok co prawda wziął ślub z Aiszą, kiedy miała 6 lat, ale ze względu na młody wiek małżonki zachowywał się wstrzemięźliwie i zanim z nią skonsumował związek, minęły trzy lata. Powyższe stanowisko przedstawicieli świata muzułmańskiego powinno wystarczyć za komentarz i pointę.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3b98bc95b

Sukces idei państwa solidarnego



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich tygodniach Bank Światowy podniósł prognozy tempa wzrostu gospodarczego w Polsce na rok 2018 i 2019. Według szacunków ekspertów wzrost gospodarczy Polski wyniesie w bieżącym roku 4,7 proc., o 0,5 proc. więcej, niż prognozowano wiosną. Tempo wzrostu gospodarczego utrzymuje się zdaniem ekonomistów za sprawą odpowiedniego poziomu konsumpcji prywatnej, dzięki wydatkom rządowym oraz prywatnym inwestycjom. W 2018 r. rozwój gospodarczy ma oscylować na poziomie 3,9 proc., a nie – jak zakładano uprzednio – 3,7 proc. W pierwszym Indeksie Kapitału Ludzkiego opracowanym przez Bank Światowy nasz kraj plasuje się na wysokiej, 30. pozycji w rankingu obejmującym 157 państw. Wynik Polski jest w ocenie BŚ lepszy niż regionalna średnia i wyższy, niż wskazywałby na to dochód na mieszkańca, co dowodzi osiągnięcia przez Polskę sukcesu w zakresie rozwoju gospodarczego.

Agencja Fitch potwierdziła w swojej ostatniej ocenie długoterminowy rating Polski w walucie obcej na poziomie A, co w jej opinii stanowi odzwierciedlenie zdywersyfikowania gospodarki, jej zrównoważonego wzrostu, rozwagi fiskalnej, a także istnienia w Polsce mocnych fundamentów makroekonomicznych wspieranych przez silne ramy gospodarcze oraz solidny sektor bankowy. Szczególną uwagę zwrócono przy tym na sektor eksportowy, który odpowiada za ponad połowę PKB i w ciągu ostatnich kilkunastu lat jego udział zwiększył się o jedną czwartą.

Jak wynika z raportu ekspertów z Oxfam, Polska wśród 156 badanych krajów zajmuje pierwsze miejsce w zakresie wydatków na zwalczanie nierówności społecznych. Dane Eurostatu wskazują, że działania rządu PiS spowodowały, iż skala ubóstwa wśród dzieci jest aktualnie nad Wisłą niższa niż w takich krajach jak Belgia, Francja i słynąca z prospołecznych rozwiązań Szwecja. Trzeba zaznaczyć, że w porównaniu z ubiegłym rokiem procent najmłodszych zagrożonych niedostatkiem obniżył się aż o 6 punktów procentowych, a tempo, w jakim następuje zmniejszenie omawianej liczby, jest najszybsze wśród wszystkich państw europejskich. W 2008 r. liczba dzieci zagrożonych ubóstwem wynosiła 2,5 mln, a w roku 2017 – 1,2 mln.

Przedstawione wyniki badań polskiej gospodarki i sytuacji społecznej w naszym kraju wskazują jednoznacznie, że założenia polityki rządu Prawa i Sprawiedliwości są skuteczne. Wdrożenie mechanizmów wspierania rodziny i niwelowania nierówności społecznych, wbrew zapowiedziom krytyków PiS, nie doprowadziło do zrujnowania gospodarki, a wręcz przeciwnie – przyczynia się do przyspieszenia jej rozwoju m.in. za sprawą wzrostu konsumpcji prywatnej.

„Polska, żeby zwyciężać, żeby zbliżać się do najbogatszych krajów Europy, musi być Polską solidarną" – mówił prezydent Lech Kaczyński. Opowiadał się za taką formą organizacji społeczeństwa, w której korzyści z naszej wolności, z naszego rozwoju są korzyściami dzielonymi w taki sposób, by wszyscy je odnosili. Solidaryzm społeczny, idea państwa solidarnego to według Lecha Kaczyńskiego nie są puste hasła. To dążenie do stworzenia takiego ładu społecznego, w którym przeciwdziała się wykluczeniu, ograniczaniu w korzystaniu z praw człowieka i obywatela, aktywnie współpracuje się na rzecz gospodarczego i cywilizacyjnego awansu kraju. W swoich wystąpieniach prezydent Kaczyński podkreślał konieczność respektowania zasady równości szans wszystkich obywateli jako warunku stabilnego i długofalowego rozwoju. Jego poglądy pozostają aktualne, a przytoczone oceny sytuacji gospodarczej w Polsce dowodzą ich słuszności.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 19 października 2018 roku zmarł w Otwocku

ŚP

PŁK EDMUND BRZOZOWSKI

urodzony 5 stycznia 1919 roku w Jekaterynosławiu.
W styczniu 1940 roku aresztowany przez NKWD,
następnie więziony w Brześciu oraz Homlu
i deportowany do obozu pracy w Republice Komi.

Od września 1941 roku żołnierz Armii Polskiej w ZSRR.
W kwietniu 1942 roku ewakuowany na Bliski Wschód.
Od grudnia 1942 do marca 1943 roku słuchacz
dywizyjnego kursu podchorążych rezerwy
3. Dywizji Strzelców Karpackich.
Od grudnia 1943 roku uczestnik kampanii włoskiej.

W bitwie pod Monte Cassino dowodził 3. plutonem
3. kompanii 1. batalionu 1. Brygady Strzelców Karpackich.
Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii,
w 2006 roku powrócił do Polski.

Prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy
Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie „Karpatczycy".

Uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari,
Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino
oraz innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

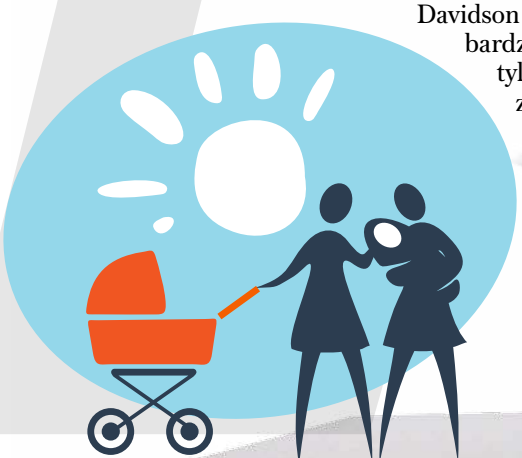
47/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Konserwatyzm po szkocku

Liderka Szkockiej Partii Konserwatywnej urodziła dziecko, chłopca o imieniu Finn, czym podzieliła się z wyborcami i społeczeństwem na Twitterze. W sprawie nie byłoby nic zaskakującego, nawet to, że Davidson jest pierwszą przywódczynią partii konserwatywnej, która urodziła dziecko w czasie pełnienia obowiązków, gdyby nie to, że kobiecie towarzyszyła w szpitalu partnerka. Davidson zdradziła także, że obie panie są bardzo szczęśliwe. Zastanawiam się tylko, co to wszystko ma wspólnego z konserwatyzmem...





1.

– taką pozycję zajęła Polska wśród krajów o wysokim poziomie biegłości językowej. Tak twierdzi EF Education First, które przygotowało coroczny globalny raport znajomości języka angielskiego. Za rok mamy szansę awansować do grupy o bardzo wysokiej znajomości angielskiego.

2,3 mln

– już tyle osób opuściło pogrążoną w głębokim kryzysie Wenezuelę.

5,61 mln

– tyle osób zagrożonych ubóstwem relatywnym było w Polsce w 2017 r. To o 872 tys. mniej niż rok wcześniej.

Czary po kanadyjsku

„Kanadyjski parlament finalizuje nowelizację Kodeksu karnego, usuwając z niego przepisy, które dotąd zabraniały m.in. uprawiania czarów (nawet tych nieskutecznych) i wyzywania na pojedynek. Nowelizację zatwierdziła już Izba Gmin – niższa izba parlamentu" – informuje TVP.info. Chodzi o art. 365 rozdziału o fałszywych oświadczeniach. Przepis dotyczy „twierdzenia, że uprawia się czary" i stanowi, że „kto z zamiarem popełnienia oszustwa twierdzi, że jest w stanie stosować lub wykorzystywać magię, czary, rzucanie uroków lub zaklinanie", jest winny popełnienia wykroczenia. Teraz artykuł znika, a z nim kary za tego rodzaju fałszywe oświadczenia. Czyli w Kanadzie czary będą legalne. Czy to dopiero nie jest średniowiecze?



Zakazy po angielsku



Jacob Ford, 17-letni uczeń placówki edukacyjnej w Wielkiej Brytanii, zdecydował się na ciekawy protest. Jeden z podpunktów regulaminu Spalding Grammar School mówi o tym, że zabronione jest przenoszenie książek między klasami w plecakach. A to z powodu troski o zdrowe kręgosłupy uczniów. Nastolatek w ramach protestu postanowił nosić książki w mikrofalówce. O sprawie informuje portal metro.co.uk. Chłopiec próbował też wiklinowego kosza i kosza do kosiarki. Jacob postanowił protestować, ponieważ, gdy nie zastosował się do zakazu, został zawieszony na dwa dni. Gdyby głupota umiała fruwać, dyrekcja tej szkoły poszybowałaby w kosmos.

eprasa.pl e3b98bc95b



Zbrodnia po amerykańsku

Ta Ameryka to jednak dziwny kraj. Tydzień temu było o dziewczynce, która upiekła ciastka z dodatkiem prochów dziadka, a dziś o nastolatkach, które chciały trafić do piekła, więc postanowiły urządzić rzeź we własnej szkole. Dwie dziewczyny ze szkoły średniej w centralnej części Florydy przyniosły do szkoły noże. Chciały nimi zasztyletować swoich kolegów, następnie zjeść ich ciała i wypić krew. Po wszystkim nastolatki chciały popełnić samobójstwo. A wszystko po to, by móc przebywać z szatanem. Na szczęście dziewczyny zostały aresztowane, zanim zdążyły zrealizować swój plan. Wpadły z nożami w toalecie. Za to mieszkaniec Kentucky w Stanach Zjednoczonych z okazji Halloween ubrał się w mundur SS, a swojego kilkuletniego syna upodobnił do Adolfa Hitlera. Mężczyzna był zdziwiony falą negatywnych komentarzy pod swoim adresem. A może świętowania tego całego Halloween warto by zakazać? Niektórym wyraźnie źle wpływa na głowę.

Nowoczesna nie będzie zawierać sojuszy z PiS na żadnym poziomie – zagrzmiała Katarzyna Lubnauer. A co to jest Nowoczesna?



Zmiana po irlandzku

Irlandzka wokalistka Sinéad O'Connor zmieniła imię i wyznanie. Piosenkarka nazywa się teraz Szuhada (Shuhada) Davitt, a nowe wyznanie to islam. To nie pierwsza zmiana wiary w przypadku artystki, bo wcześniej konwertowała do Kościoła palmariańskiego. „Studiowanie Pisma Świętego prowadzi do islamu, co powoduje, że wszystkie inne pisma święte są zbędne" – wyznała piosenkarka. Teraz wypada życzyć gwieździe szczęśliwego zamążpójścia oraz by żyła długo i szczęśliwie.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x5)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kto się wstydzi adwokata



Dominik Zdort

Gdy pisałem ten tekst w ubiegłym tygodniu, trwały jeszcze gorączkowe narady w otoczeniu Donalda Tuska przed jego zeznaniami przed komisją śledczą. Obok kwestii, co i jak były premier powinien powiedzieć posłom, pojawił się problem pozornie błahy: czy obok „prezydenta Unii Europejskiej" powinien zasiąść jego prawny pełnomocnik. Napisałem, że to kwestia pozornie błaha, bo dla byłego szefa polskiego rządu wcale taka nie jest.

Niech bowiem państwo sobie wyobrażą, że obok Donalda Tuska zasiada Roman Giertych. Obok uosobienia dobra i piękna, ideału politycznej łagodności, zasiada człowiek, który jeszcze parę lat temu był przedstawiany jako wcielone zło, nacjonalista, rasista, antysemita, z którym kontaktów odmawiała ambasada Izraela, a niewinne dzieci krzyczały: „Giertych do wora, wór do jeziora".

Oczywiście obecny Roman Giertych to nie ten sam, który był niegdyś sojusznikiem Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Leppera. Mecenas zrobił wiele, aby zapracować na dobrą opinię w kręgach, które kiedyś zwalczał. Nienawiść do Kaczyńskiego okazała się u niego silniejsza nie tylko od wszystkich innych emocji politycznych, lecz i od ideowych przekonań. Jeśli kiedyś lider LPR był naprawdę narodowcem i konserwatystą, to skutecznie potrafił swoje poglądy z siebie wyprzeć – tak skutecznie, że jego ojciec pewnie kiwa z zażenowaniem głową, a dziadek przewraca się w grobie.

W oczach swoich nowych sojuszników drugie wcielenie Romana Giertycha okazało się na tyle wiarygodne, że z cichym ich poparciem mecenas wystartował w wyborach do Senatu. Wyborcy – jak się okazało – przemiany dawnego szefa Młodzieży Wszechpolskiej nie łyknęli i kandydat poległ. I na tym właśnie polega problem Donalda Tuska. Bo co innego, gdy jego zwolennicy wiedzą, że byłego przewodniczącego PO reprezentuje dawny lider LPR, a co innego zobaczyć ich siedzących razem, ramię w ramię, przed sejmową komisją.

No i w dodatku ten wzrost... Roman Giertych musiałby chyba usiąść na dziecięcym krzesełku, żeby szef Rady Europejskiej, który przecież bardzo niski nie jest, dorównał mu wzrostem.

Czytając ten tekst, państwo już wiedzą, czy Donald Tusk pojawił się przed komisją w wyznaczonym terminie i czy towarzyszył mu jego prawny pełnomocnik. Swoją drogą ciekawych czasów dożyliśmy. Kiedyś bywało, że adwokat wstydził się osoby, którą reprezentował. Dziś to zeznający przed komisją wstydzi się swojego pełnomocnika.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl e3b98bc95b

RZECZY POSPOLITE

Belka w oku



Tomasz Łysiak

Nie ma to, jak przyglądać się okładaniu cepem i drągiem przeciwnika. Gawiedź się zbiega, gapi i ma radochę. Przyznam się szczerze, też jestem gawiedź. Na Twitterze. A to jeden drugiemu łupnie, a ten tego obrazi, słynny konserwatysta się ukaże w majtkach lub innej bieliźnie albo kto inny rzuci soczystym, polskim mięsem, albo znowuż tęczowy naprawiacz świata pokłuje wszystkich widłami tolerancji.

Z zapartym tchem przypatrywałem się więc, jak obywatel Kukiz opisywał w pornograficzny sposób, co też on sobie wyobraża w kontekście znamienitych kolegów „na prawicy" i ich dalszych losów. Ale potem stwierdził, że „utracił kontrolę nad kontem", i dodał, że następnego dnia je zlikwiduje, by wreszcie w innym medium społecznościowym się przyznać, że stracił kontrolę nie „nad kontem", lecz raczej nad sobą, lub – w domyśle – nad ilością wypijanego alkoholu „w piąteczek". Notabene, kto raz utracił kontrolę, nigdy jej już nie odzyska, o tym wiedzą najstarsi Indianie spod znaku Przyjaciół Billa W. Szkoda, że pan Kukiz nie powiedział prawdy wprost i szczerze, z miejsca przyznając się do popełnionych błędów, za to zrobił to na wpół żartując, puszczając oko i jeszcze sugerując, że każdemu się zdarza, a kto jest bez grzechu, niech rzuci kamieniem.

Oczywiście twitterowe szaleństwo ogarnia wszelkie obszary i uaktywnia obrzucających się błotem użytkowników od prawej do lewej. Nic tylko kupić popcorn, siąść i czytać.

Mnie najbardziej bawią te przypadki, w których zadeklarowani obrońcy tolerancji, piewcy wysokiej kultury i tropiciele „mowy nienawiści" używają jej sami, jako „bata" na przeciwników.

Przykład? Oto dr hab. Michał Bilewicz, wykładowca UW, po zamachu w Pittsburghu, nazwał prof. Stanisława Żerkę „ideowym pobratymcą" mordercy. Tylko dlatego, że profesor powiedział, iż w Niemczech „największym źródłem zagrożenia dla Żydów są imigranci". I tak oto ten, który na uniwersytecie wskazuje studentom przykłady „mowy nienawiści" w internecie, sam sięga po identyczną broń. Zamiast się zmierzyć z innym poglądem lub z nim dyskutować, sprowadza innego naukowca, z poważnym dorobkiem, do poziomu „pobratymcy ideowego" ekstremisty i mordercy. Belka w oku nie uwiera.

Apage faschisten!



Piotr Cywiński

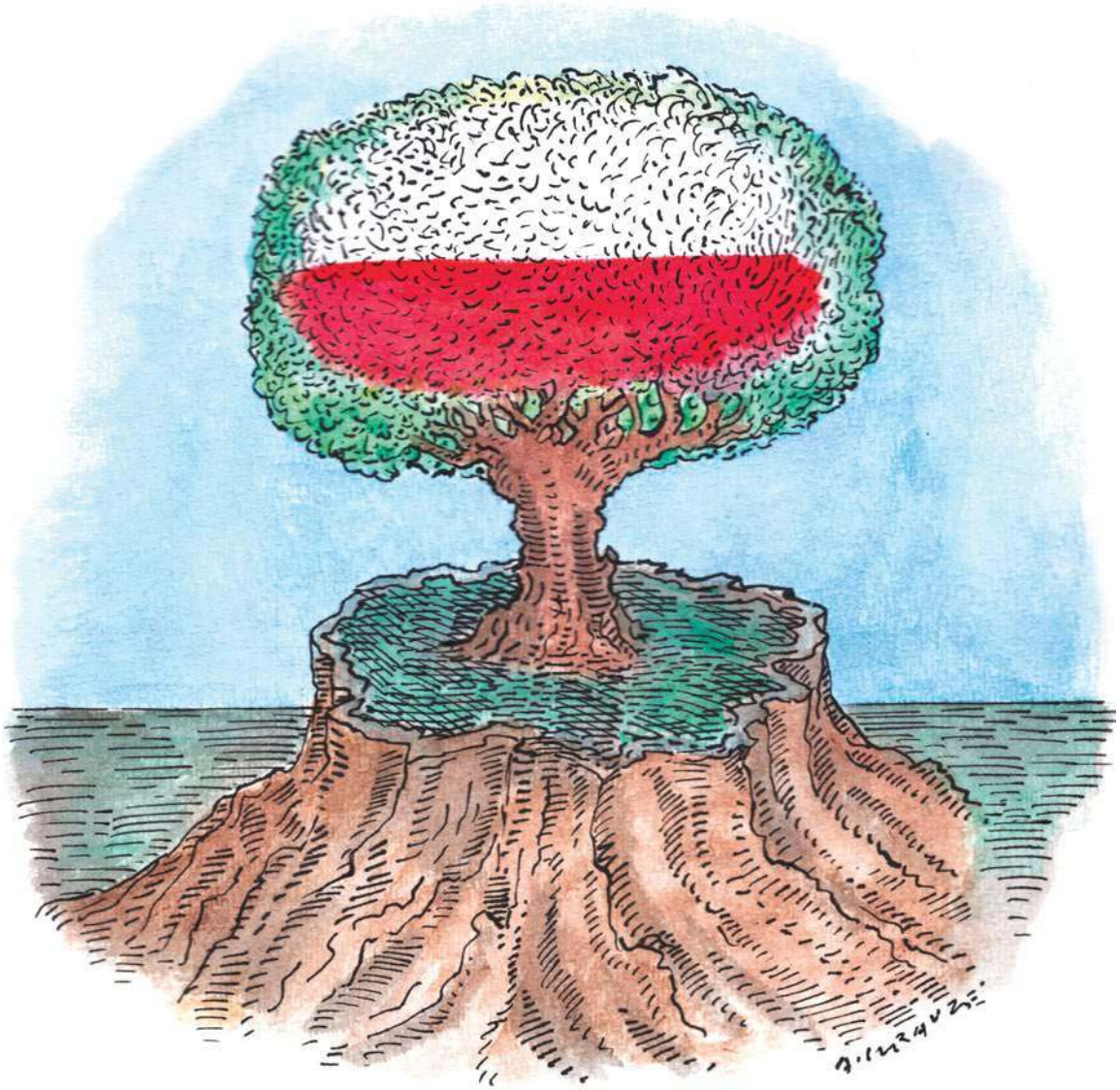
To się narobiło, gdziekolwiek spojrzeć – faszyści! Faszyści w Austrii, w Czechach też, chociaż tam się jeszcze nie ujawnili, i we Włoszech jak w Austrii władzę nawet zdobyli, na Węgrzech wystarczy rzut oka na tego „Benito" Orbána i jego Fidesz, w USA prezydent Trump niby republikanin, a po prawdzie także kryptofaszysta, no i teraz jeszcze w Brazylii ten nowy Borsalino, pardon, jak mu tam... Bolsonaro – wykapany faszysta. Pozbawiona władzy Partia Pracujących alarmowała o tym od miesięcy, ale ci durni Brazylijczycy przyczepili się do lewicy o jakieś drobne nieprawidłowości w rachunkach i obrali sobie tego gościa na prezydenta.

Że też cholernik przeżył ten zamach sprzed pierwszej tury, gdy jakiś przytomny obywatel niemal mu wypatroszył nożem płuco, wątrobę i jelita... No i teraz mają, co chcieli. Ten Borsalino, pardon, Borsonaro nawet nie kryje, że marzy mu się zamordyzm. Zaostrzenie Kodeksu karnego zapowiedział – że chce stosowania tortur i przywrócenia kary śmierci, ułatwienia dostępu do broni dla swych wyborców, i środowisk LGBTQ nienawidzi, żadnej tolerancji dla kochających jednopłciowych, żadnych praw małżeńskich dla gejów i lesbijek, i przeciw aborcji się opowiada, i chciałby, żeby kobiety tylko rodziły, a nie robiły kariery i zarabiały jak mężczyźni... – faszysta pełną gębą, orzekła brazylijska lewica, a po niej zrobiły to media różne, z niemieckimi włącznie. A Niemcy na faszyzmie znają się jak mało kto. Wprawdzie Włoch Benito Mussolini go wymyślił, ale potrafili spojrzeć prawdzie w oczy i w erefenie faszystów ani „alt", ani „neo" nie ma, bo Niemcy faszystami się brzydzą... Jak naszym faszystowskim rządem faszystowskiej partii i faszystowskim prezydentem, w ogóle wszystkimi nami, Polakami, faszystami.

A teraz jeszcze faszystowskie samorządy będą u nas w terenie, faszyzm wyziera już zza każdego rogu, wkrótce świat będzie mógł zobaczyć, jak wypełzną dziesiątki tysięcy faszystów na faszystowskim Marszu Niepodległości w Warszawie, niedaleko Auschwitz. Słusznie więc Niemcy zgrillowali tego faszystę Dudę na Forum Niemiecko-Polskim w Berlinie – będzie taki przyjeżdżał i opowiadał głupoty o jakiejś solidarności, i pouczał, że na przykład niemiecko-rosyjski rurociąg przyjaźni nie jest słuszny. Co za bezczelność! Apage faschisten! Basta! Aż chciałoby się zakrzyknąć: proletariusze wszystkich krajów, wyłączcie się! Przepraszam, oczywiście powinno być oddzielnie: „wy łączcie się!", tylko jakiś faszystowski chochlik mi to zmienił...

eprasa.pl e3b98bc95b

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, SHUTTERSTOCK; KOLORYZACJA: EMIL GOSKA,

eprasa.pl e3b98bc95b

100-lecie Niepodległości

Tylko Polsce służę

Rozmowa z marszałkiem Józefem Piłsudskim. Pytania zadawał Grzegorz Górny

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Panie Marszałku, trzy i pół roku temu przeprowadziliśmy rozmowę dla miesięcznika „Fronda". Mówił w niej pan rzeczy, które, mimo upływu czasu, pozostają aktualne. Wróćmy może do tamtych diagnoz i wskazań na przyszłość. Sytuacja bowiem lubi się powtarzać, a w przypadku naszego kraju co jakiś czas skazani jesteśmy na powtarzanie starych błędów.

Józef Piłsudski: Nic nowego pod słońcem – wszystko już było, wszystko się powtarza, a w gruncie rzeczy wszystko jest nowe. Ale z analogii historycznych nie należy wysuwać tych konkluzji. Może być inaczej.

Skoncentrujmy się więc nie tyle na historycznych analogiach, ile na pewnym szerszym rozpoznaniu naszych uwarunkowań. Polska jest dziś głęboko podzielona, wręcz pęknięta na dwie części, które nie są w stanie się porozumieć. To coś więcej niż tylko różnica polityczna...

Jednym z przekleństw naszego życia, jednym z przekleństw naszego budownictwa państwowego jest to, żeśmy się podzielili na kilka rodzajów Polaków, że mówimy jednym polskim językiem, a inaczej nawet słowa polskie rozumiemy, żeśmy wychowali wśród siebie Polaków różnych gatunków, Polaków z trudnością się porozumiewających, Polaków tak przyzwyczajonych do życia według obcych szablonów, według obcych narzuconych sposobów życia i metod postępowania, żeśmy prawie za swoje je uznali, że wyrzec się ich z trudnością możemy.

Trudno jednak dojść do porozumienia, gdy wzbudza się poczucie pogardy do własnych rodaków, a część z nich się poniża i wyklucza. Wie pan chyba, co to znaczy?

Był cień, który biegł koło mnie – to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka – cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swą brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nieszczędzący mi niczego, co szczędzić trzeba – rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie; ten potworny karzeł pełzał za mną jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów – to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie; ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski.

Dziś ten nastrój pogardy osiągany jest przez umiejętne – jak to nazywają specjaliści od PR – sterowanie emocjami. I to działa. Dlaczego?

Polacy nie są zorganizowanym narodem, wobec czego znaczy u nich więcej nastrój niż rozumowanie i argumenty; sztuką rządzenia Polakami jest zatem wzniecanie odpowiednich nastrojów.

Kluczowa jest więc kwestia komunikacji elit z masami.

Pamiętaj, że wartość ma nie to, co ty mówisz, ale to, jak się to odbija w mózgu słuchającego.

Ale czy to znaczy, że politycy powinni schlebiać społeczeństwu i mówić to, co ludzie chcą usłyszeć?

Nie ma lepszej pożywki chorobotwórczej dla bakterii fałszu i legend jak strach przed prawdą i brak woli.

Co zatem powinniśmy robić?

Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten

Partner strategiczny dodatku PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl e3b98bc95b



w najbliższych czasach będzie zwycięzcą, ten potrafi utrzymać to, co zyskał, albo odrobić to, co stracił.

Ale powodzenie w takim wyścigu jest niemożliwe bez kapitału społecznego, jakim jest wzajemne zaufanie i zalepienie tego pęknięcia, o którym mówiliśmy.

Czeka nas pod tym względem wielki wysiłek, na który my wszyscy, nowoczesne pokolenie, zdobyć się musimy, jeżeli chcemy zabezpieczyć następnym pokoleniom łatwe życie, jeżeli chcemy obrócić tak daleko koło historii, aby wielka Rzeczpospolita Polska była największą potęga nie tylko wojenną, lecz także kulturalną na całym wschodzie.

> Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym

Przepraszam, ale to, co pan mówi, brzmi dla wielu jak tromtadracja. Twierdzenie, że Polska może być regionalną potęgą, np. liderem aliansu państw Europy Środkowej, traktowane jest dziś jako coś nierealnego, wyraz narodowej megalomanii, bujanie w obłokach, czysta fantazja...

W dzieciństwie moim ciągle szeptano mi w uszy tzw. mądre przysłowia: „Nie dmuchaj pod wiatr!", „Głową muru nie przebijesz!" „Nie porywaj się z motyką na słońce!". Doszedłem potem do wniosku, że silna wola, energia i zapał mogą te właśnie zasady załamać. I obecnie kiedy stoimy wobec wielkich zadań dalszej budowy państwa polskiego, właśnie potrzeba nam ludzi, którzy potrafią tej starej mądrości tych przysłów się przeciwstawić.

Dlaczego jednak takich ludzi wciąż jest u nas zbyt mało. Dlaczego jako naród mamy tak mało wiary we własne siły?

Ogromnie rozpowszechnione jest u nas pojęciowe wytwarzanie przeszkód. I panowanie słowa nad rzeczywistością. Na każdym kroku widać, jak ludzie tworzą fetysze, argumenty i przeróżne twory, które żyjąc życiem własnym, stają się potem dla ich twórców niepotrzebną zaporą.

Czy ten obraz Polski nie jest dla pana rozczarowujący?

Myślałem, że wraz z odrodzeniem Polski materialnym i duchowym Polska odradzać się zacznie, że wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzwalać się zacznie od pracy agentur, że przestanie pracę dla obcych uważać za najrozumniejszą pracę dla Polski.

Wspomniał pan o agenturze...

Agentury jak jakieś przekleństwo idą dalej bok w bok i krok w krok.

Co w takim razie?

Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

Jeden z naszych byłych ministrów kilka lat temu stwierdził, że państwo polskie istnieje tylko teoretycznie.

Polska, sami Polacy to twierdzili, nierządem stoi. Polska to jest prywata, Polska to jest zła wola. Polska to jest anarchia. I jeśliśmy po upadku mieli sympatię dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucania nam opiekunów, wyznaczonych dla narodu anarchii, niemocy, swawoli, dla narodu, który się do upadku doprowadził prywatą nieznoszącą żadnej władzy.

Takim opiekunem ma być dla nas dzisiaj Unia Europejska. Czy można jednak zrezygnować z podmiotowości i zdać się całkowicie na Zachód?

Zachód jest parszywieńki.

To co? Lepsi są Rosjanie?

Wszyscy oni są mniej lub więcej zakapturzeni imperialiści, nie wyłączając rewolucjonistów. Żywiołowy centralizm jest cechą tych umysłów, wiecznie tęskniących do absolutu. Nie znoszą rozmaitości, nie umieją godzić sprzeczności – nużą one ich wolę i wyobraźnię do tego stopnia, że nie mogą stopić rozmaitości w jedną całość, odrzucają zupełnie nawet potrzebę świadomych społecznych organizacji.

Są jednak w Rosji także zwolennicy demokracji...

Dziwna jednak rzecz, że nie spotkałem wcale wśród Rosjan republikanów!

A co z Ukrainą? Toczy teraz wojnę o zrzucenie zależności od Moskwy.

Szczęśliwy będę, kiedy nie ja – mały sługa swego narodu – ale przedstawiciele sejmu polskiego i ukraińskiego ustanowią wspólną platformę porozumienia. W imieniu Polski wznoszę okrzyk: Niech żyje wolna Ukraina!

Zwolennicy pomagania dziś Ukrainie często powołują się właśnie na pańskie idee. Czy to zaangażowanie ma sens?

Jest to eksperyment. Rzecz się tak przedstawia, skoro ja – że się tak wyrażę – jestem tym, który Polskę wciągnąłem w to przedsięwzięcie, to mogę powiedzieć, że daję

eprasa.pl e3b98bc95b



teraz Ukraińcom możliwości. Jeśli im się uda, to się uda; nie osiągną sukcesu, to nie będą go mieć. Są dwa sposoby, by nauczyć ludzi pływania. Wolę sposób rzucania ich na głęboką wodę i zmuszania, by pływali. To właśnie robię z Ukraińcami.

Zmieniając temat, od jakiegoś czasu trwa u nas dyskusja o polityce historycznej. Czy jest sens wciąż wracać do przeszłości? Czy nie lepiej porzucić kombatanctwo i wybrać przyszłość?

Naród, który nie szanuje swej przeszłości, nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości.

Ale dlaczego tak ważna jest pamięć historyczna?

Naród, który traci pamięć, przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi czasowo zajmujących dane terytorium.

A pan osobiście jak spogląda na historię naszego kraju?

Gdy myślę o dziejach tak oryginalnych naszego państwa, naszego narodu, gdy myślą się przenoszę do dawnych czasów, gdy Polska z map świata, jako państwo polityczne, wymazana była, widzę historię wielką mistrzynię życia, jak cicho stąpa, zbiera swoje prawdy, zbiera wszystkie grozy świata, wszystkie jego radości. Myślę, że gdy przechodzi ona tak, jak ongi przed upadkiem Rzeczypospolitej, tak i teraz, i po naszej ziemi, po naszych osadach, tak samo cicho, patrząc na ludzi, zbierając wszystkie mądrości i wszystką głupotę, to sądzę, że nieraz wiele musi prawd przepuszczać, i tylko dzięki zaiste niepojętej, a tak wielkiej i niezbadanej litości boskiej, ludzie w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach, udając człowieka.

Gorzkie to słowa.

Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy.

Nie za ostro?

Choć nieraz mówię o durnej Polsce, wymyślam na Polskę i Polaków, to przecież tylko Polsce służę.

Jaki przekaz ma pan dla dwóch największych partii w Polsce?

Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska.

Jeden z polskich polityków, były szef dyplomacji, powiedział niedawno, że gdyby Rosjanie ruszyli na Polskę, to on by uciekł do Australii. A co pan powiedział Tuchaczewskiemu, gdy ten maszerował na Warszawę?

Bierz dupę w troki i spierdalaj do swojego gównianego kraju!

W tekście użyto oryginalnych wypowiedzi marszałka Józefa Piłsudskiego, pochodzących z jego pism, przemówień oraz rozmów z nim.

eprasa.pl e3b98bc95b

Portret naszej niepodległości



Często prezentowana fotografia Józefa Piłsudskiego witanego na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie nie pochodzi – jak się powszechnie uważa – z 1918 r. Zrobiono ją dwa lata wcześniej, 12 grudnia 1916 r., gdy Komendant przybył do stolicy na rozmowy z członkami Tymczasowej Rady Stanu. Nieścisłość wynika zapewne z tego, że 10 listopada 1918 r. Piłsudski przyjechał w tajemnicy, o fotografii nikt nie pomyślał, a rankiem na dworcu witała go zaledwie grupka najbardziej zaufanych osób z Polskiej Organizacji Wojskowej i członek Rady Regencyjnej – Zdzisław Lubomirski. Dzień później, 11 listopada, Piłsudski przejął władzę wojskową i to ta data została uznana za historyczne odzyskanie niepodległości Rzeczypospolitej. Co ciekawe, parlament uchwalił tę datę jako święto państwowe dopiero w 1937 r.



Fot. NAC x2

Podczas konferencji w Wersalu zapadła decyzja, że odrodzone państwo polskie nie dostanie portu gdańskiego, który wejdzie w skład sztucznego tworu o nazwie Wolne Miasto Gdańsk. W zamian przypadł nam w udziale jedynie 75-kilometrowy dostęp do wybrzeża Bałtyku. Posiadanie własnego portu wydawało się koniecznością, o co konsekwentnie zabiegał rząd, a w szczególności wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. W pierwotnych planach wskazywano Puck, ostatecznie 23 września 1922 r., pod długiej i burzliwej debacie, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej przyjął ustawę w sprawie budowy „portu morskiego przy Gdyni na Pomorzu". Tak zaczęła się historia „miasta z morza i marzeń", które szybko stało się jednym z najszybciej rozwijających się ośrodków nadbałtyckich.

1916 **1935**

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. MPW

To jedno z najbardziej znanych zdjęć wykonanych podczas powstania warszawskiego. „Szedłem do naszej kwatery obładowany bronią zdobytą na Niemcach i wtedy przed sobą zobaczyłem ekipę filmowców. Zaczęli krzyczeć do mnie: »Uśmiechnij się!« No to się uśmiechnąłem" – opowiadał historię tej fotografii Witold Kieżun, powojenny profesor ekonomii. To było 23 sierpnia 1944 r. na dziedzińcu zdobytej po trudnej walce komendy policji przy Nowym Świecie 67/69 i Krakowskim Przedmieściu 1. Powstańcy warszawscy mimo klęski zrywu mówią, że w sierpniu i wrześniu 1944 r. przeżyli piękne lato i niezapomniane 63 dni wolności.

1944



Fot. NAC

Wielu żołnierzy Armii Krajowej nie zgodziło się z powojenną rzeczywistością, dla nich nie była to wolność, a jedynie przejście spod okupacji niemieckiej pod sowiecką. Las stał się ich domem. Danuta Siedzikówna „Inka" na tej fotografii otoczona jest chłopcami z oddziału mjr. Zygmunta Szendzialarza „Łupaszki". Mimo młodego wieku obowiązki sanitariuszki wykonywała z pełnym poświęceniem, opatrywała nie tylko kolegów oddziału, pomagała również rannym wrogom. Imponująca była jej niezłomność po tym, jak została aresztowana przez UB. Mimo ciężkich tortur nie wydała nikogo, prosiła, by przekazano jej babci, że „zachowała się, jak trzeba". Zamordowano ją w gdańskim więzieniu 28 sierpnia 1946 r., sześć dni przed 18. urodzinami. Zanim padła salwa plutonu egzekucyjnego, zdążyła jeszcze krzyknąć: „Niech żyje Polska!".

1946

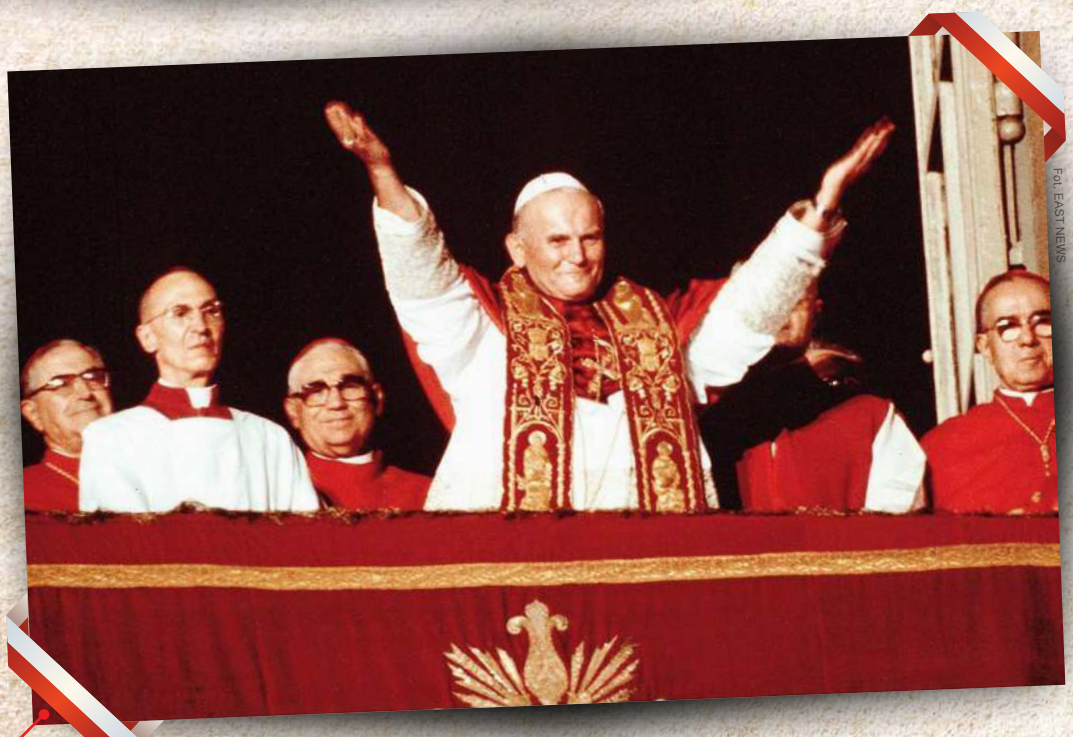
eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. EAST NEWS

Grudzień 1970 – czas masakry na Wybrzeżu. „Na drzwiach ponieśli go Świętojańską…” – to fragment ballady o Janku Wiśniewskim, która mówi o młodym chłopcu zastrzelonym na ulicach Gdyni 17 grudnia. To wydarzenia autentyczne, a prawdziwą ich ofiarę widać na fotografii. Załoga stoczni została ostrzelana w drodze do pracy w okolicy stacji Szybkiej Kolei Miejskiej. W rzeczywistości chłopak niesiony na drzwiach nazywał się Zbyszek Godlewski, a jego ciało zaniesiono pod siedzibę Miejskiej Rady Narodowej przy ul. Czołgistów. W Gdyni od kul milicji i wojska zginęło wówczas 10 osób. Do dziś nikt za tę zbrodnię nie odpowiedział.

„Habemus papam” – 16 października 1978 r. dopiero po ósmym głosowaniu z komina na dachu kaplicy Sykstyńskiej uniósł się biały dym. Zgromadzeni na balkonie bazyliki św. Piotra w Rzymie kardynałowie ogłosili, że papieżem został Karol Wojtyła, przybysz z dalekiego kraju, pierwszy zwierzchnik Kościoła katolickiego, który nie był Włochem. W kraju zapanowała wielka radość, ale umęczeni komunizmem Polacy nawet nie podejrzewali, jak bardzo ten wybór wpłynie na historię kraju. Nie ma wątpliwości, że Jan Paweł II otworzył swoim rodakom drzwi do wolności. Choć nadeszła ona dopiero 10 lat po tym, jak na pl. Piłsudskiego w Warszawie usłyszeliśmy pamiętne słowa Jana Pawła II: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”.



Fot. EAST NEWS

1970 1978

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. FOTONOVA

Anna Walentynowicz – skromna suwnicowa ze Stoczni Gdańskiej, uczciwie i otwarcie mówiąca prawdę o realiach komunizmu, zaskarbiła sobie sympatię załogi, ale i ściągnęła na siebie gniew władzy. Za niezależną działalność związkową została dyscyplinarnie zwolniona z pracy 8 sierpnia 1980 r., co stało się bezpośrednią przyczyną strajku stoczniowców. Jednym z postulatów strajkujących było przywrócenie jej do pracy. Mimo że ten warunek został spełniony, Walentynowicz nie pozwoliła na przerwanie strajku, oburzając się na zgniły kompromis z władzą. Dlatego że najpierw myślała o innych, a potem o sobie, nazywana jest „Anną Solidarność". Zginęła w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r.



Fot. Tomasz Wierzejski/FOTONOVA

Autorem plakatu „W samo południe" – wielkiego symbolu wyborów parlamentarnych z czerwca 1989 r. – jest Tomasz Sarnecki, warszawski artysta plastyk. Rewolwerowiec podobny był do aktora Gary'ego Coopera, ale plakat stał się tak popularny, że wiele osób chciało być uznawanych za pierwowzór szeryfa, który chce zaprowadzić sprawiedliwość. Najczęściej widział się w tej roli Lech Wałęsa, ale prawda jest inna. Plastyk, tworząc postać idącego mężczyzny, wzorował się na fotografii własnego dziadka, który szedł w ułańskim mundurze ul. Marszałkowską w Warszawie.

1980 1989

eprasa.pl e3b98bc95b

Lista ofiar katastrofy, która wydarzyła się w sobotni poranek 10 kwietnia 2010 r., jest porażająca. Zginęli wszyscy, którzy wraz z prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego małżonką Marią oraz ostatnim prezydentem RP na uchodźstwie Ryszardem Kaczorowskim lecieli do Katynia na obchody 70. rocznicy zbrodni sowieckiej na polskich oficerach. Dowódcy wszystkich rodzajów wojsk, duchowni, politycy, działacze społeczni, 96 osób. Ich portrety widzieliśmy na ołtarzu podczas mszy świętej żałobnej 17 kwietnia 2010 r. Wciąż trudno zrozumieć, jak to możliwe, że nieludzka ziemia znów zabrała nam elitę polskiego narodu.



Fot. WOJTEK LASKI/EAST NEWS



Fot. A.Iwańczuk/REPORTER

Polska jest członkiem Unii Europejskiej od 1 maja 2004 r. Tego dnia do wspólnoty przyjęto także Cypr, Czechy, Estonię, Litwę, Łotwę, Maltę, Słowację, Słowenię i Węgry. O ile potrzeba przynależności Polski do UE nie jest kwestionowana w polskim społeczeństwie, o tyle kontrowersje budzi kwestia stopnia integracji europejskiej i ingerencji wspólnotowych instytucji w wewnętrzne sprawy państwa.



Fot. P. Życieński

Prace poszukiwawcze i ekshumacyjne na „Łączce", bo tak nazywana jest kwatera „Ł" cmentarza na warszawskich Powązkach, to jeden z najsilniejszych symboli polskiej niepodległości. To tutaj komuniści grzebali bez szacunku polskich żołnierzy pomordowanych w areszcie przy ul. Rakowieckiej. Dzięki kilkuletnim pracom historyków i wolontariuszy IPN pod kierownictwem prof. Krzysztofa Szwagrzyka mamy pewność, że tutaj w ziemi nie zostały juz żadne szczątki, ale to nie znaczy, że praca jest zakończona, wciąż czekamy na ich identyfikację. A poza tym każdy powiat w Polsce ma swoją „Łączkę", każdy żołnierz wyklęty jest dla państwa polskiego tak samo ważny. Jak powiedział podczas jednego z uroczystych pogrzebów prezydent Andrzej Duda: „Nie zwracamy im honoru, bo oni go nigdy nie utracili. Zwracamy honor Polsce, nareszcie wypełniając obowiązek godnego pochówku naszych bohaterów".

2004 2010 2014

eprasa.pl e3b98bc95b

48/2018/F

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

2018



wspieramy pamięć

PGE Polska Grupa Energetyczna

MECENAS OBCHODÓW
SETNEJ ROCZNICY
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl e3b98bc95b

Cena wolności, cena niewoli



GRZEGORZ GÓRNY

Gdy zapytać przeciętnego Francuza, czy wyobraża sobie, że mogłoby nie być Francji, żachnie się pytająco: „Jak to mogłoby nie być Francji?”. Taki scenariusz nie mieści mu się w głowie. Podobnie Anglik czy Niemiec. Tymczasem dla Polaka to całkiem realna możliwość

To nie kwestia wyobraźni, lecz doświadczenia. Pokolenie naszych dziadków rodziło się przecież w czasie, gdy Polski na mapie nie było.

Mamy unikatowe doświadczenie: z jednej strony byliśmy mocarstwem – na przełomie XV i XVI w. największym państwem w Europie, a z drugiej – na ponad stulecie wykreślono nas z mapy świata. To dlatego Joseph Conrad mógł z zadziwiającą zachodnich czytelników oczywistością opisywać współczesny sobie świat z dwóch perspektyw, współodczuwając zarówno z narodami dominującymi, jak i ludami podbitymi, co stanowiło jawny kontrast np. z Kiplingiem czy innymi pisarzami epoki kolonialnej. Świadomość, jak krucha jest niepodległość, jak cienka granica dzieli wielkość od unicestwienia, byt państwowy od niebytu, wpisana została w nasz kod kulturowy.

WOLNOŚĆ KOSZTUJE, NIEWOLA TEŻ

Podczas swego przemówienia w Belwederze w 1979 r. Jan Paweł II powiedział: „Nigdy nie możemy zapomnieć tej straszliwej lekcji dziejowej, jaką była utrata niepodległości Polski od końca XVIII do początku bieżącego stulecia. To bolesne, w istocie swojej negatywne doświadczenie stało się jakby nową kuźnią polskiego patriotyzmu. Słowo »ojczyzna« posiada dla nas takie znaczenie pojęciowe i uczuciowe zarazem, którego, zdaje się, nie znają inne narody Europy i świata. Te zwłaszcza, które nie doświadczyły takich jak nasz naród dziejowych strat, krzywd i zagrożeń”.

Wiemy, że niepodległość ma swoją cenę i kosztuje wiele ofiar. Ale brak niepodległości ma nieporównywalnie większą cenę i kosztuje znacznie więcej ofiar. Więcej Polaków zginęło bowiem wcielonych przymusem do armii zaborczych, walcząc w interesie swoich ciemiężycieli, niż podczas wszystkich zrywów niepodległościowych.

Wystarczy przypomnieć tylko bitwę pod Łodzią, stoczoną w dniach 11 listopada–6 grudnia 1914 r. pomiędzy wojskami rosyjskimi a niemieckimi. Zginęło w niej ok. 200 tys. ludzi, w tym dziesiątki tysięcy Polaków, wcielonych do obu wrogich sobie armii i zmuszonych do strzelania do siebie nawzajem. Wcześniej też nie było lepiej. W latach 1832–1873 do armii rosyjskiej wcielono 309 tys. poborowych z Królestwa Polskiego. Aż 75 proc. z nich nie wróciło nigdy do domu: zginęli w trakcie walk lub zmarli podczas pobytu w wojsku, głównie na skutek fatalnych warunków, w jakich przyszło im pełnić służbę.

Status mięsa armatniego to nie najgorsze, co mogło się przytrafić. Można przecież przez naród filozofów, poetów i kompozytorów zostać sprowadzonym do poziomu insektów przeznaczonych do wytępienia i masowo mordowanych co dzień na różne wymyślne sposoby. Chodzą jeszcze po ziemi ostatni przedstawiciele pokolenia, które doświadczyło tego na własnej skórze.

eprasa.pl e3b98bc95b

Ofiary w ludziach to niejedyna cena braku niepodległości. To także innego rodzaju krzywdy: ograniczanie możliwości rozwoju, łamanie sumień, szykany, dyskryminacja, upokorzenie, poniżenie. To codzienna, przygniatająca rzeczywistość całych pokoleń Polaków, która umyka nam często z pola widzenia, gdy rozważamy ich motywacje. W liście do Feliksa Perla z 1908 r. Józef Piłsudski pisał: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze – ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką".

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Juliusz Kaden-Bandrowski pisał o „radości z odzyskanego śmietnika". Dzisiejsi krytycy skłonni są często uważać, że było to określenie wymierzone w rzeczywistość II Rzeczypospolitej. Autorowi „Generała Barcza" chodziło jednak o coś innego – o to, że zaborcy zamienili nasz kraj, naszą ojczyznę w śmietnik. Albo – jak mówił Piłsudski – w wychodek. Dla Polaków w tamtych czasach to była realna cena braku niepodległości, doświadczana każdego dnia – życie w sraczu.

UPADEK ZACZYNA SIĘ W GŁOWACH

„Może czasem zazdrościmy Francuzom, Niemcom czy Amerykanom, że ich imię nie jest związane z takim kosztem historii, że o wiele łatwiej są wolni, podczas gdy nasza polska wolność tak dużo kosztuje", mówił do młodzieży zgromadzonej na Jasnej Górze w 1983 r. Jan Paweł II i dodawał: „Powiem tylko, że to, co kosztuje, właśnie stanowi wartość. Nie można zaś być prawdziwie wolnym bez rzetelnego i głębokiego stosunku do wartości. Nie pragnijmy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała".

Historia pokazuje nam wyraźnie, że własne państwo jest dla narodu najlepszą formą jego ochrony i rozwijania twórczych możliwości. Pokazuje również, że nie jest ono dane raz na zawsze i trzeba umieć o nie mądrze dbać. Tego zabrakło naszym przodkom w XVIII stuleciu. Rzeczpospolita stała się wówczas państwem teoretycznym, niepodejmującym żadnych reform wzmacniających ją politycznie, ekonomicznie i militarnie. Była wdzięcznym polem operacji dla licznych agentów prowadzących przeciw niej wojnę hybrydową. Polskie elity żyły zaś w tym czasie w błogim przeświadczeniu, że nasi najwięksi wrogowie są naszymi sojusznikami. Otrzeźwienie przyszło za późno.

Dziś, gdy przypominamy bohaterów, którzy oddawali życie za to, byśmy żyli wolni, nie zapominajmy zarazem o tych, którzy tę naszą wolność wcześniej utracili. Gdyby nie głupota i nikczemność tych drugich, niepotrzebna byłaby ofiara krwi tych pierwszych. Można bowiem utracić wolność w walce, a można ją po prostu sprzedać lub roztrwonić.

Pamiętajmy, że upadek Rzeczypospolitej zaczął się w głowach jej obywateli, gdy etos republikański zastąpiony został przez kult prywatności. Gdy nastąpiło zmęczenie polskością rozumianą jako zobowiązanie do ponoszenia wyrzeczeń dla ojczyzny. Gdy wzorcem osobowym przestał być waleczny rycerz i obrońca wiary, a stał się nim rubaszny kompan, dowcipny towarzysz zabaw i hulanek. Gdy w umysły elit wdarło się przekonanie, że Polski nie stać na prowadzenie podmiotowej polityki na arenie międzynarodowej, a dobro kraju wymaga zestrojenia się z interesami wielkich potęg.

Doszła do tego trwająca kilkadziesiąt lat polityka wewnętrznego rozkładu Rzeczypospolitej prowadzona wytrwale przez ekspozytury rosyjską i pruską. W efekcie zniknięcie jednego z największych państw Europy dokonało się właściwie bez większego oporu – nie licząc powstania kościuszkowskiego, które z powodu szczupłości sił nie miało szans na powodzenie. Miarą małości ówczesnych elit okazało się to, że rozbiory zostały zaakceptowane niemal jednomyślnie przez samych reprezentantów narodu. O ile przeciw pierwszemu rozbiorowi protestowało zaledwie trzech posłów: Tadeusz Reytan, Samuel Korsak i Stanisław Bohuszewicz, o tyle podczas obrad ostatniego sejmu I Rzeczypospolitej nie znalazł się na sali ani jeden poseł, który sprzeciwiłby się drugiemu rozbiorowi.

> Niepodległość ma swoją cenę i kosztuje wiele ofiar. Ale brak niepodległości ma nieporównywalnie większą cenę i kosztuje znacznie więcej ofiar

Dlatego w 1991 r. podczas mszy beatyfikacyjnej bł. Rafała Chylińskiego, franciszkanina żyjącego w XVIII w., Jan Paweł II, wspominając tamte czasy, mówił: „Trzeba nam na tym miejscu rozpamiętywać wielkość woli, ale także i jej małość, samolubstwo i interesowność, sprzedajność wreszcie i podeptanie wspólnej sprawy". I dodawał: „Były to smutne czasy, nie tylko z punktu widzenia historii politycznej I Rzeczypospolitej, ale także z punktu widzenia moralności społecznej. [...] Były to smutne czasy, były to czasy jakiegoś zadufania w sobie, bezmyślności, konsumizmu rozpanoszonego wśród jednej warstwy".

Papież przestrzegał wówczas przed niebezpieczeństwem recydywy saskiej. Walka o wolność toczy się bowiem nie tylko w czasach niewoli, lecz również w czasach wolności. Niepodległość można nie tylko zdobyć czy odzyskać, lecz także zachować lub stracić. Dlatego nie jest to zadanie jedynie dla ludzi postawionych pod ścianą i zmuszonych do dokonywania wyborów w sytuacjach ekstremalnych. Nie skazujmy naszych potomków na taką alternatywę. To zmaganie, które dokonuje się tu i teraz, przez sumę naszych codziennych wyborów. Stawka naprawdę jest olbrzymia.

eprasa.pl e3b98bc95b

Gen walki w imię Boga



MARCIN WIKŁO

Polska wolność w 1918 r. nie wzięła się z przypadku. Trzeba było determinacji i ciężkiej pracy w skrajnie niesprzyjających warunkach. Tego zadania mogli się podjąć tylko ludzie wychowani i ukształtowani w duchu moralnej czystości. Swoją siłę wzięli z wiary i przeszłości, wynieśli ją z domów. Ich wzór emanował na kolejne pokolenia, które jeszcze nieraz musiały walczyć o niepodległą ojczyznę

Upadek powstania styczniowego to była krwawa jatka. Polakom znów się nie udało. Wydawało się, że nadzieja na wolność rozpłynęła się w rosyjskim terrorze. 5 sierpnia 1864 r. na stokach Cytadeli Warszawskiej zostali powieszeni członkowie władz Rządu Narodowego z Romualdem Trauguttem, ostatnim dyktatorem zrywu. Umęczeni ludzie z lekceważeniem podchodzili do wygłaszanych przez niego myśli, które w obliczu klęski często brano za naiwność: „Polska istnieć będzie, bo istnienie jej dla postępu ludzkości nie tylko jest potrzebnym, ale i koniecznym". Wtedy nic na to nie wskazywało, a smuta była tym głębsza, że na stryczek zaprowadzono właśnie elitę, która o polskiej wolności odważała się rozważać głośno. „Dążnością Rządu Polskiego być powinno, jest i będzie zawsze prowadzenie ludu Polskiego drogą prawdy, drogą wskazaną przez Boskiego Nauczyciela naszego".

NARÓD MA PAMIĘTAĆ

Józef Piłsudski urodził się trzy lata po śmierci Romualda Traugutta. Naczelnik pozostawił po sobie mnóstwo cytatów, bardzo popularne są rzecz jasna te, które świadczą o jego ekstrawagancji (np. „Bić k... i złodziei"), ale są i słowa świadczące o tym, że ten genialny strateg siłę brał z modlitwy. „Gdy podejmuję ważne decyzje, modlę się wpierw do Matki Bożej Ostrobramskiej". A ważnych decyzji musiał Piłsudski podjąć w swoim życiu naprawdę wiele. Bo zbudowanie polskiej niepodległości, celowo zaznaczam, że mówimy o pewnym procesie, i to mozolnym, a nie incydentalnym zbiegu okoliczności, wymagało i wiedzy, i roztropności, a w szczególności wyciągnięcia wniosków z przeszłości.

Piłsudski widział, że jego rodacy są zniechęceni porażkami, że odruchem jest niemyślenie o kolejnych zrywach, bo niesie to za sobą zbyt duże ryzyko. „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym". Zżymał się Piłsudski, ale nie próbował zmuszać Polaków, by zapomnieli o przeszłości, wręcz przeciwnie. „Naród, który traci pamięć, przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi czasowo zajmujących dane terytorium". Taka postawa musiała zaprocentować. I to tutaj, wśród ojców polskiej niepodległości zaczęło się wychowanie patriotów na – rzec można bez ryzyka – skalę masową.

Choć rok 1918 to był dopiero początek, państwo polskie było wyniszczone i biedne, a mimo to Polacy potrafili pracować i współpracować. Tak, by w 1920 r. tę młodą Polskę obronić przed bolszewicką nawałą. Skąd była ta siła? Po części pewnie z entuzjazmu, że oto mamy coś, czego nie było przez 123 lata, własne miejsce na mapie i plany na przyszłość. Wtedy też doświadczyliśmy, że istnienie Rzeczypospolitej wśród państw

eprasa.pl e3b98bc95b

europejskich nie było – jak twierdził Traugutt – potrzebą i koniecznością. Konieczna była praca całego narodu, ale impuls szedł od jednostek wybitnych, które dzisiaj nazywamy ojcami polskiej niepodległości. Obok Piłsudskiego nie można nie wspomnieć Romana Dmowskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego i Ignacego Daszyńskiego.

POLSKI CHARAKTER

Jak skuteczna to była szkoła patriotyzmu, przekonaliśmy się już niebawem. Polscy oficerowie w kleszczach totalitaryzmów – niemieckiego i radzieckiego – nie dopuszczali możliwości kolaboracji. Jacy byli? „Charakter nieskazitelny. Wymagający od innych, surowy dla siebie, a jednak wyrozumiały i sprawiedliwy" – to opinia zwierzchników służbowych o Mieczysławie Smorawińskim, późniejszym generale, zamordowanym w 1940 r. w Katyniu. To była zemsta Stalina za porażkę w wojnie polsko-bolszewickiej, radziecki tyran musiał mieć świadomość, że tej polskiej elity niczym nie kupi, że z nią Polska będzie walczyła do końca. By ją pokonać, musiał ich zgładzić.

To było pokolenie, które chciało się wymknąć międzywojennemu realizmowi. Nasycone marzeniami musiało wyjątkowo dotkliwie odczuć chłód żołnierskiego drylu. „Nas nauczono. Nie ma litości. Po nocach śni się brat, który zginął, któremu oczy żywcem wykłuto, któremu kości kijem złamano, i drąży ciężko bolesne dłuto, nadyma oczy jak bąble – krew" – pisał latem 1943 r. Krzysztof Kamil Baczyński. Tytuł wiersza – „Pokolenie". Młodzi chłopcy, szaleńczo zakochani w swych dziewczynach, dostali do rąk karabiny i stanęli do obrony ojczyzny. Musieli? Może i nie, ale wszczepiono im, że widniejący już wtedy na żołnierskich sztandarach napis „Bóg, Honor, Ojczyzna" to przede wszystkim zobowiązanie. Tak ich wychowano, to wynieśli z domów. Ich rodzice pamiętali jeszcze zabory, na wolność ciężko zapracowali, nie mogli dzieci uczyć niczego innego jak miłości do Polski.

W marcu 1963 r. zespół The Beatles nagrywa debiutancki album „Please, Please Me" z hitem „Love Me Do", który podbija listy przebojów. To w Wielkiej Brytanii, która podobnie jak większość świata o II wojnie światowej już zapomina, a ludzie chcą się bawić i śpiewać o miłości. Naprawdę trudno byłoby komuś z zewnątrz wytłumaczyć, że wtedy wciąż w podlubelskich lasach ukrywał się Józef Franczak „Laluś", ostatni żołnierz wyklęty. Zginął w obławie w październiku 1963 r. Inni aż tak długo nie wytrzymali. „Walczyliśmy o Orła, teraz – o koronę dla Niego, hasłem naszym Bóg, Ojczyzna, Honor" – pisał w ulotce tłumaczącej sens walki partyzanckiej w 1945 r. mjr Józef Kuraś „Ogień". Zamordowano go w lutym 1947 r. „My chcemy Polski suwerennej, Polski chrześcijańskiej, Polski – polskiej. [...] Święcie będziemy stać na straży wolności i suwerenności Polski i nie wyjdziemy dotąd z lasu, dopóki choć jeden Sowiet będzie deptał Polską Ziemię" – to cytat z ulotki kpt. Władysława Łukasiuka „Młota", podlaskiego dowódcy 6. Brygady Wileńskiej AK. Zginął w 1949 r. „Nie jesteśmy żadną bandą, tak jak nas nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej Ojczyzny. My jesteśmy z miast i wiosek polskich. [...] wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za pieniądze, ordery lub stanowiska z rąk sowieckich, mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości" – pisał z kolei mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka". Zamordowano go strzałem w tył głowy w lutym 1951 r. w więzieniu na Mokotowie. Ciało ukryto w dole śmierci na „Łączce".

ODRODZENIE

Przez lata komunizmu polska ziemia nasiąkła krwią tych, którzy nie godzili się na utratę polskiej suwerenności. Ryszard Siwiec, były żołnierz Armii Krajowej, próbował odnaleźć się w „wolnej" powojennej Polsce. Dał jednak znać charakter wyniesiony z domu i świadomość doświadczeń poprzednich pokoleń. Odrzucił propozycję objęcia posady nauczyciela historii: „Nie będę uczył głupstw". Zatrudnił się jako księgowy w spółdzielczej wytwórni win. Zajmował się także ogrodnictwem i hodowlą kur, co pomagało mu utrzymać żonę i pięcioro dzieci. Agresja na Czechosłowację w 1968 r. z udziałem wojsk polskich przekonała go, że należy wstrząsnąć sumieniem rodaków. Podpalił się podczas dożynek na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. „Opamiętajcie się! Jeszcze nie jest za późno!" – to ostatnie słowa z jego dramatycznej odezwy.

> Polscy oficerowie w kleszczach totalitaryzmów – niemieckiego i radzieckiego – nie dopuszczali możliwości kolaboracji

Wydawało się, że szczelnie domknięty komunistyczny układ stłumi w końcu jakiekolwiek przejawy polskich dążeń do niepodległości. Po masakrze na Wybrzeżu w 1970 r. było to prawie pewne. Polacy byli naprawdę blisko wiary w Boga, a kościoły wydawały się jedynymi wysepkami wolności. I wtedy, 16 października 1978 r., wydarza się coś naprawdę niespodziewanego. Polak Karol Wojtyła, przybysz z dalekiego kraju, został papieżem. I tchnął w swoich rodaków nadzieję, że historia tego dumnego narodu nie może ugrzęznąć pod sowieckim butem. Może spod niego wyjść, ale tylko idąc ramię w ramię z Bogiem. Dosłownie u progu wolnej Polski, w 1987 r., mówił, być może przypadkowo tłumacząc wszystkie poprzednie pokolenia, które decydowały się bronić spraw dla siebie ważnych: „Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte, jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić, jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć, jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić, nie można zdezerterować". Jak Traugutt, Piłsudski i kolejni...

eprasa.pl e3b98bc95b

Druga połowa niepodległości



MACIEJ PAWLICKI

O sile, o istnieniu Polski nie zdecyduje jedno zjednoczenie, ale uczynią to setki, tysiące polskich zjednoczeń

Ze stu lat odzyskanej niepodległości zabrano nam połowę. Sąsiedzi z prawa i lewa zatroszczyli się, by w latach 1939–1989 niepodległej Polski nie było. Były dwie odbudowy polskiego państwa: 20-letnia, przerwana, i 30-letnia, która trwa. Nadzieję, że nic jej nie przerwie, budujemy mądrzejsi o doświadczenia dwóch totalitaryzmów wyhodowanych tuż obok młodej Polski, a potem włażących do niej, by niszczyć, palić, grabić, mordować, gwałcić, więzić, torturować, znieważać, upadlać, niewolić, okłamywać, ogłupiać, przekupywać, zdradzać, wynaradawiać... Ostateczna likwidacja Polski i Polaków była blisko.

Łaska Opatrzności oraz ogrom odwagi, poświęcenia, krwi, cierpienia, determinacji, talentów i mądrości milionów Polaków sprawiły, żeśmy Polskę dwukrotnie odzyskali, wyrywając ją Prusakom, Rosjanom, Austriakom, Niemcom prowadzonym przez Hitlera narodowych socjalistów i komunistom prowadzonym przez Moskwę. Połowa zniewolona, połowa odzyskana. Albo raczej odzyskiwana. Bo przecież po 11 listopada 1918 r. walka o Polskę, jej granice i tożsamość trwała długo. Polscy i żydowscy komuniści walczyli, byśmy stali się sowiecką republiką, Czesi oraz niemieccy i austriaccy kolejarze blokowali transporty z amunicją dla Polaków walczących z sowiecką agresją. Tylko Węgrzy przysłali nam 60 mln naboi, bez których nie wygralibyśmy Bitwy Warszawskiej, nie ocalilibyśmy Europy przed najpaskudniejszym systemem zniewolenia. Choć czasem przychodzi niepoprawna myśl – może szkoda, że Europa Zachodnia komunizmu nie doświadczyła, rozumiałaby dziś o wiele więcej...

Po roku 1989 walki o granice nie było, ale walka o podmiotową i sprawiedliwą Polskę była i nadal trwa. Zarówno zewnętrzna, jak i wewnętrzna. Gdy w sierpniu 1914 r. Pierwsza Kadrowa wkraczała do miast rosyjskiego zaboru, entuzjazmu nie było. Wielu widziało w nich kolejne pokolenie straceńców, którzy zginą albo pójdą na Sybir i znowu wydadzą polskie ziemie na grabież oraz represje. Nawet Sienkiewicz był sceptyczny, a jego przecież o brak pragnienia polskiej niepodległości podejrzewać nie sposób. Gdy zaś z Warszawy wychodzili Rosjanie, wielu żegnało ich łzami, że „nasi odchodzą". Polskę w sercach wielu Polaków dopiero trzeba było obudzić. Zachęcić ich do odwagi, nie tylko marzenia o Polsce, lecz również sięgnięcia po nią. Do związanego z tym ryzyka, ale i ogromu szansy. Zrozumienia, że wolna Polska daje zupełnie inne możliwości zbudowania polskiej wspólnoty i osiągania w niej indywidualnych celów. I udało się w sercach Polaków Polskę obudzić, bo – choć politycznych pomysłów było wiele – wszystkie wyrosły z narodowej kultury, w której centrum była idea niepodległości.

Gdy sypał się komunizm, mieliśmy za sobą doświadczenie 10-milionowej, antykomunistycznej „Solidarności", wydawało się, że droga do wolnej i sprawiedliwej Polski jest prosta, wszyscy chcemy tego samego, będzie pięknie. Z perspektywy widać, jak bardzo się myliliśmy, jak bardzo rozeszły się drogi tych, którzy chcą, by Polacy sami urządzali swój dom, i tych, którzy sądzą, że jedynym rozwiązaniem jest oddanie się pod kolejny protektorat i realizowanie poleceń kolejnej centrali.

eprasa.pl e3b98bc95b

WALKA TRWA

Świętowanie stu lat odzyskania niepodległości nie uda się tak, jak sobie wymarzyliśmy. Polityczną rywalizację zamieniono w niechęć, niechęć zamieniono w pogardę, pogardę w nienawiść. Ciężko pracują nad tym: gazeta pogardy, niemieckie media i akolici, niemieccy i rosyjscy agenci wpływu na różnych szczeblach wielu instytucji. Także wewnątrz obozu niepodległościowego spory, tarcia ambicji i żądza dominacji. W stulecie niepodległości mieliśmy się zjednoczyć choć na chwilę, Niepodległą uznać za pole wspólne. A jesteśmy skłóceni, jak nie byliśmy chyba nigdy.

W stulecie odzyskania niepodległości trwa walka o polską niepodległość. Ta zewnętrzna jest w miarę czytelna: Niemcy idei podboju Europy się nie wyrzekli, realizują go nie mniej konsekwentnie niż Bismarck. Skalkulowali sobie tylko, że wojny zbyt drogo kosztują, także wizerunkowo, a wizerunek państwa to potężna broń. Podbijają więc Europę gospodarczo, politycznie i cywilizacyjnie przy pomocy Unii Europejskiej, jednocześnie zacieśniają alians Fryderyka i Katarzyny, by Polska stała się prowincją przechodnią. Ale tu mamy sprzymierzeńców – Węgry, Rumunię, mniej lub bardziej wszystkie państwa Trójmorza, USA, do pewnego stopnia również Skandynawię. Walka jest trudna, będzie trudniejsza, ale są szanse na obronę polskiej niepodległości i prawdziwej Unii Europejskiej.

Gorzej z niebezpieczeństwem wewnętrznym. Bo gangrena umysłów i serc jest groźniejsza niż agresor łomoczący do drzwi czy plądrujący szafy złodziej. Taka gangrena toczy miliony Polaków, kolejnym milionom zagraża. Wielkie, ale i szczęśliwe zwycięstwo roku 2015 (gdyby nie błąd lewicy, Prawo i Sprawiedliwość nie miałoby samodzielnej władzy) dało początek wielkiej politycznej zmianie. Oto miarą politycznej rzeczywistości stało się realizowanie przedwyborczych obietnic. Rozbicie mafii VAT-owskich, 500+ i inne dotrzymane obietnice (choć nie wszystkie zostały dotrzymane) stały się sukcesem nie tylko władzy, nie tylko wyborców, lecz także całej polskiej polityki, bo narzuciły nowy (stary! ale w Polsce nowy) polityczny standard. Jednak wynik niedawnych wyborów w dużych miastach dowodzi, że gangrena zakompleksienia trwa, a nawet postępuje. Miliony Polaków wolały głosować na złodzieja niż na tego, który nie podoba się Niemcom.

OBUDZIĆ W NICH POLSKĘ

Jak obudzić w sercach Polskę? Czy pogłębianie podziałów wzmacnia obóz reform i zwiększa szanse uzdrowienia polskiego państwa? Myślę, że nie. Opozycja politycznych argumentów nie ma, programu nie ma. Ale ma gigantyczną siłę blokowania obrazu rzeczywistości, zakłamywania go. Jeśli założymy, że obecnej władzy życzy dobrze 35 proc. Polaków, całej opozycji także 35 proc., to pozostaje środkowe 30 proc., które zdecyduje, jaka będzie Polska następnych dziesięcioleci. Czy w ogóle będzie. A obóz reform nie ma, nie zbudował kanałów komunikacji z tymi decydującymi 30 proc. Polaków. To bardzo niebezpieczne.

Wchodzące w sierpniu 1914 r. do Królestwa Wojsko Polskie antyrosyjskiego powstania nie wywołało. Ale kolejne fakty, zwycięstwa i złożone ofiary, kolejne klęski ciemiężycieli dołączały do Polskiej Sprawy kolejnych Polaków, dotąd zdystansowanych, sceptycznych, obojętnych. Piłsudski przeszedł długą drogę, na której krańcu była jego wyciągnięta ręka do swego skrajnego politycznego oponenta, Romana Dmowskiego, przywódcy Narodowej Demokracji. I wspólne działanie, by tę niepodległość dla Polski wywalczoną krwią żołnierzy także dyplomatycznie europejskim politykom wyszarpnąć.

Przypominając ten fakt, nie czynię bezpośredniej analogii, mam na myśli metodę, strategię: pozyskiwanie tych, którzy w danej sprawie mają podobny albo ten sam cel. I nie muszą być wrogami, mogą być sprzymierzeńcami. Nie muszą nas osłabiać, mogą wzmacniać. W różnych sprawach Polacy mogą się różnie jednoczyć. To kluczowe dla polskiej przyszłości. Zamiast jednego zjednoczenia wiele zjednoczeń. O sile, może nawet o istnieniu Polski, nie zdecyduje jedno zjednoczenie, ale uczynią to setki, tysiące polskich zjednoczeń, które zbudują sieć.

> W stulecie niepodległości mieliśmy się zjednoczyć choć na chwilę, Niepodległą uznać za pole wspólne. A jesteśmy skłóceni, jak nie byliśmy chyba nigdy

Tak pięknie przeżywamy patriotyczne uniesienia, lecz zbyt często nie potrafimy brać Polski w swoje ręce, brać władzy na swojej ulicy, rozliczać zatrudnionych przez siebie urzędników z każdej decyzji, każdej powierzonej złotówki. W ogromnej części, w codzienności nie czujemy, nie rozumiemy, nie potrzebujemy swego państwa. Widzimy je jako celebrycką fasadę, cyrk walczących w błocie zapaśników, gdy po widowisku odchodzi się do swoich spraw.

Polacy muszą czuć, że państwo polskie stoi po ich stronie, jest im potrzebne nie w państwowe święta czy międzypaństwowe mecze. Że jest im potrzebne do życia, codzienności. Że stoi po ich stronie w każdej sprawiedliwej sprawie. Broni przed agresją, przed poniżeniem, przed chorobą, przed złodziejami, przed oszustami także w wielkich korporacjach, przed niszczeniem standardów, przed łamaniem prawa. Wtedy będą polskiego państwa potrzebować i chcieć na co dzień. Wchodzić w jego obywatelskie struktury, współtworzyć je, wzmacniać. Jeśli poczują, że jest sprawiedliwe, będą chcieli, by istniało i było silne.

Połowę już mamy. Trwa druga połowa naszego meczu o niepodległość, o naszą wolę i umiejętność kierowania własnym państwem. Czyli własnym życiem.

eprasa.pl e3b98bc95b

Rodzina musi mieć przyszłość

„Zdrowa rodzina to zdrowe społeczeństwo” – mawiał Jan Paweł II. Polska potrzebuje zdrowych, silnych rodzin na kolejne 100 lat niepodległości



DOROTA ŁOSIEWICZ

„Nie ma Polska większego dobra niż polskie matki, które wychowują dzieci, dbają o dom, które troszczą się o to, aby tradycja była przechowywana, aby była przekazywana z pokolenia na pokolenie; dzięki którym Polska przetrwała 123 lata zaborów” – powiedział prezydent Andrzej Duda, wręczając w stulecie niepodległości odznaczenia państwowe matkom szczególnie zasłużonym w wychowywaniu dzieci.

Chyba żadna głowa państwa nie podziękowała w ten sposób kobietom za wielki trud wychowania potomstwa. „Te odznaczenia to bardzo skromny wyraz wdzięczności, bardzo skromny. Ale jestem niezwykle wzruszony, że mogłem dostojnym paniom te odznaczenia wręczyć. I że mogę wypowiedzieć słowa podziękowania dla was za to, że jesteście, że zawsze byłyście, i za to, że dzięki wam Polska trwa i będzie trwała” – dodał prezydent.

Wręczając wyróżnienie wybranym polskim mamom, Andrzej Duda uhonorował tak naprawdę wszystkie ciche bohaterki, które codziennie pchają wózki, gotują obiady, troszczą się o dzieci. I nie oczekują za to żadnej zapłaty, bo dla nich miłość jest wystarczającą nagrodą. A może w przyszłości doczekają prostego: „Dziękuję”.

Jan Paweł II w adhortacji apostolskiej „Familiaris consortio” o zadaniach rodziny chrześcijańskiej w świecie współczesnym pisał tak: „Istota i zadania rodziny są ostatecznie określone przez miłość i dlatego rodzina otrzymuje misję strzeżenia, objawiania i przekazywania miłości, będącej żywym odbiciem i rzeczywistym udzielaniem się miłości Bożej ludzkości oraz miłości Chrystusa Pana Kościołowi, a każde poszczególne zadanie rodziny jest wyrazem i konkretnym wypełnieniem tego podstawowego posłannictwa”.

Do tych słów odwołuje się Anna Wardak, jedna z pań odznaczonych przez prezydenta Srebrnym Krzyżem Zasługi.

– Rodzina musi mieć w naszej ojczyźnie przyszłość, przyszłość dobrą i jasną, bo – parafrazując słowa św. Jana Pawła II z adhortacji – przyszłość Polski idzie właśnie przez rodzinę – mówi Anna Wardak, mama dziesięciorga dzieci. – To zdrowa i silna rodzina jest środowiskiem, w którym mogą wzrastać zdrowo myślący i życiowo silni ludzie. To właśnie w rodzinie ci, którzy za kilka czy kilkanaście lat przejmą odpowiedzialność za Polskę, uczą się życiowej zaradności, szacunku, odpowiedzialności za dobro wspólne czy dostrzegania potrzeb innych. W końcu to rodzina – szanowana i doceniana przez państwo na różnych płaszczyznach – jest miejscem, gdzie człowiek doświadcza mocnej i bezinteresownej miłości, która nadaje naszemu życiu głęboki sens, i sam uczy się kochać oraz służyć innym: najpierw w rodzinie czy szkole, a potem w szerszym wymiarze społecznym – Polsce i światu.

Niestety w dzisiejszych czasach wartość rodziny nie dla wszystkich jest tak oczywista. Dziś rodziny trzeba bronić przed „nowoczesnością”, ideologią gender, silnym atakiem postępowej lewicy i liberalnych mediów. Jeśli dziś nie staniemy ramię w ramię w obronie rodziny, za kilka lat może się okazać, że dla naszych dzieci nie ma przyszłości. A ja chcę, żeby – jak ujęła to niemiecka socjolog dr Gabriele Kuby – „moje dzieci i ich dzieci miały przed sobą przyszłość”.

Przecież rodzina to naturalne i najlepsze dla dziecka środowisko. Daje oparcie, autorytety, kształtuje silnego człowieka z wartościami, człowieka nierozchwianego, któremu trudniej przeprać mózg, byle co sprzedać i wcisnąć. Rodziny nie da się sprowadzić do rangi projektu, tak jak to obecnie usiłuje robić liberalna lewica. Życie w rodzinie to podstawowa po-

eprasa.pl e3b98bc95b

trzeba człowieka, a wychowywanie się w niej jest największą wartością dla dziecka.

Maciej Sikorski, reżyser, twórca Teatru Exit, jest tatą sześciorga dzieci. – Widzimy z żoną, jak bardzo nasze dzieci zyskują na tym, że mają rodzeństwo. Uczą się zajmować młodszymi dziećmi, pomagają, dzielą się tym, co mają. Widzimy, że rozwija ich to jako ludzi. Kiedyś wszyscy z tego skorzystają. W rodzinach wielodzietnych jest większa szansa na to, że wychowają się dzieci empatyczne, nienastawione wyłącznie na konsumpcję i nietraktujące życia egoistycznie jako pasma zaspokajania zachcianek. To ważne dla społeczeństwa – mówi Sikorski. – Chodzę po ulicach Krakowa i nie ma minuty, żebym nie słyszał języka ukraińskiego. Nikt chyba nie panuje nad skalą tej imigracji. Demografia jest nieubłagana. Wciąż zbyt niska. Wyludniamy się, mamy wielkie potrzeby na rynku pracy. Jeśli to się nie zmieni, będzie jeszcze gorzej. Tylko moda na rodzinę, i to większą niż 2 plus 2, może w przyszłości odwrócić tę tendencję. Kiedyś moja koleżanka, mama dwanaściorga dzieci, zapytana: „Czy państwo się nie zabezpieczają?", bez wahania odpowiedziała: „Tak, zabezpieczamy się, dzieci są naszym najskuteczniejszym zabezpieczeniem na przyszłość". Też tak myślę.

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska przekonuje, że to właśnie rodzina decyduje o sile narodu i jego charakterze. – Całkowicie podzielam przekonanie Jana Zamoyskiego, który w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej zawarł słowa: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie". To w rodzinie rodzą się i wychowują dzieci, które dorastają i opuszczają dom jako młodzi dorośli, a później zakładają swoje rodziny. To absolutna podstawa życia społecznego. Właśnie dlatego tak ważne jest wspieranie rodzin, zapewnianie im godnego życia i poczucia bezpieczeństwa. Oczywiście wszyscy chcemy, by w Polsce rodziło się jak najwięcej dzieci. Wiemy jednak, że do tego potrzebne są odpowiednie warunki. Robimy, co w naszej mocy, by te warunki były jak najlepsze. Żeby młode małżeństwa nie musiały odwlekać decyzji o pierwszym dziecku z obawy o kondycję finansową, a rodziny wielodzietne nie były zagrożone ubóstwem. Nie mam wątpliwości, że to właśnie kochająca rodzina, która nie musi się martwić o każdy grosz, jest przyszłością nas wszystkich, jest przyszłością Polski – mówi mi minister Rafalska.

I ta rodzina wcale nie musi być idealna. Rodzice, tak jak wszyscy inni ludzie, nigdy nie będą doskonali. Ale tylko oni są w stanie zaspokoić takie potrzeby dziecka jak bliskość, poczucie bezpieczeństwa i posiadania własnych korzeni. Tożsamość jest integralną częścią naszej osobowości. Nie da się jej wyprzeć ani niczym innym zastąpić. Choć w historii próbowano to robić wielokrotnie. Demontaż rodziny był jednym z głównych celów rewolucji bolszewickiej, a skutki tego procesu podsumował sam Lenin, nazywając ówczesną Rosję „burżuazyjnym domem publicznym".

Gdy w Polsce ruszał program Rodzina 500+, mieliśmy szokujący festiwal pogardy wobec rodzin wielodzietnych. Media prześcigały się w licytacji na patologie w kontekście rodziny. Można było odnieść wrażenie, że normalnych rodzin, w których rodzice kochają swoje dzieci i troszczą się o nie, po prostu nie ma. Patologię należy oczywiście zwalczać, ale niektórzy wolą ją wykorzystywać do budowy lepszego lewicowo-liberalnego świata, w którym rodzina przedstawiana jest jako narzędzie opresji.

Ten proces idzie znacznie dalej. Środowiska liberalne i lewica pragną zniszczenia całego systemu moralnego. Na drodze do tego celu stoi rodzina. Dlatego zaczyna się od zburzenia i przebudowania tożsamości u dzieci. To dlatego ideologia gender wkracza do szkół i przedszkoli. Te działania są hojnie wspierane z budżetu Unii Europejskiej. A gender nie znaczy tyle samo, co tolerancja. Tolerancja to poszanowanie dla różnorodności. W przypadku gender, posługując się z pozoru niegroźnym hasłem równości, niszczy się tożsamość kobiety i mężczyzny. To uderza w rodzinę oraz macierzyństwo.

> To właśnie w rodzinie ci, którzy za kilkanaście lat przejmą odpowiedzialność za Polskę, uczą się życiowej zaradności, szacunku, odpowiedzialności za dobro wspólne czy dostrzegania potrzeb innych

Ataki na rodzinę przejawiają się w próbach podważenia i zmiany definicji rodziny oraz małżeństwa. „Rodzina jest najmniejszą i najsilniejszą wspólnotą tworzącą naród. Gdy byliśmy pod zaborami, to właśnie w rodzinie przekazywane były wartości patriotyczne. Było to decydujące dla przetrwania naszego narodu" – mówiła mi kiedyś Barbara Stanisławczyk, pisarka i reportażystka.

Jaka będzie polska rodzina za kolejnych 100 lat? – Marzę o rodzinie, w której mąż kocha żonę, a żona męża. O rodzinie, w której dzieci są wynikiem miłości rodziców, a nie eksperymentów medycznych, są wychowywane, a nie hodowane. O świecie bez antypedagogiki, ale z mądrym podejściem do wychowania – odpowiada Agnieszka Jackowska, mama pięciorga dzieci, doradca rodzinny. – W kolejnym stuleciu widzę Polskę, starą córę chrześcijaństwa, której państwowość związana jest od ponad tysiąca lat z Kościołem katolickim, jak rozkwita, biorąc to, co najlepsze z tradycji chrześcijańskiej, i to, co najlepsze z tradycji grecko-rzymskiej. Widzę Polaków, którzy zamiast zwracać się w kierunku źle pojętej globalizacji, wynarodowienia, zatracenia własnej tożsamości, błyszczą miłosierdziem i miłością. Jednocześnie są otwarci na świat i Europę. I w takiej Polsce rodzina będzie podstawą państwowości, a państwo będzie tę rodzinę chronić oraz jej służyć, stając się rodziną rodzin. Gdy Polska nie odwróci się od wartości, rozkwitnie i będzie krainą mlekiem oraz miodem płynącą – kończy swoją piękną wizję Agnieszka Jackowska.

Oby okazała się profetką.

eprasa.pl e3b98bc95b

Na wschód granicę daj sąsiedzką...

Stulecie polskiej niepodległości można traktować jako stulecie straconych polsko-rosyjskich szans



PIOTR SKWIECIŃSKI

W erę niepodległości relacje polsko-rosyjskie wchodziły nie tylko obarczone bagażem zaborów, lecz całkiem dosłownie przy huku dział. Jednak nawet wtedy istniały szanse ułożenia spraw na nowo, z korzyścią dla obu stron. Tylko że po stronie rosyjskiej niemal nikt, a jeśli idzie o decydentów dosłownie nikt, nie chciał z nich skorzystać.

Sił niechętnych wojnie z Rosją – z jakąkolwiek Rosją – było wtedy w Polsce, wbrew narosłym później (przede wszystkim pod wpływem następnych doświadczeń historycznych, a także narracji piłsudczykowskiej, która zdominowała polskie myślenie, choć wówczas było do tego daleko) mitom, wiele. Nie chciała tego ani Narodowa Demokracja, ani ruchy chłopskie, ani niezależna od wpływów Marszałka część PPS. Bynajmniej nie wszyscy uważali, że racja stanu wymaga poświęcania sił dopiero co powstałego, biednego i wymęczonego wojną państwa na walkę o niepodległą Ukrainę.

Polacy chcieli jednak i uznania ich niepodległości, i objęcia granicami Rzeczypospolitej terenów na wschód od Bugu, które uważali za swoje. A na spełnienie obu tych warunków jednocześnie nie godziła się żadna z walczących wówczas o władzę nad Rosją stron. Biali godzili się na uznanie niepodległości, lecz jedynie w granicach Kongresówki. Czerwoni zgodziliby się formalnie niemal na wszystko, ale zarazem było oczywiste, że kiedy tylko uznają, że mogą, podepczą każdy traktat, by zanieść rewolucję do Niemiec, co w pierwszych latach władzy radzieckiej było ich głównym czy wręcz jedynym – oprócz przetrwania – politycznym celem.

Gdyby Biali potrafili spojrzeć szerzej i uznać polskie prawa do bodaj części Kresów, Piłsudskiemu trudno byłoby wytrzymać nacisk ententy na utworzenie sojuszu między Warszawą a rosyjską kontrrewolucją. A wtedy bardzo prawdopodobne, że ta ostatnia zwyciężyłaby. Co byłoby dalej – tu już można jedynie fantazjować. W każdym razie dla Rosji byłaby to rzeczywistość z pewnością wielokrotnie lepsza niż ta, która ostatecznie stała się jej udziałem.

I to jest charakterystyczne, bo w ciągu stulecia niepodległości z reguły na partnerskiej przebudowie relacji polsko-rosyjskich więcej i bardziej jednoznacznie mogłaby zyskać strona rosyjska. Ale właśnie to ona z reguły decydowała, że tego nie chce.

Uczyniła tak również w czasie II wojny. Ograniczona pojemność tego tekstu nie pozwala na dokonanie przeglądu wszystkich postaw, jakie wówczas wobec Rosji – teraz już jednoznacznie radzieckiej – zajmowały polskie, emigracyjne i krajowe, elity.

Bywały, owszem, postawy będące kontynuacją przedwojennej megalomanii, związanej z przekonaniem, że ZSRR to skazany na rychłą zagładę papierowy tygrys, natomiast Polska już za momencik zostanie mocarstwem. Dominowały jednak inne. I ich nosiciele potrafili iść bardzo daleko (dla jasności – nie mówię tu o komunistach, których punkt widzenia był wówczas bardziej radziecki niż polski).

Zarówno generał Sikorski, jak i główny twórca jego polityki wschodniej prof. Stanisław Kot poruszali się oczywiście w wąskiej i zawężającej się przestrzeni pomiędzy aksjomatem obrony granicy ryskiej, naciskiem ze strony aliantów i strachem przed pogorszeniem losu znajdujących się w ZSRR Polaków. Niemniej w ich (jak również bardzo wielu innych Polaków tego czasu) myśleniu ze zrozumiałych względów dominował czynnik zagrożenia niemieckiego. Nie tylko tego, które aktualnie przeżywali. Również przyszłego. I oni, i bardzo wielu Polaków z emigracji i z kraju myślało wówczas w kategoriach zabezpieczenia kraju przed recydywą agresji z Zachodu. Jeśli tak, to logiczne było traktować Rosję jako sojusznika i polityczno-zaopatrzeniowo-militarne zaplecze w tej

eprasa.pl e3b98bc95b

konfrontacji, na którą w niemal powszechnej wtedy wśród Polaków opinii Rzeczpospolita miała być w przyszłości narażona.

Projekty wojskowo-polityczne, bazujące na tej logice, pojawiały się notabene już przed '39 r. (np. w wykonanej przez płk. Stefana Mossora dla gen. Kutrzeby wersji studium planu operacyjnego przeciwko Niemcom). Ale wtedy były ewenementem, zaś w czasie wojny stały się częste. Gdy Julian Tuwim pisał w „Kwiatach Polskich":

Wtłoczonym między dzicz niemiecką
I nowy naród stu narodów –
Na wschód granicę daj sąsiedzką,
A wieczną przepaść od zachodu

– przy całej swej nieprawdopodobnej naiwności był wyrazicielem emocji i przemyśleń wykraczających poza środowiska czy to komunistyczne, czy to żydowskie, odreagowywujące w ten sposób szok Holokaustu.

Cóż, kiedy Stalin nie chciał prawdziwego sojuszu z Polską. Czy bardziej dlatego, że – w odróżnieniu od swoich polskich partnerów – wiedział, że tyka bomba o nazwie Katyń, a kiedy eksploduje, to nic już nie będzie możliwe? Czy bardziej dlatego, że już wtedy liczył nie na sojusz, tylko na zwasalizowanie całej Polski? Czy też wówczas jeszcze na to nie liczył i uważał, że jakakolwiek swobodna Polska będzie zawsze Rosji wroga (elementy takiego myślenia utrzymywały się w radzieckim kierownictwie długo, co najmniej do początków '44 r.; takie było założenie napisanego wtedy dla Stalina, dotyczącego organizacji powojennej Europy, memorandum bardzo ważnego dyplomaty Maksyma Litwinowa)? Nie wiadomo, tak czy inaczej sojuszu z wolną Polską Stalin ewidentnie nie chciał.

> Przez sto lat Moskwa swoją polską polityką szkodzi... sama sobie. Na przykład: czy gdyby Kreml bardziej kusił Tuska, ekipa PO forsowałaby wejście Ukrainy do Europy, i w efekcie Kijów zerwałby z Rosją?

Nie chciał go również po wojnie. A przecież Stanisław Mikołajczyk na tej idei budował cały swój program polityczny. Jego pomysł na niepodległą Polskę zakładał sojusz ze Związkiem Radzieckim na zewnątrz, a wewnątrz demokrację, ale Rosji przyjazną. Gdyby został zrealizowany, polskie emocje antyrosyjskie, mimo utraty Kresów i nawet mimo Katynia (trauma okupacji niemieckiej była taka, że i tak bardzo wielu nawet niekomunistów nie chciało uwierzyć w winę Rosjan), z czasem uległyby silnej redukcji. Nadwiślańskie myślenie znacznie bardziej kształtował wówczas czynnik antyniemiecki, w momencie wkraczania Armii Czerwonej na ziemie polskie najczęstszym uczuciem żywionym wobec Rosjan była nieufność, pomieszana jednak z nadzieją.

Warto zauważyć, że z grubsza podobny do mikołajczykowskiego był sekretny plan Bolesława Piaseckiego, który liczył na to, że ze względu na dominację katolicyzmu w Polsce Kreml w końcu postawi na niego. I znów – do realizacji tego celu Piasecki przez wszystkie dekady powojenne nie zbliżył się ani o milimetr. Moskwa postawiła na komunistów i aż do końcówki lat 80. nie zmieniała tego założenia.

Gdyby zmieniła, gdyby zgodziła się na sfinlandyzowanie Polski według którejkolwiek wersji, nie przeżyłaby zapewne szoku zagrożenia „Solidarnością" w latach 1980–1981. Zagrożenia, które jaskrawo uwidoczniło Zachodowi fundamentalną słabość systemu i skłoniło go do podjęcia próby dobicia obozu komunistycznego.

Co więcej, historycy gospodarki są zgodni, że Związek Radziecki pomagał finansowo swoim protektoratom w większym stopniu i częściej, niż eksploatował je ekonomicznie (taki to był dziwaczny, rzekomy „kolonializm"...). Za czasów Gorbaczowa to właśnie przekonanie Biura Politycznego KPZR, że obóz socjalistyczny jest dla ZSRR obciążeniem finansowym, skłoniło Kreml do podjęcia decyzji o odrzuceniu tego balastu. Gdyby Polska od lat 40. była czymś w rodzaju Finlandii, tego by nie było. A więc w sumie – ZSRR i politycznie, i gospodarczo byłby silniejszy.

I tak oto dotarliśmy do naszych czasów. W 2007 r. Donald Tusk zapoczątkował bezprecedensowy zwrot, będący zaprzeczeniem całej tradycji polityki zagranicznej Polski po '89 r. – reset z Rosją, połączony z osłabieniem wspierania Ukrainy.

Rosjanie podjęli tę grę, ale niekonsekwentnie. W kwietniu 2010 r. doszło do katastrofy smoleńskiej, którą rząd PO, kierując się własnym interesem w wojnie z PiS, wykorzystał do wzmocnienia fali sympatii do Rosji, wywołanej z kolei falą współczucia zwykłych Rosjan dla Polaków. W grudniu 2010 r. odbyła się wizyta w Warszawie prezydenta Miedwiediewa, stając się apogeum, a zarazem początkiem końca resetu – ekipa Platformy, po początkowych wahaniach, zdecydowała się bowiem nie godzić na moskiewskie propozycje wejścia rosyjskiego kapitału do polskiego sektora energetycznego i finansowego. Wówczas Rosjanie zaczęli się wycofywać, ostatecznie usztywnili stanowisko w śledztwie smoleńskim i nie oferowali już Polsce w zasadzie nic. Zrezygnowawszy z krojącej się możliwości osiągnięcia w Polsce sukcesu PR-owskiego na historyczną skalę – bo spora część naszego społeczeństwa przejawiała wtedy gotowość rewizji, cechującej ogromną większość Polaków, postawy rezerwy i nieufności do Rosji.

A gdyby Rosjanie postąpili inaczej?

Czy wtedy rząd PO z taką energią, jak czynił to w rzeczywistości, zacząłby dwa lata później promować stowarzyszenie Ukrainy z Unią? A gdyby nie promował – czy sprawa tego stowarzyszenia jesienią 2013 r. dotarłaby tak blisko finału? Czy w związku z tym doszłoby do Majdanu? Czy więc Ukrainę ogarnęłyby nastroje antymoskiewskie i czy, w konsekwencji, wyrwałaby się z rosyjskiej strefy wpływów...?

Sto lat niepodległej Polski to sto lat krzywd, jakie Rosjanie za pomocą swej polskiej polityki konsekwentnie czynią sobie samym.

eprasa.pl e3b98bc95b

Rzeczywistość listopada 1918 r. była ponura. W kraju panowały głód i bezrobocie, nowoczesny i prężnie rozwijający się przemysł został rozgrabiony, a infrastruktura zniszczona. W trakcie I wojny światowej cofnęliśmy się o 40 lat



Zniszczona w czasie I wojny światowej fabryka Lilpopa

Wolność na zgliszczach



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Polska, nie będąc niepodległym państwem, nie brała formalnie udziału w I wojnie światowej, poniosła jednak podczas działań wojennych ogromne straty. Mało kto dziś o nich pamięta, bo hekatomba II wojny światowej przesłoniła wszystko, co zdarzyło się wcześniej. Jednak bez poznania rozmiaru katastrofy, jaką dla ziem polskich były lata 1914–1918, trudno będzie nam pojąć skalę wyzwań, przed którymi stanęło państwo polskie u zarania swojej niepodległości.

KONIEC PROSPERITY

Lata 1870–1914 były w gospodarczej historii Polski okresem bezprecedensowego wzrostu na skalę nienotowaną nigdy wcześniej ani później. Co ciekawe, wbrew obiegowym mitom o zacofaniu i stagnacji panujących w zaborze rosyjskim wzrost ten notowano właśnie na obszarze dawnej Kongresówki, gdzie zyski z wymiany handlowej na terenie całego imperium doprowadziły do wysokiej akumulacji krajowego kapitału. Był to okres gwałtownego rozwoju Warszawy i Łodzi, opartego m.in. na zbudowanym od podstaw nowoczesnym przemyśle. Wtedy właśnie rodziły się na terenie Polski firmy – przemysłowe, handlowe i finansowe – które śmiało mogły rywalizować z zachodnioeuropejską konkurencją. Wśród nich warto wspomnieć np. o Banku Handlowym, jednej z największych tego typu placówek w naszej części kontynentu. Według dzisiejszych kryteriów ówczesny Bank Handlowy mógłby uchodzić za wielką korporację o zasięgu ponadpaństwowym. Co istotne, znacząca część tego kapitału znajdowała się w rękach lokalnych przedsiębiorców, dynamicznie rozwijającej się rodzimej burżuazji czy też – jak byśmy to dziś określili – wyższej klasy średniej.

Ten bezprecedensowy rozwój gospodarczy i gonitwa za uprzemysłowionymi potęgami Europy zostały gwałtownie przerwane przez wybuch I wojny światowej i nigdy potem – już w niepodległej Rzeczypospolitej – nie osiągnęły nawet porównywalnych rozmiarów i zasięgu (przykład Banku Handlowego jest tu dobrą ilustracją).

Zniszczenia spowodowane wojną cofnęły Polskę w rozwoju o przynajmniej pół wieku. Straty były niekiedy tak dotkliwe, że wielu z nich nie udało się odrobić do 1939 r.

PRZYMUSOWA EWAKUACJA

Już na samym początku wojny, w sierpniu 1914 r., gdy oddziały niemieckie wdarły się do przygranicznego wówczas Kalisza, doszło do pierwszych poważnych strat. Niemcy uznali przypadkową strzelaninę w mieście za początek wojny partyzanckiej i przystąpili do ostrzału miasta z artylerii. W rezultacie duża część zabudowy legła w gruzach, a mieszkańcy, którzy przeżyli bombardowanie, musieli opuścić miasto. Podobny los spotkał położone w Małopolsce Gorlice. Największe zniszczenia średnich i małych miast odnotowano w rejonie Lublina i Sandomierza. Wiele

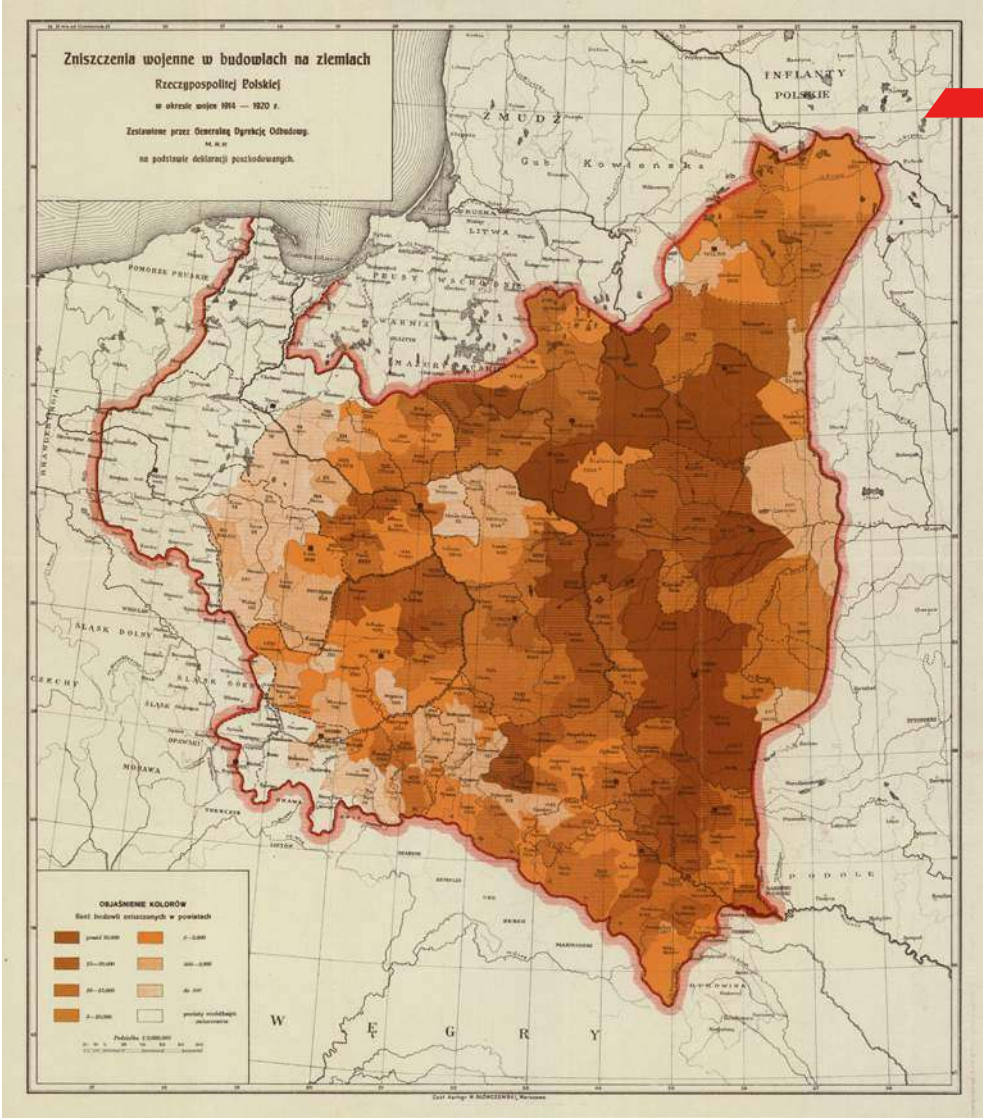
eprasa.pl e3b98bc95b

z nich zabudowanych przed 1914 r. murowanymi kamienicami już nigdy nie powróciło do tego stanu, zamieniając się w wioski z drewnianą zabudową.

Łącznie podczas działań wojennych zniszczeniu uległo prawie 2 mln budynków, w tym 0,5 mln domów mieszkalnych, 6586 szkół oraz 1969 kościołów.

W odróżnieniu od frontu zachodniego, gdzie obie strony prowadziły morderczą wojnę pozycyjną, działania wojenne na ziemiach polskich przyjęły znacznie bardziej dynamiczny charakter. W czasie, gdy Niemcy parli twardo na wschód, staczając z Rosjanami wielkie bitwy pod Tannenbergiem oraz pod Bolimowem (użyli tu pierwszy raz na froncie wschodnim gazów bojowych), ich austro-węgierski sojusznik wycofywał się pod naporem Rosjan z Galicji. Rosjanie jeszcze we wrześniu 1914 r. zdobyli Lwów, otoczyli Przemyśl, a wkrótce potem zbliżyli się do Krakowa. Dopiero w następnym roku kolejne natarcie niemieckie wspomagane przez wojska austro-węgierskie wypchnęło Rosjan nie tylko z Galicji, lecz także z dawnej Kongresówki (wojska rosyjskie opuściły w sierpniu 1915 r. Warszawę). 1916 r. to z kolei nieudana ofensywa Brusiłowa (nazwana tak od nazwiska rosyjskiego dowódcy Aleksieja Brusiłowa), która została zatrzymana przez Niemcy i Austro-Węgry daleko w Galicji.

Nieustanne przesuwanie się frontu w początkowej fazie wojny spowodowało wielkie zniszczenia. Symboliczny może być tutaj przykład galicyjskiej wsi Brody, która w trakcie walk przechodziła z rąk do rąk aż 16 razy.




Fabryka Orthwein i Karasiński

Fot. NAC (x5)

Jednak straty wywoływane były nie tylko działaniami zbrojnymi. Rosjanie, opuszczając w 1915 r. ziemie polskie, wywozili z sobą wszystko, co zdołali zabrać. Oprócz 2 mln ludzi, w większości wykształconej kadry: inżynierów, lekarzy, techników, z których wielu już nigdy nie wróciło do Polski, przymusowa ewakuacja objęła całe nowoczesne zakłady przemysłowe. Do Rosji wywieziono sprzęt fabryki maszyn i wagonów Lilpopa, fabryki obrabiarek Gerlacha i Pulsta, zakładów metalowych Norblina czy specjalizującego się w budowie mostów Towarzystwa Przemysłu Metalowego K. Rudzki i S-ka. To oczywiście tylko przykłady. A fabryki, których w pośpiechu ewakuacji nie udało się zdemontować i wywieźć, zostały wysadzone w powietrze przez wycofujące się wojska rosyjskie. Taki los spotkał m.in. Mirkowską Fabrykę Papieru, przędzalnię w podwarszawskich Markach oraz zakłady włókiennicze w Żyrardowie.

eprasa.pl e3b98bc95b

ROZGRABIANIE POLSKICH ZIEM

Po wkroczeniu wojsk niemieckich na tereny dawnego zaboru rosyjskiego rozpoczął się kolejny etap dewastacji polskiej gospodarki. Szczególnie dotkliwa w skutkach okazała się grabież urządzeń przemysłowych, której na gigantyczną skalę dopuścili się Niemcy, wywożąc z ziem dawnego zaboru rosyjskiego wyposażenie ocalałych fabryk z Łodzi, Warszawy i Zagłębia Dąbrowskiego. Celem grabieży były nie tylko potrzeby wojenne, lecz również pozbycie się potencjalnej konkurencji dla przemysłu pruskiego. Po 1915 r. z terenów dawnego zaboru rosyjskiego wywieziono do Niemiec 4250 silników elektrycznych i dynamomaszyn, 850 obrabiarek, 900 silników spalinowych i parowych, 50 tys. ton surowców włókienniczych, 413 ton wyrobów metalowych i hutniczych oraz 98 tys. ton różnej aparatury przemysłowej.

Zorganizowany w tym celu aparat urzędowy przeczesywał zakłady przemysłowe na podbitym terenie, a gdy już zabrakło łupów, zwrócono oczy ku cywilom, rozpoczynając brutalną konfiskatę wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość dla niemieckiej armii. Chodziło tu przede wszystkim o wyroby ze strategicznych surowców: stali, miedzi, mosiądzu itp. W ten sposób całą dawną Kongresówkę ogołocono z klamek, dzwonów kościelnych, a nawet garnków.

Również władze austro-węgierskie przeprowadziły – choć na mniejszą skalę – akcję grabieży na kontrolowanych przez ich wojska terenach b. Królestwa Polskiego. Z kolei w trakcie rosyjskiej ofensywy w Galicji w 1914 r. wojska carskie splądrowały i podpaliły ponad 400 szybów naftowych i pewną liczbę zakładów przemysłowych, co w słabo rozwiniętym regionie, jakim była Galicja, okazało się szczególnie dotkliwe. Dokonywano również masowych rekwizycji wśród ludności cywilnej, przy czym o ile wojska rosyjskie płaciły realną gotówką za rekwirowane dobra, tak Niemcy i Austriacy wykpiwali się bezwartościowymi bonami.

Według powojennych wyliczeń 56 proc. strat w polskim przemyśle spowodowała niemiecka grabież, 22 proc. – austriacka, a 18 proc. – rosyjska ewakuacja. Zaledwie 4 proc. strat wywołanych zostało działaniami zbrojnymi. Łącznie zniszczono ok. 30 proc. wszelkiego majątku ruchomego i nieruchomego na obszarze Polski.

Doprowadziło to do upadku dynamicznie rozwijającej się przed wojną polskiej gospodarki. W rezultacie gwałtownej dekapitalizacji przemysł na terenach b. Królestwa Polskiego cofnął się pod względem wyposażenia technicznego do poziomu z lat 70. XIX w.

POBOJOWISKO

Niepohamowanej grabieży majątku trwałego towarzyszyły również straty wśród ludności. Wedle szacunków podczas I wojny światowej na ziemiach polskich ubyło 4 mln ludzi. Nie równa się to – rzecz jasna – ofiarom śmiertelnym, tych było znacznie mniej (np. spośród zmobilizowanych do zaborczych armii żołnierzy polskiej narodowości zginęło ok. 400 tys. osób, nieco niższa była szacowana liczba ofiar wśród ludności cywilnej). Straty, o których mowa, wynikały w dużym stopniu z wywołanych działaniami wojennymi masowych migracji ludności. Z dawnej Kongresówki uciekali mieszkający tu Rosjanie, ale oprócz nich ewakuowano na wschód – jak już wspomniano – niemal 2 mln ludzi, z których zaledwie połowa zdołała powrócić do domów przed końcem wojny. Również Niemcy wysyłali polskich pracowników na roboty przymusowe do Rzeszy – tutaj pada liczba ponad 0,5 mln osób wysłanych do pracy w niemieckim przemyśle i rolnictwie. Wreszcie za część strat odpowiada głód oraz liczne epidemie chorób zakaźnych.

Według pierwszych, przeprowadzonych po odzyskaniu niepodległości, spisów ludności Polskę zamieszkiwało ponad 26 mln osób. Warunki bytowe większości były fatalne. Dewastacja gospodarki doprowadziła do plagi bezrobocia. Najwyższe panowało w byłym zaborze rosyjskim, z obliczeń wynika, że jedynie 14 proc. osób zatrudnionych przed wojną w przemyśle ponownie znalazło w nim pracę. Ratunkiem było szybko powracające do życia rzemiosło, które zazwyczaj nie wymagało większych nakładów (np. szewstwo, krawiectwo, masarstwo). Dzięki temu w 1919 r. warsztaty rzemieślnicze stały się głównym pracodawcą w Polsce, zatrudniając więcej osób niż średni i duży przemysł, choć należy tu zauważyć, że większość zatrudnionych stanowiły rodziny rzemieślników. Taka struktura rynku pracy wiele mówi o kondycji ówczesnej Polski.

Pauperyzacja dotknęła wielu grup społecznych, wśród nich ziemian kresowych uciekających ze wschodu przed rewolucyjną pożogą. Poszkodowani byli również fabrykanci, którzy stracili ogromne kapitały ulokowane w rosyjskich bankach i często nie mieli wystarczających środków, aby uruchomić produkcję w zniszczonych lub rozgrabionych zakładach.



Rosyjskie wojska wycofują się z Przemyśla

eprasa.pl e3b98bc95b



Zniszczony most w okolicach Kowna

POWOJENNY GŁÓD

Szczególnie dotkliwe były trudności zaopatrzeniowe w miastach. Amerykańska komisja pomocowa kierowana przez Herberta Hoovera oceniała u progu lat 20. XX w., że 13 mln Polaków z dawnego zaboru rosyjskiego oraz Galicji grozi śmierć głodowa.

Wiele wsi i pól zostało zniszczonych podczas przechodzenia frontu w latach 1914–1915 i spora część upraw leżała odłogiem. Łączne zbiory czterech najważniejszych zbóż były w 1918 r. niższe o ponad połowę niż przed wybuchem wojny. Spadło także pogłowie zwierząt. Chłopi nie mieli wystarczających środków na uruchomienie produkcji na większą skalę. Problemem była także różnorodna struktura produkcji rolnej – nastawiona na zysk w byłym zaborze pruskim, drobnotowarowa w austriackim i naturalna w rosyjskim. Pomimo podejmowanych wysiłków nie udało się tego zmienić do 1939 r.

Deficyt żywności w miastach próbowano rozwiązywać za pomocą obowiązkowych dostaw, które ze względu na niskie ceny zakupu jeszcze bardziej wpychały wieś w ubóstwo. Utrzymano również wprowadzony podczas wojny system kartkowy. Ponadto państwo zaciągnęło pożyczki zagraniczne na zakup żywności, głównie ze Stanów Zjednoczonych, oraz wprowadziło wiele restrykcji eksportowych.

Te restrykcje, choć niezbędne do poprawienia zaopatrzenia ludności, wiązały się jednak z ograniczeniem dochodów państwa. Rząd próbował zaciągać kredyty zagraniczne, ale okazało się to bardzo trudne, pomimo że oferowano potencjalnym kredytodawcom zyski z udziałów w różnych monopolach państwowych. Dopiero wojna polsko-sowiecka uruchomiła kredyty towarowe dla Polski, przy czym nawet wtedy aż 59 proc. z nich wykorzystano na import żywności (dla porównania na import uzbrojenia jedynie 28 proc.)

> 56 proc. strat w polskim przemyśle spowodowała niemiecka grabież, 22 proc. – austriacka, a 18 proc. – rosyjska ewakuacja. Zaledwie 4 proc. strat wywołanych zostało działaniami zbrojnymi

SCALANIE PAŃSTWA

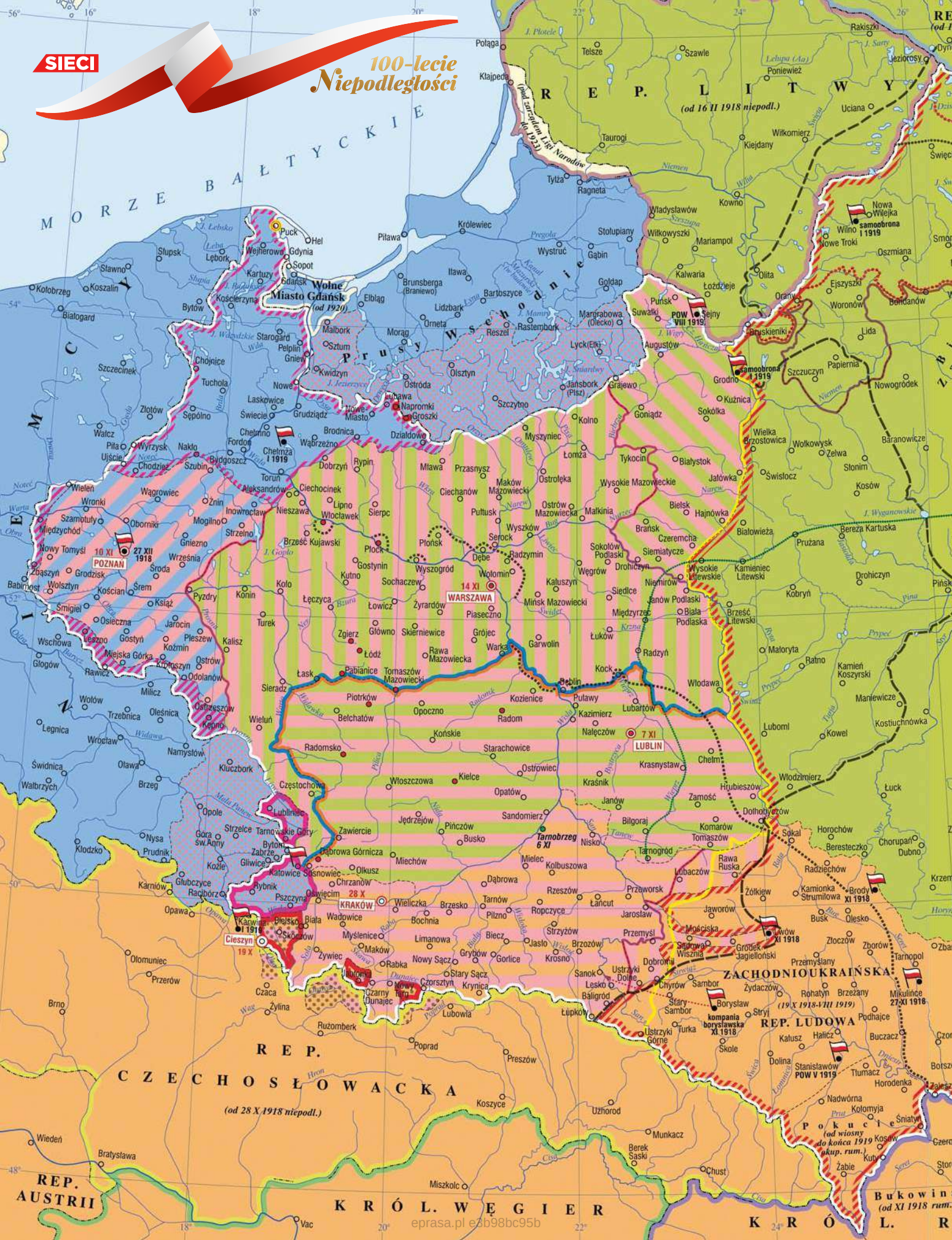
Odbudowa innych gałęzi gospodarki także postępowała bardzo wolno. W 1920 r. produkcja włókiennicza w Polsce wyniosła zaledwie 26 proc. tej z roku 1913, produkcja metalowa – 30 proc., produkcja przemysłu chemicznego – 37 proc., papierniczego – 47 proc., a spożywczego – 48 proc. Podstawową przyczyną był brak kapitału, ale też ostrożność prywatnych właścicieli, którzy wstrzymywali inwestycje także w obawie przed możliwą nacjonalizacją. Rząd Ignacego Paderewskiego starał się rozwiać te obawy, prowadząc politykę licznych zachęt, np. finansując część prac inwestycyjnych w prywatnych fabrykach, płacąc wysokie zaliczki na poczet przyszłych dostaw albo nawet składając zamówienia po cenach znacznie wyższych niż rynkowe. Z drugiej strony starano się wpływać na uspokojenie nastrojów spauperyzowanej ludności, uchwalając m.in. wiele przepisów chroniących pracowników (w tym ośmiogodzinny dzień pracy i prawo do strajku).

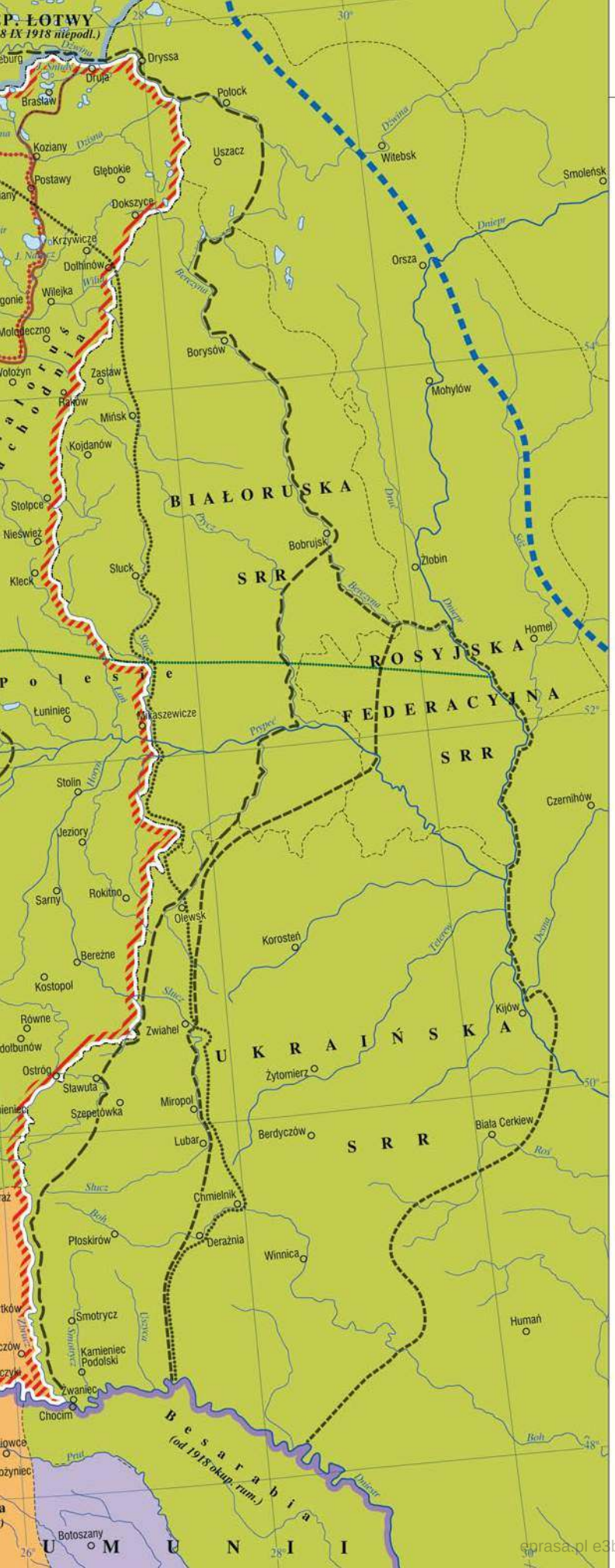
Część problemów miała jednak charakter strukturalny. Przed wojną produkcja poszczególnych gałęzi przemysłu była nakierowana na rynki państw zaborczych, np. przemysł włókienniczy w Królestwie Polskim na rynek rosyjski, a cukrowniczy w zaborze pruskim na Niemcy. Łącznie aż 91 proc. eksportu z Królestwa Polskiego szło do Rosji, a 68 proc. z zaboru pruskiego do Niemiec. Teraz po odcięciu tych rynków dochodziło niekiedy – pomimo ogólnej zapaści – do powstawania nadwyżek produkcyjnych. Oczywiste było, że gospodarka musi jak najszybciej przekształcić się w jednolity organizm. Konieczne było scalenie z sobą trzech różnych systemów, począwszy od prawnych przez walutowe, skończywszy na transporcie.

Dodatkowym hamulcem był brak surowców. Prężny przed wojną przemysł włókienniczy w 1918 r. w ogóle nie został uruchomiony. Inne gałęzie cierpiały na chroniczny brak węgla, zapotrzebowanie przemysłu na dostawy było pokryte zaledwie w 32 proc. Przyczyną nie było słabe wydobycie, lecz trudności transportowe. Niezbędna była nie tylko odbudowa zniszczonej infrastruktury (podczas wojny zburzono m.in. ponad połowę istniejących mostów i dworców kolejowych), lecz również budowa od podstaw połączeń między trzema dawnymi zaborami. Warto tu wspomnieć, że w 1918 r. nie istniało nawet bezpośrednie połączenie kolejowe Warszawy z Poznaniem (powstało w 1921 r.).

Pierwszy etap spinania państwa w całość zakończył się dopiero na początku lat 30. XX w. Kolejne przerwał wybuch wojny w 1939 r. Zaledwie rok wcześniej zdołaliśmy osiągnąć poziom produkcji z 1913 r. Nie mieliśmy zatem szans, aby w ciągu 20 lat niepodległej Polski wyrównać wyrządzone szkody i podjąć rywalizację z uprzemysłowioną Europą.

eprasa.pl e3b98bc95b


SIECI
100-lecie Niepodległości
MORZE BAŁTYCKIE
REP. LITWY
(od 16 II 1918 niepodl.)
Wolne Miasto Gdańsk (od 1920)
Prusy Wschodnie
NIEMCY
POZNAŃ 10 XI 27 XII 1918
WARSZAWA 14 XI
LUBLIN 7 XI
KRAKÓW 28 X
Cieszyn 19 X
Tarnobrzeg 6 XI
Chełmża I 1919
Karwina I 1919
samoobrona I 1919
POW VIII 1919
ZACHODNIOUKRAIŃSKA REP. LUDOWA
(19 X 1918-VIII 1919)
kompania borysławska XI 1918
POW V 1919
Pokucie (od wiosny do końca 1919 okup. rum.)
REP. CZECHOSŁOWACKA
(od 28 X 1918 niepodl.)
REP. AUSTRII
KRÓL. WĘGIER
Bukowina (od XI 1918 rum.)
eprasa.pl e3b98bc95b



NARODZINY DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ (w latach 1918–1923)

- Obszary państw zaborczych według granic 1914 r.
- Granica okupacji austriackiej i niemieckiej w Królestwie Polskim w latach 1915–1918
- Północna i zachodnia granica Ukrainy ustalona traktatem brzeskim 9 II 1918 r.
- Najdalszy zasięg wojsk niemieckich pod koniec 1918 r.
- Piotrków — Ośrodki rewolucyjne (Rady Delegatów)
- *Tarnobrzeg* — Miejsce proklamowania chłopskiej Republiki Tarnobrzeskiej
- 7 XI LUBLIN — Ośrodki władzy polskiej i daty ich powstania w 1918 r.
- Ogniska powstań polskich
- Tereny wyzwolone w dniach 31 X–7 XI 1918 r.
- Tereny wyzwolone w dniach 11 XI–22 XI 1918 r.
- Terytorium podporządkowane władzy Rządu Centralnego w Warszawie pod koniec XI 1918 r.
- Część Wielkopolski wyzwolona do 16 II 1919 r.
- Okręg Białostocki i Suwalszczyzna zajmowane od 9 II do 9 IX 1919 r.
- Części Pomorza, Wielkopolski i Dolnego Śląska przyznane Polsce traktatem wersalskim (28 VI 1919 r.) i zajęte od 17 I do 10 II 1920 r.

Położenie wojsk polskich:

- IV 1919 r.
- k. IX 1919 r.
- III 1920 r.
- poł. V 1920 r.
- 12 VIII 1920 r.
- poł. X 1920 r.

- Linia Curzona (z 11 VII 1920 r.)
- Obszary, na których odbyły się plebiscyty
- Obszary, na których nie przeprowadzono uzgodnionych plebiscytów
- Części Śląska Cieszyńskiego, Orawy, Spisza, Mazur i Powiśla przyznane Polsce przez Radę Ambasadorów 28 VII, 12 i 15 VIII 1920 r.
- Ziemie wschodnie przyznane Polsce traktatem ryskim (18 III 1921 r.)
- Granice obszaru, na którym odbyły się wybory do Sejmu Wileńskiego (9 I 1922 r.)
- Granice terytorium tzw. Litwy Środkowej, inkorporowanej 24 II 1922 r.
- Część Górnego Śląska przyznana Polsce uchwałą Rady Ambasadorów 20 X 1921 r. i zajęta w dniach 17 VI–12 VII 1922 r.
- Ostateczne granice II Rzeczypospolitej ustalone w latach 1919–1923 r.
- Puck — Zaślubiny Polski z Bałtykiem 10 II 1920 r.

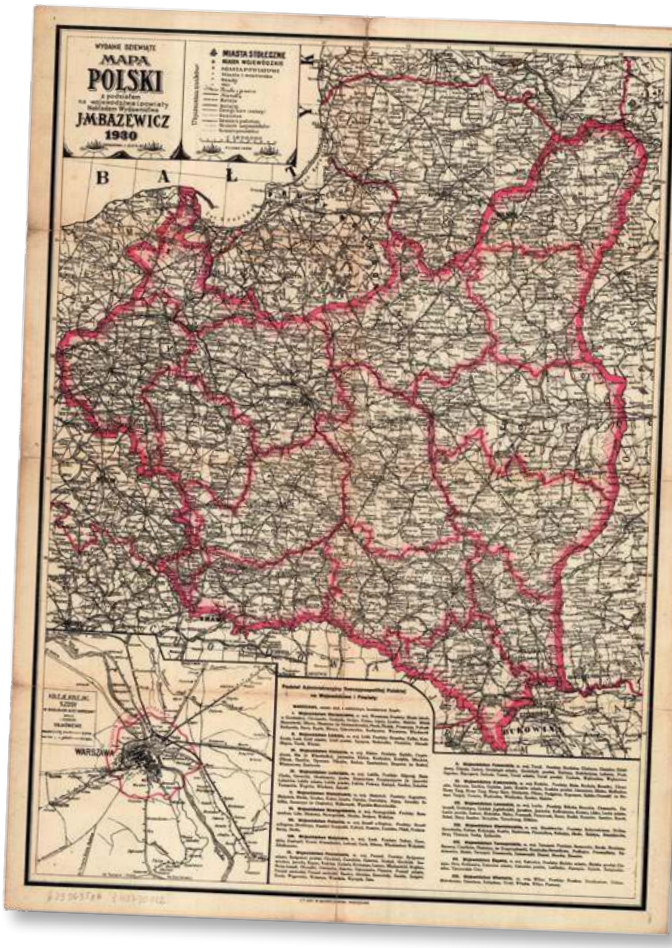
50 0 50 100 km

DEMART

cprasa.pl e3b98bc95b

Zmagania o terytorium

Powstania i plebiscyty, wojny i bitwy, ustalenia traktatu wersalskiego i decyzje ententy – wszystko to złożyło się na kształt Polski po 1918 r.





PIOTR SKWIECIŃSKI

GRANICE ZACHODNIE

Największy nacisk kładła na nie Narodowa Demokracja, uważająca za najistotniejsze skupienie w granicach nowego państwa wszystkich ziem zamieszkanych przez zwartą większość polską i obawiająca się efektów procesów germanizacyjnych, gdyby te obszary jeszcze dłużej miały pozostać w składzie Niemiec. Chodziło o tereny wchodzące w skład I Rzeczypospolitej (Wielkopolska, Pomorze, Warmia), ale także do niej nienależące (Górny Śląsk, Mazury).

Najpierw, na przełomie lat 1918/1919, spontanicznie wybuchło powstanie wielkopolskie. W szybkim tempie powstała armia złożona z polskich weteranów z armii niemieckiej. Powstańcy opanowali niemal całą Wielkopolskę. Niemcy mieli dość siły, by je zgnieść, jednak przed klęską uratowało Polaków uznanie przez ententę ich armii za część wojsk alianckich i wymuszenie na Berlinie zawieszenia broni.

Na Pomorzu, zgermanizowanym znacznie bardziej niż Poznańskie, powstanie nie wybuchło. Dzielnica ta trafiła do Polski na skutek decyzji traktatu wersalskiego. Na początku 1920 r. zajęły je wojska pod dowództwem gen. Józefa Hallera, przedtem stojącego na czele armii polskiej we Francji.

Gdańsk, wbrew stanowisku polskich delegatów na konferencji w Wersalu, Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, nie został wcielony do naszego kraju, lecz ogłoszony Wolnym Miastem.

Górny Śląsk walczył o przynależność do Polski w trzech powstaniach, wspieranych przez polski rząd dostawami broni i ochotników. Trzecie wybuchło po niekorzystnym dla naszego kraju rezultacie zarządzonego tam plebiscytu, w lipcu 1921 r. Choć większość Górnoślązaków głosowała za pozostaniem dzielnicy w składzie Niemiec, nie chciała zarazem walczyć za ten swój wybór z bronią w ręku – o ile w polskich oddziałach dominowali miejscowi, o tyle w niemieckich – ochotnicy z głębi Rzeszy. Ostatecznie większa część Zagłębia Górnośląskiego znalazła się w granicach Polski.

Przedtem, latem 1920 r., Polska zdecydowanie przegrała plebiscyt na niemal totalnie zgermanizowanych Mazurach i Warmii.

GRANICE POŁUDNIOWE

Na Śląsku Cieszyńskim, należącym od średniowiecza do Czech, a potem do Austrii, przeważali wówczas Polacy. W listopadzie 1918 r. opanowali oni większość dzielnicy, ale powstające państwo czechosłowackie nie chciało się z tym pogodzić, m.in. dlatego, że przez ten teren przebiegała jedyna wówczas linia kolejowa, łącząca Czechy ze Słowacją. W styczniu 1919 r. oddziały czeskie, gwałcąc zawieszenie broni, niespodziewanie zaatakowały. Pod Stonawą żołnierze czescy, weterani francuskiej Legii Cudzoziemskiej, wymordowali kilkunastu polskich jeńców. Polska, mająca groźniejsze konflikty na kierunku wschodnim i zachodnim, zawarła nowe zawieszenie broni, oddające Czechosłowacji większość tych terenów, a następnie, w 1920 r., gdy Rosjanie nacierali

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl e3b98bc95b

na Warszawę, aby uzyskać pomoc ententy, zgodziła się na rezygnację z uzgodnionego wcześniej plebiscytu. W ten sposób straciła również niewielkie sporne obszary na Spiszu i Orawie.

GRANICA Z LITWĄ

Wileńszczyzna była zamieszkana w zdecydowanej większości przez Polaków, poza nimi żyli tam Białorusini i Żydzi, a Litwinów było najmniej. Niemniej narodowy ruch litewski, powstający w kontrze wobec polskości, uważał, że Wilno musi być stolicą Litwy i miał do tego miasta wręcz mistyczny stosunek.

W styczniu 1919 r. Polacy odbili Wilno z rąk bolszewików (gdy Armia Czerwona szła na zachód za odstępującymi Niemcami, utworzyli oni na tych terenach tzw. Litewsko-Białoruską Republikę Radziecką, w której kierownictwie notabene dużą rolę odgrywali komuniści polscy i w której polszczyzna była ogłoszona jednym z oficjalnych języków). W 1920 r. miasto wraz z całym obszarem zostało zajęte znów przez Rosjan, którzy odstąpili je sprzymierzonej z nimi de facto Litwie. Ponieważ Polacy zostali pod naciskiem Ententy zmuszeni do zawarcia z Litwą rozejmu, uznającego litewską okupację miasta, w celu jego odzyskania Piłsudski po zwycięstwie nad Rosją nakazał dowódcy dywizji litewsko-białoruskiej, złożonej z mieszkańców tych terenów, generałowi Lucjanowi Żeligowskiemu, upozorować bunt. Żeligowski zajął Wileńszczyznę, tworząc pozornie niepodległe państwo pod nazwą Litwa Środkowa. Zgodnie z życzeniem większości mieszkańców Wileńszczyzna została wcielona do Polski.

Podobnie stało się z Suwałkami, które w 1919 r. samodzielnie wyzwoliły się z rąk litewskich w tzw. powstaniu suwalskim. To udane powstanie ostrzegło jednak Litwinów, którzy w związku z tym zdołali drogą masowych aresztowań spacyfikować polskie plany przeprowadzenia na całej Litwie kowieńskiej zamachu stanu. Zamach ten miał obalić antypolski rząd i stworzyć nowe władze, te zaś miały wezwać na pomoc Wojsko Polskie, a następnie doprowadzić do unii z Polską. Była to ostatnia próba odbudowy federacyjnej Rzeczypospolitej. Same Suwałki w 1920 r. zostały przez Rosjan oddane na powrót Litwinom, a następnie odbite przez Polaków.

GRANICE WSCHODNIE

W polskich elitach ścierały się dwie koncepcje – Romana Dmowskiego, zakładająca rozszerzenie Polski na wschód jedynie tak daleko, by w tak zbudowanym państwie Polacy stanowili bezwzględną większość (Polska miała być państwem narodowym, a słowiańskie mniejszości stopniowo się polonizować), i Józefa Piłsudskiego, opierająca się na założeniu, że dla zachowania niepodległości najważniejsze jest rozbicie rosyjskiego imperializmu. Do tego trzeba wykorzystać nierosyjskie narody zamieszkujące zachodnią część Imperium. Najlepiej odbudować dawną Rzeczpospolitą na zasadzie federacyjnej, a gdyby to było niemożliwe – wesprzeć antyrosyjskie, niepodległe państwa, powstające na gruzach dawnej Rosji.

Kluczowym z nich musiała być Ukraina, paradoksalnie jednak na wschodzie to właśnie z Ukraińcami pierwszymi przyszło Polakom skrzyżować miecze. Gdy w listopadzie 1918 r. waliła się Austria, Ukraińcy próbowali bowiem zająć Lwów i Galicję Wschodnią, czego nawet podzielający poglądy Piłsudskiego Polacy nie mogli zaakceptować. Lwów ogarnęły walki, mające w pierwszych dniach charakter polskiego powstania (Ukraińcy uprzedzili Polaków i zdążyli pierwsi objąć kontrolą miasto). Udało się ich wyprzeć, a następnie idąca od Przemyśla polska odsiecz odblokowała Lwów. Potem, do lata 1919 r., zajęto całą Galicję.

W ten sposób Polacy położyli kres istnieniu jednego z dwóch powstałych w 1918 r. ukraińskich organizmów państwowych – Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Drugie – tworzona na ziemiach wchodzących uprzednio w skład carskiej Rosji Ukraińska Republika Ludowa – pod wodzą atamana Symona Petlury toczyła w tym czasie walkę o przetrwanie z bolszewikami i białymi Rosjanami. Po utracie Kijowa i zepchnięciu na zachód przez Armię Czerwoną zagrożony całkowitym zmiażdżeniem Petlura podpisał porozumienie z Piłsudskim. Zrzekał się w nim Galicji i Wołynia w zamian za uznanie przez Polskę Ukrainy i sojusz wojskowy. W tym czasie armia polska odrzuciła już bolszewików na linię leżącą nieco na wschód od późniejszej granicy „ryskiej". W polskich rękach były m.in. Mińsk i Kamieniec Podolski.

W kwietniu 1920 r. rozpoczęła się polsko-petlurowska ofensywa na Ukrainie. Polacy zajęli większość Ukrainy prawobrzeżnej wraz z Kijowem, ale sił radzieckich w większości nie rozbili, bo wycofały się one na wschód i były nadal zdolne do walki. Na utrwalenie ukraińskiej niepodległości zabrakło zaś czasu, bo już na początku czerwca ściągnięte z innych teatrów wojny oddziały radzieckie (m.in. słynna armia konna Budionnego) zmusiły Wojsko Polskie do oddania Kijowa i wycofywania się z Ukrainy.

Na początku lipca zaś na Białorusi uderzyły, koncentrowane tam jeszcze przed wyprawą kijowską, armie komandarma Michaiła Tuchaczewskiego. Ich celem, postawionym przez partię na długie miesiące przed rozpoczęciem polskiej ofensywy, było złamanie Rzeczypospolitej, by Armia Czerwona mogła dopomóc komunistycznej rewolucji w Niemczech, będącej najważniejszym marzeniem internacjonalistów Lenina i Trockiego. Na Białorusi WP poniosło klęskę i zaczęło się wycofywać na zachód znacznie szybciej niż na Ukrainie i momentami bezładnie.

W sierpniu wojska radzieckie weszły na tereny dawnej Kongresówki, dotarły pod Warszawę i aż nad dolną Wisłę (Płock). Jednak polski opór stężał, polska armia stawała się coraz lepiej wyposażona (pomoc Francji), a atakujący Rosjanie słabli. W rezultacie ponieśli klęskę, zaskoczeni uderzeniem Piłsudskiego znad Wieprza na północ. Polskie zwycięstwo zostało we wrześniu przypieczętowane zajęciem zachodniej Białorusi dzięki bitwie niemeńskiej.

W rezultacie w łotewskiej Rydze podpisano pokój, na mocy którego Polska otrzymała granicę biegnącą od południa wzdłuż rzeki Zbrucz, przez bagna poleskie, i dalej na zachód od Mińska. Granica ta zostawiała po radzieckiej stronie nie tylko stolicę Białorusi, lecz i region Kamieńca Podolskiego, zamieszkany wówczas przez liczną polską mniejszość.

eprasa.pl e3b98bc95b

Śpiewnik pieśni patriotycznych

cz. 2

przygotowany we współpracy z Małopolskim Centrum Edukacji „MEC”

INSKRYPCJA

przygotowana na Święto Niepodległości 11 listopada 2018 r.
przez Michała Daszczyszaka, prezesa MEC

Chrystus Wszystkich Pomordowanych,
Poległych i Zaginionych
Wasza Ofiara jest naszą siłą
i wspólnym obowiązkiem wzajemnego
poszanowania godności każdego człowieka
i życia w miłości, pokoju i przebaczeniu
przed Obliczem Boga Wszechmogącego
i w Duchu Świętym.
Wam Pomordowanym, Poległym i Zaginionym
na wieczną pamięć Waszego męczeństwa –
świadectwa wierności Bogu i Ojczyźnie
dla następnych pokoleń, które po nas przyjdą,
aby żyć w Wolności, Sprawiedliwości,
Solidarności, Prawdzie i Zgodzie
w Ojczyźnie bez przemocy
i bez nienawiści.
Wam Chwała, Wam oddajemy Cześć!
M.B. ***11.11.2018***

eprasa.pl/e5b98bc95b

Bogurodzica

autor nieznany

Nie za wolno, z powagą



Bogurodzica Dziewica,
Bogiem sławiena Maryja.
U Twego Syna, Gospodzina,
Matko zwolena Maryja.
Zyszczy nam, spuści nam,
Kyrie eleison!
Twego dziela Krzciciela, Bożycze,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze.
Słysz modlitwę, jąż nosimy
A dać raczy, Jegoż prosimy
A na świecie zbożny pobyt
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrie eleison!

eprasa.pl e3b98bc95b

O Panie, któryś jest na niebie

słowa i muzyka: **Adam Kowalski**



O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie
O polski dach, o polską broń.
Ref. O Boże, skrusz ten miecz,
co siekł nasz kraj!
Do wolnej Polski nam powrócić daj!
By stał się twierdzą nowej siły,
Nasz dom, nasz kraj!

bis

O, usłysz, Panie, skargi nasze!
O, usłysz nasz tułaczy śpiew!
Znad Warty, Wisły, Sanu, Bugu
Męczeńska do Cię woła krew.
Ref. O Boże, skrusz ten miecz...

eprasa.pl e5b98bc95b

Rota

słowa: Maria Konopnicka muzyka: Feliks Nowowiejski



Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski ród,
Królewski szczep piastowy!
Nie damy, by nas gnębił wróg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił!
Orężny stanie hufiec nasz,
Bóg będzie nam hetmanił!
Pójdziem, gdy zagrzmi złoty róg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie damy miana Polski zgnieść
Nie pójdziem żywo w trumnę!
Na Polski imię, na jej cześć
Podnosim czoło dumnie!
Odzyska ziemię dziadów wnuk!
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

eprasa.pl e3b98bc95b

Mazurek Dąbrowskiego

słowa: Józef Wybicki



Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.
Ref. Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami.
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy!
Ref. Marsz, marsz Dąbrowski...

bis

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla Ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze!
Ref. Marsz, marsz Dąbrowski...

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany!
Ref. Marsz, marsz Dąbrowski...

42/2018/F
eprasa.pl e3b98bc95b

Stulecie odzyskania niepodległości XIII Przystanek Niepodległość

Muzeum Historii Polski zaprasza do udziału w grze rodzinnej

Labirynt Niepodległości



WSTĘP WOLNY

10.11.2018, godz. 10-20

11.11.2018, godz. 11-19

Plac Teatralny 1, Warszawa

www.muzhp.pl

Organizator

MUZEUM HISTORII POLSKI

niepodległa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Sponsor

PWPW Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych

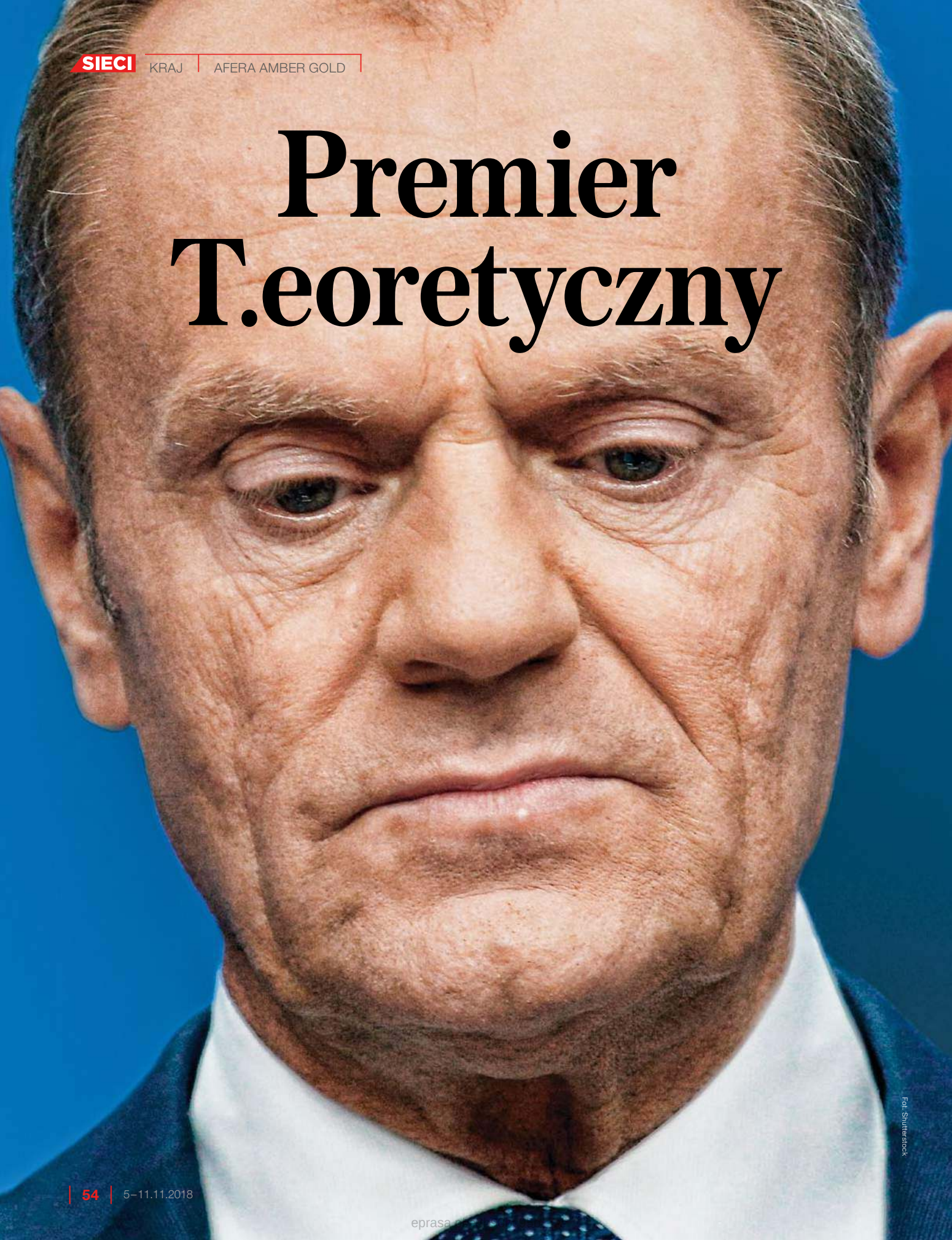
Patroni medialni

Polskie Radio · PAP Polska Agencja Prasowa · TVP3 Warszawa · Dzieje.pl Portal Historyczny · Kulturka.pl · Czasdzieci.pl

Dofinansowano ze środków MKiDN w ramach *Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022*

eprasa.pl e3b98bc95b

Premier T.eoretyczny



Fot. Shutterstock

eprasa

Sławetną frazę Bartłomieja Sienkiewicza o państwie polskim istniejącym jedynie teoretycznie doskonale obrazuje afera Amber Gold. Cała administracja, organy ścigania, wymiar sprawiedliwości były w niewytłumaczalny sposób sparaliżowane wobec działań drobnego oszusta, który wyciągnięty z aresztu stanął na czele jednego z największych przekrętów w III RP. Na czele bezradnego wobec niego państwa stał Donald Tusk. Zapowiada się, że jego przesłuchanie przed komisją śledczą będzie długie i niezwykle interesujące. Najważniejsze kwestie, z których będzie się tłumaczył były premier, podzieliliśmy na pięć obszarów

1 NOTATKA BONDARYKA

Często podczas posiedzeń komisji śledczej ds. Amber Gold pada pytanie: „Od kiedy Pan/Pani wiedział/-ła, czym jest Amber Gold?". Do tej kwestii zapewne będzie się musiał odnieść także Donald Tusk. I jedno jest pewne – nie będzie mógł się zasłaniać niewiedzą po 24 maja 2012 r. To wtedy szef ABW gen. Krzysztof Bondaryk kieruje m.in. do ówczesnego premiera notatkę (pierwsi opublikowaliśmy jej treść w tygodniku „Sieci") zatytułowaną: „INFORMACJA. Dotyczy: działalności podmiotów w oparciu o mechanizm »piramidy finansowej«". Pismo dostają również prezydent Bronisław Komorowski, koordynator specsłużb i szef MSW Jacek Cichocki, minister finansów Jan Vincent Rostowski, minister transportu Sławomir Nowak oraz szef Komisji Nadzoru Finansowego Andrzej Jakubiak.

W treści czytamy, że z analizy ABW wynika m.in., iż wynajmowane przez Amber Gold skrytki bankowe nie są w stanie fizycznie pomieścić zadeklarowanej ilości złota, co stawia pod znakiem zapytania cały kruszcowy interes. Bondaryk przypomina także, że w 2010 r. Ministerstwo Gospodarki wydało spółce zakaz prowadzenia działalności składowej z powodu ciążących na Marcinie P. prawomocnych wyroków sądowych. Kolejna część informacji dotyczy Grupy OLT Express, której działalność „może być ekonomicznie nieuzasadniona". ABW już wtedy, po miesiącu działalności linii lotniczych, wie, że to lewy biznes, którego celem nie jest zarabianie, tylko wyprowadzanie pieniędzy z lokat Amber Gold. Wnioski są jednoznaczne, adresaci pisma nie mogą mieć wątpliwości: „Działalność



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Amber może być prowadzona nie tylko z naruszeniem prawa bankowego, [...] ale także może być ukierunkowana na wyłudzenia finansowe". I najważniejsze: „Potencjalnymi pokrzywdzonymi może być kilkadziesiąt tysięcy osób". Podkreślmy – te słowa w maju 2012 r. napisał gen. Krzysztof Bondaryk, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która mimo takiej zgromadzonej przez siebie wiedzy przez kolejne dwa miesiące nie zrobiła nic, by zatrzymać wypompowywanie kasy z Amber Gold przez Marcina P. Czas miał tutaj niebagatelne znaczenie, gdyż połowa 2012 r. to był moment, kiedy klienci wpłacali do piramidy najwięcej pieniędzy.

To kolejna rzecz, którą były premier powinien wyjaśnić: dlaczego nie zareagował i nie wymusił na służbach natychmiastowego działania, wiedząc, że utratą majątku może być zagrożonych nawet kilkadziesiąt tysięcy Polaków?

2 SŁUŻBY BEZ NADZORU

„Przypadków" i „nieoczekiwanych zbiegów okoliczności" w sprawie Amber Gold jest tak wiele, że trudno w nie uwierzyć. Ale próbujmy. W czasie gdy Marcin P. zakłada oszukańczą piramidę finansową, nie ma w Polsce koordynatora służb specjalnych. Dlaczego? To właśnie pytanie do Donalda Tuska, który odwołując z tego stanowiska na początku 2008 r. Pawła Grasia, wepchnął służby w struktury zarządzania MSW, a obowiązki zwierzchnika wziął na siebie. Były koordynator ds. specsłużb w rządzie PiS Zbigniew Wassermann przestrzegał wówczas, że stwarza to „bardzo niebezpieczną sytuację, która zagraża bezpieczeństwu państwa". Odpowiadając na ten zarzut, szef KPRM Tomasz Arabski oświadczył, że „premier dobrze nadzoruje służby i wyznacza im działania", a „używanie takich słów jak »destabilizacja« czy »zagrożenie bezpieczeństwa« jest niepoważne.

Dzisiaj już wiemy, jak „poważnie" ws. Amber Gold działały zadaniowane i rozliczane przez premiera służby, szczególnie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Delegatura w Gdańsku nie zajęła się sprawą szczegółowo, bo miała informację, że pracuje nad nią delegatura w Warszawie. Ta stołeczna odpuściła, bo była przekonana, że sprawę prowadzi Gdańsk. Podsłuchy podejrzanym założono prawie trzy miesiące po słynnej notatce gen. Bondaryka, a w międzyczasie prowadzono – delikatnie mówiąc – działania pozorowane. Agenci sprawdzali np., w jakich godzinach pracują punkty Amber Gold i ile osób z obsługi znajduje się wtedy w oddziale. Kuriozum, w które trudno uwierzyć. Tym bardziej w świetle informacji uzyskanych później, w toku prac komisji śledczej. Jeden z oficerów ABW zeznał, że szajka była rozszyfrowana, ale o tym, by nie drążyć tematu, zadecydował „rozkaz, który przyszedł z góry". Co więcej, ta bezczynność służb, których największe siły rzucono wówczas do zabezpieczenia przygotowań Euro 2012, przełożyła się także na inne instytucje, które przymykały oko

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. Fratria

na działania oszustów z Amber Gold i linii lotniczych OLT.

Stan bezkrólewia w specsłużbach utrzymywał się do 24 listopada 2011 r., gdy ministrem koordynatorem został Jacek Cichocki. Dobrze byłoby się dowiedzieć od Donalda Tuska, co skłoniło go do tak radykalnych, nieznanych w III RP zmian w strukturze KPRM. Do dzisiaj pozostają wątpliwości, czy decyzja premiera z 2008 r. nie była przypadkiem niezgodna z wieloma ustawami. To oznaczałoby, że były szef rządu powinien stanąć przed Trybunałem Stanu.

3 NIE-RZĄD

W sprawie Amber Gold państwo nie zadziałało chyba w żadnym z obszarów, w których zadziałać mogło – i powinno było. Ale nie o wszystkie Donald Tusk będzie pytany, bo nie wszystkie mu podlegały – chociażby prokuratura czy sądy. Część instytucji, które mogły mafijny proceder przeciąć, premier miał pod nosem, we własnym rządzie. Chodzi o ludzi z jego najbliższego otoczenia – trzech ministrów: transportu, finansów oraz spraw wewnętrznych i administracji nadzorującego również specsłużby.

Każdy z nich był wyposażony w potężny aparat administracyjny i operacyjny. Komisja jest w posiadaniu materiału dowodzącego, że osoby na najwyższych szczeblach rządowej machiny miały wyprzedzającą wiedzę o nielegalnym procederze, ale nie wykonały żadnych działań, by go ukrócić.

Kierujący resortem transportu Sławomir Nowak był jednym z adresatów majowej notatki Krzysztofa Bondaryka. Mógł wydać decyzję – z rygorem natychmiastowej wykonalności – o odebraniu koncesji lotniczej liniom OLT. Nie podjął jednak żadnej aktywności aż do 16 sierpnia 2012 r. Wtedy podpisał zarządzenie kontroli w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego. Jednak wówczas linie OLT od trzech tygodni były już w stanie upadłości, a Amber Gold od kilku dni. Zawiadomienie do prokuratury o niedopełnieniu obowiązków przez urzędników z ULC resort transportu wysłał dopiero w styczniu 2013 r. (sprawę szybciutko umorzono). Dlaczego Nowak de facto pozwolił Marcinowi P. – na jego warunkach – zamknąć wszystkie firmy? Dlaczego nie reagował, gdy zwiększały się straty spółek skarbu państwa (np. lotnisk), a szef Amber Gold mógł ze swoimi wspólnikami wyprowadzać pieniądze klientów piramidy finansowej?

To pytania również do ówczesnego premiera, bo to on powinien był na bieżąco (co najmniej od maja 2012 r.) żądać od podległych mu ministrów raportów z wyjaśniania afery i przeciwdziałania jej pogłębianiu się.

Podobne pytania można byłemu premierowi zadać o nadzór nad ministrem spraw wewnętrznych Jackiem Cichockim, koordynującym też pracę specsłużb – o ich roli w nieprzeszkadzaniu Marcinowi P. wspomnieliśmy wyżej.

Trzecim z bliskich rządowych współpracowników Tuska był szef resortu finansów Jan Vincent Rostowski. On także niespecjalnie przejął się notatką Bondaryka. Nie interesował się, jaka jest sytuacja fiskalna Amber Gold i OLT. Nie wiedział więc, że firma od lat zalega ze sprawozdaniami finansowymi i z płaceniem podatków. Nie badał, jak wyrosła mu pod nosem tak gigantyczna piramida finansowa. Jak stwierdził w czasie przesłuchania przed komisją, martwił się, by klienci OLT Express mieli jak wrócić do kraju, gdy linie upadną. Nie wiedział nawet, że spółka prowadziła głównie loty krajowe... Rostowski ufał, że – mówiąc kolokwialnie – wszystko ogarnie jego zastępca Andrzej Parafianowicz (jednocześnie generalny inspektor informacji finansowej, który od listopada 2011 r. wiedział o problemie Amber Gold i nawet nie przeprowadził analizy transakcji podejrzanej spółki), i przestał się zajmować sprawą. Takie podejście najwyraźniej nie przeszkadzało Donaldowi Tuskowi, który też się aferą specjalnie nie interesował. No, chyba że w kontekście syna, który zatrudnił się u oszusta...

4 OSŁONA DLA SYNA?

Andrzej Korytkowski, prezes parabanku Finroyal, usłyszał od Marcina P.: „Jak pan wie, u mnie pracuje syn premiera – pracował w OLT i dopóki on pracował, to wydaje mi się, że nikt nas nie ruszył. W chwili obecnej może być tak, że ktoś nas ruszy". Czy Michał Tusk był parasolem ochronnym dla przestępczego układu? Jest wiele

eprasa.pl e3b98bc95b

poszlak na to wskazujących. Ale dlaczego nie zapobiegły temu służby państwowe? Czy znany jest inny przypadek w historii Rzeczypospolitej, w którym wielokrotnie skazywany przestępca wynajmuje sobie syna urzędującego premiera? Jak to możliwe, że najważniejsze osoby w kraju oraz ich dzieci otrzymały państwową ochronę, a młody Tusk był spod niej wyłączony? Dlaczego premier do tego dopuścił?

To tylko początek długiej serii pytań o syna, z jakimi zapewne przyjdzie się zmierzyć przewodniczącemu Rady Europejskiej. Kiedy rozmawiał z dzieckiem o jego współpracy z Marcinem P.? Co oznaczało stwierdzenie Michała, iż „obaj z ojcem wiedzieli, że Amber Gold to lipa"? Czy do takiego wniosku doszli już po notatce Bondaryka? I skąd ta dziwna koincydencja zdarzeń – służby zaczynają poważniej się zajmować biznesem Marcina P. dopiero po tym, jak 15 lipca Michał Tusk kończy współpracę z liniami lotniczymi. Dosłownie dzień później powstaje plan śledztwa, składane są wnioski o założenie technik operacyjnych etc.

I co do samego zaangażowania syna Donalda Tuska w OLT: czy wiedział, że potomek naraża się na konflikt interesów, a nawet zarzuty karne? Wszak przekazywał prywatnemu przewoźnikowi (za darmo, inni za taką wiedzę musieli płacić) informacje, do których miał dostęp, będąc zatrudnionym w gdańskim porcie lotniczym.

Może się dowiemy też, kiedy i dlaczego powiedział synowi, że „komisji śledczej w tej sprawie nie będzie" (Michał Tusk tak relacjonował postawę ojca w wywiadzie dla „Wprost"). To chichot historii, że właśnie przed komisją śledczą Donald Tusk będzie się tłumaczył z tych zapewnień składanych dziecku.

> W czasie gdy Marcin P. zakłada oszukańczą piramidę finansową, nie ma w Polsce koordynatora służb specjalnych. Dlaczego? To właśnie pytanie do Donalda Tuska

5 UKŁAD GDAŃSKI

Wielu twierdzi, że taki biznes mógł się zdarzyć tylko w tym mieście. Podobno taki klimat... Jeśli ktoś twierdzi, że układ gdański nie istnieje, albo jest wyjątkowo naiwny, albo musi być z nim jakoś powiązany. Innego wytłumaczenia nie ma. Co w tej sprawie powie Donald Tusk? Jakie były i są jego relacje z prezydentem Pawłem Adamowiczem (który promował Amber Gold), szefem lotniska Tomaszem Kloskowskim (którego nie trapiły straty portu lotniczego w związku z niewywiązaniem się OLT z umów), wierchuszką samorządowców (którzy ciągnęli samolot Marcina P.), lokalnymi wszechmocnymi przedsiębiorcami – Mariusem Olechem czy Janem Przywarą, którzy z tą sprawą oczywiście nie mają nic wspólnego?

Co Donald Tusk wie o powiązaniach lokalnych polityków z biznesem, organami ścigania, wymiarem sprawiedliwości, skarbówką i światem przestępczym (w skrócie mówimy o tym „mafia")? Najpewniej będzie się zarzekał, że nie ma na ten temat żadnej wiedzy. A może powie, że on w ogóle o Gdańsku niewiele wie? A może „nie odnajduje już niczego w pamięci" (jak mówił przed komisją Sławomir Nowak), bo – jak barwnie interpretował brukselskie plany Tuska były szef Orlenu Jacek Krawiec w rozmowie z Pawłem Grasiem – „poszedł w zupełnie inną orbitę, odseparował się od tego wszystkiego, od tego syfu i folkloru, jest dużym misiem"?

Kaja potrzebuje pomocy

Kaja to sześcioletnia dziewczynka, która od czterech lat dzielnie walczy z jednym z najokrutniejszych nowotworów, jakim jest neuroblastoma. Otrzymujemy informację, że w Niemczech jest szansa na podanie leku, który zwiększy szansę na wyzdrowienie. Barierą są pieniądze. Kaja dostała wielką szansę, a my dzięki ludziom o wielkim sercu uzbieraliśmy konieczne środki na jej leczenie. Po kilku miesiącach nasza Księżniczka wygrywa z chorobą.

3 września tego roku rozpoczyna naukę w szkole. Nawiązuje przyjaźnie i bawi się wspólnie z rówieśnikami. Nikt z nas nie przypuszczał, że ta radość potrwa tak krótko. Nagle pojawia się zmiana pod kolankiem. Natychmiastowa reakcja – USG, rezonans. Nie możemy w to uwierzyć. Podejrzenie wznowy. Kaja po kilku dniach jest ponownie w niemieckiej klinice, gdzie lekarze podejmują walkę o jej życie. Jednak znowu przeszkodą są pieniądze, bo to będzie bardzo kosztowna terapia. Prosimy o każdą złotówkę. Wierzymy, że z wielką armią ludzkich serc damy radę i Kaja jeszcze nieraz usiądzie z koleżankami w szkolnej ławce.

Fundacja Nasze Dzieci przy Klinice Onkologii Centrum Zdrowia Dziecka
Nr konta 76 1240 1109 1111 0010 1163 7630
koniecznie z podaniem w tytule wpłaty: KAJA CZERWIŃSKA
Wpłaty zagraniczne:
SWIFT CODE (BIC): PKOPPLPW
IBAN: PL 76 1240 1109 1111 0010 1163 7630



eprasa.pl e3b98bc95b

Odnieśliśmy sukces

To był mecz PiS kontra reszta świata. A i tak, jeśli spojrzymy na wyniki w perspektywie przyszłorocznych wyborów parlamentarnych, mamy powody do dużego optymizmu. 34-procentowe poparcie w wyborach do sejmików wojewódzkich przełożyłoby się na ponad 42 proc. głosów w wyborach parlamentarnych, a więc szanse na większość byłyby bardzo duże

*Jacek Karnowski rozmawia z **Tomaszem Porębą**, europosłem, szefem sztabu wyborczego Prawa i Sprawiedliwości*

Zdjęcie: Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3b98bc95b



Czy wynik wyborów samorządowych pozwala powiedzieć, że sztabowi PiS, którym pan kieruje, udało się osiągnąć wszystkie najważniejsze cele? Gdy chodzi o władzę w sejmikach, na pewno tak, ale również w odniesieniu do dużych miast i ogólnego wyniku procentowego.

Tomasz Poręba: To była kampania bardzo precyzyjnie zaplanowana i konsekwentnie realizowana. Postawiliśmy w niej mocno na przekaz związany z wiarygodnością PiS, wzbogacony prezentacją konkretnych propozycji programowych zarówno ogólnopolskich, jak i tych dla regionów: inwestycyjnych, komunikacyjnych, ale także sportowych czy związanych z walką ze smogiem. Oba te elementy ściśle się z sobą wiązały, bo to dzięki temu, że dotrzymujemy słowa, nasze obietnice są poważnie traktowane przez wyborców. To wszystko było przeplatane politycznym, ogólnopolskim przekazem odwołującym się do funkcjonowania państwa, a więc takimi sprawami jak ściągalność VAT, walka z dziką reprywatyzacją, kwestia imigracji. Podkreślaliśmy, że teraz czas na przeniesienie dobrej zmiany szczebel niżej, do samorządów. Do tego należy dodać setki spotkań naszych liderów z wyborcami. Bardzo aktywni byli zwłaszcza prezes Jarosław Kaczyński i premier Mateusz Morawiecki, który nadał kampanii dużą dynamikę, ale było też mocne wsparcie i wiele spotkań wicepremier Beaty Szydło, wielu ministrów i posłów. Do tego zorganizowaliśmy kilkanaście konwencji regionalnych, trzy duże centralne. I to zaprocentowało.

W wyborach do sejmiku PiS pobiło rekord AWS z 1998 r.

Rzeczywiście żadnej partii nie udało się dotąd zdobyć ponad 34 proc. głosów. Zdobyliśmy samodzielną władzę w sześciu sejmikach, dzięki koalicjom możemy rządzić w kilku kolejnych. Prawdziwą skalę naszego sukcesu pokazują jednak wyniki z powiatów. Zwyciężyliśmy w 162 powiatach, w 2014 r. były to 102 powiaty. Do tego setki gmin, które również będą teraz rządzone przez PiS. Łyżką dziegciu są duże miasta, ale tam prowadziliśmy kampanie mocno zindywidualizowane i zaplanowane przez sztaby poszczególnych kandydatów. W kampanii centralnej oprócz miast chcieliśmy przede wszystkim dotrzeć do mieszkańców regionów, województw, powiatów i gmin. Z trzech powodów: po pierwsze, dzięki synergii rząd–samorząd będzie lepiej funkcjonować całe państwo; po drugie, przyniesie ona realne zmiany „na dole"; po trzecie, oznacza wzmocnienie PiS w terenie.

> To jest coś, co już nigdy więcej nie może się powtórzyć. Jeszcze przed ogłoszeniem oficjalnych wyników pojawiły się komentarze negatywnie oceniające i sam wynik, i przebieg kampanii. Robili to ludzie, którzy po katastrofie smoleńskiej z PiS w 2010 r. odchodzili

Czy jednak, w odniesieniu do wyniku procentowego, właściwszym tłem są nie poprzednie wybory, ale rok 2019 i walka o reelekcję obecnej władzy? Niektórzy komentatorzy podkreślają, że zsumowany wynik opozycji jest znacznie wyższy niż wynik PiS, nawet liczony razem z Kukiz '15.

To oczywiste, że ta kampania rozpoczęła długi cykl wyborczy. Jednym z naszych celów było swego rodzaju rozpędzenie naszej partii, zarówno gdy chodzi o aktywność struktur, jak i o poparcie wyborców na poziomie ogólnopolskim. Walczyliśmy w trudnych warunkach, bo właściwie wszyscy byli przeciwko nam. To był mecz PiS kontra reszta świata. Nigdzie, nawet w małych gminach, nie chowaliśmy swojego sztandaru pod innymi szyldami. A i tak, jeśli spojrzymy na wyniki w perspektywie przyszłorocznych wyborów parlamentarnych, mamy powody do bardzo dużego optymizmu.

Te 34 proc. w wyborach do sejmików przełożyłoby się na większość w Sejmie?

To byłoby w wymiarze ogólnopolskim ponad 42 proc. głosów w wyborach parlamentarnych, a więc szanse na większość byłyby bardzo duże. Zwróćmy uwagę, że wyniki SLD i Kukiz '15 oscylują wokół progu wyborczego, co oznacza, iż nawet jeśli partie te weszłyby do Sejmu, miałyby niewielu posłów. Również PSL, gdy chodzi o parlament, jest realnie na poziomie progu. To także zasługa tych wyborów i naszej kampanii. Wybory do Sejmu są jednak dopiero za rok. Nie mam złudzeń i wiem, że to będzie piekielnie trudna kampania. Ważne, że dzięki wynikowi wyborów samorządowych mamy kapitał, na którym możemy budować.

Wróćmy jeszcze na chwilę do wyborów w wielkich miastach. Mówi pan, że były one jednym z wielu celów. Jednak w przekazie publicznym to się nie przebijało, wielu wyborców sądziło, że chcecie i możecie wygrać w Warszawie, Poznaniu czy Łodzi. Trudno się dziwić, że w czasie wieczoru wyborczego niejeden przeżył gorzkie rozczarowanie. Może eksponowanie batalii w stolicy było błędem?

Sama koncepcja kampanii ogólnopolskiej, którą przyjęliśmy, sprawdziła się w 100 proc. To jest źródło naszego sukcesu. Na poziomie sztabu działaliśmy niemal tak samo jak w czasie walki o mandaty w Sejmie. Stosowaliśmy te same instrumenty. Jeśli chodzi o pewne rozczarowanie tuż po zamknięciu urn, to można powiedzieć, że wieczór wyborczy zabiły

eprasa.pl e3b98bc95b

nam exit poll, które bardzo przeszacowały PSL. Ja spokojnie czekałem na ostateczne wyniki, bo na wyborczym szlaku widziałem tysiące ludzi, emocje, entuzjazm, energię i bardzo pozytywny odzew na nasz program – to musiało dać nam sukces. A jeśli chodzi o duże miasta, to oczywiście musimy wyciągnąć wnioski. Postawiliśmy na młodych kandydatów, którzy nie bali się ciężkiej pracy, którzy mieli pomysły, i jestem pewien, że ta inwestycja wcześniej czy później zaprocentuje.

Pan mówi, że w odniesieniu do największych miast trzeba wyciągnąć wnioski. Czy jednak w ciągu tych 12 miesięcy, które zostały do wyborów parlamentarnych, można coś tu zrobić? To są przecież emocje, które nawarstwiały się od kilku, a nawet kilkunastu lat.

Trzeba bardzo konsekwentnie komunikować się z mieszkańcami dużych miast. Nie można się zniechęcać. Musimy pokazywać nasze działania i plany rozwojowe. W odniesieniu do tej grupy trzeba być maksymalnie merytorycznym. Mam świadomość, że ci ludzie nie głosują na PiS, bo np. nie podoba im się nasz program. Ale tak naprawdę oni na nas nie głosują, bo mają gdzieś podskórnie zakodowaną niechęć do Prawa i Sprawiedliwości. To niezwykle trudno przełamać. Powtarzam: nie można się jednak poddawać, trzeba szukać klucza, który pozwoli trafić w ich emocje i serca. Jestem też pewien, że skuteczność naszych rządów, nasza determinacja w pracy na rzecz Polski w końcu skłonią przynajmniej ich część do zmiany stanowiska. Pewnie byłoby nam też łatwiej, gdyby opozycja nie posuwała się do manipulacji, sugerując np., że PiS zmierza do polexitu, co jest ordynarnym kłamstwem.

Przywódcy PiS twierdzą, że to właśnie fake news dotyczący polexitu zbił poparcie dla partii w ostatnim okresie kampanii. Ale przecież ten zarzut formułowano wobec partii rządzącej już dawno, i to z większą siłą, i nie miał on większego wpływu na notowania. Dlaczego teraz sprawa ta miała mieć aż taką nośność?

Ta wrzutka rzeczywiście zmobilizowała mieszkańców dużych miast. Ludzi, którzy są bardzo wrażliwi na jakiekolwiek doniesienia w temacie Unii Europejskiej. W tej grupie dość łatwo wzbudzić irracjonalny strach. Dlaczego to zagrało? Zdecydowała korelacja kilku czynników. Na pewno decyzja TSUE w sprawie ustawy o Sądzie Najwyższym, ogłoszona dzień przed ciszą wyborczą, i mocna aktywność w tym temacie mediów krytycznych wobec PiS nie były przypadkowe. My w tej kampanii walczyliśmy bowiem nie tylko z opozycją, ale także z potężnymi grupami interesów, z bardzo wpływowymi środowiskami, które ostro włączyły się w tę kampanię. Tu trzeba też wspomnieć chociażby o taśmach prezentowanych przez znany, nieprzychylny PiS portal mający niemieckiego właściciela. Ale nie ma co narzekać: jeśli chce się reformować i wzmacniać państwo, nie da się uniknąć zderzenia także z takimi środowiskami. To są zresztą procesy, które nie ograniczają się do okresu kampanii. Widzimy, jak brutalnie od lat atakowany jest prezes Jarosław Kaczyński. Jak ze względu na olbrzymią pracę, skuteczność i aktywność wzięto na celownik premiera Morawieckiego, jak brutalnie w ostatnich dniach atakuje się wicepremier Szydło. Cały czas chodzi o osłabienie zarówno naszego obozu, jak i będące jego twarzami osoby.

> Mieszkańcy dużych miast mają podskórnie zakodowaną niechęć do PiS. To niezwykle trudno przełamać. Nie można się jednak poddawać, trzeba szukać klucza, który pozwoli trafić w ich emocje i serca

Czy sprawa taśm miała wpływ na wynik wyborów? Była mocno eksponowana w mediach.

To była zaplanowana akcja uderzenia w wiarygodność liderów PiS. Działalność premiera Morawieckiego w walce z szarą strefą, mafiami VAT czy paliwowymi przyniosły olbrzymi sukces i wpływy do budżetu, ale też wciekłość tych, którzy przez lata rządów PO w biały dzień okradali Polskę i Polaków. Gdy nasi rywale się zorientowali, że Mateusz Morawiecki jest też bardzo aktywny w naszej kampanii, szukali czegoś, co pozwoliłoby podważyć zaufanie Polaków do szefa rządu. Dlatego wyciągnięto przeterminowane taśmy i starano się je maksymalnie nagłośnić.

Już po wyborach dużo sporów wywołał spot odwołujący się do obaw przed masową imigracją. Czy był on dobrym ruchem?

Absolutnie tak. Proszę zwrócić uwagę, że ten spot został mocno zaatakowany w mediach opozycyjnych nie przed wyborami, ale już po. Dlaczego nie zaatakowano go od razu, skoro materiał zaprezentowaliśmy pięć dni przed głosowaniem? Dlatego, że był on trafiony i groźny dla PO, i nie chciano doprowadzić do nakręcenia się tego tematu. Mocno bowiem mobilizował naszych wyborców. Dzisiejsze ataki, niestety z udziałem również niektórych przedstawicieli Zjednoczonej Prawicy, co budzi mój wielki niesmak, nie biorą się z niczego. Chodzi o trwałe zniechęcenie PiS do podejmowania tego tematu w czasie kolejnych kampanii. Z punktu widzenia PO i liberalnych mediów jest to bowiem temat skrajnie politycznie niebezpieczny.

Rzeczywiście portal wPolityce.pl informował, że w mediach lewicowych i opozycyjnych niektórzy

eprasa.pl e3b98bc95b

przedstawiciele Zjednoczonej Prawicy próbowali narzucić narrację o rzekomej klęsce PiS, wpisując w to m.in. sprawę spotu dotyczącego imigrantów.

Niestety, tak właśnie było. To jest coś, co już nigdy więcej nie może się powtórzyć. Jeszcze przed ogłoszeniem oficjalnych wyników pojawiły się komentarze negatywnie oceniające i sam wynik, i przebieg kampanii, i działania sztabu. Robili to ludzie, którzy nie są członkami PiS, którzy nie pracowali w sztabie i którzy nie mają żadnego mandatu, by wypowiadać się w imieniu naszej partii. Co więcej, to ludzie, którzy w tragicznych miesiącach po katastrofie smoleńskiej z PiS w 2010 r. odchodzili. Oni dziś chcą recenzować kampanię. To jest nie do przyjęcia. Tym bardziej że wiele z tych zakulisowych wypowiedzi wpisywało się wprost w narrację drugiej strony, a to już jest bardzo niebezpieczne.

Teraz nawet część komentatorów opozycyjnych przyznaje, że to nie był żaden „przełom", ale kolejne zwycięstwo PiS.

To jest wielki, historyczny sukces, nie tylko procentowy, ale także dotyczący ważnej zmiany w setkach, może tysiącach miejsc w Polsce. Mogę się tylko cieszyć, że został on wypracowany ciężką pracą ludzi działających w PiS, w oparciu o własne pomysły i zasoby, a nie przez jakichś mniej lub bardziej uznanych specjalistów od PR czy różnego rodzaju drogi na skróty. Wiem, że dla wielu z nich to trudne do zaakceptowania, ale tak właśnie było. Udało się bez ciągłych przecieków, bez szczucia na kolegów z partii, bez tego typu sztuczek.

W Warszawie opozycja wyciągnęła wnioski z kampanii Bronisława Komorowskiego. Kandydata, który miał tendencję do wpadek i źle wypadał w kontakcie z ludźmi, starannie schowano. W zamian prezentowano plakaty, billboardy i niezwykle brutalną kampanię w internecie, co opisali na łamach „Sieci" Marek Pyza i Marcin Wikło w artykul „Brudna kampania". Tego typu metody – a więc produkowane na skalę przemysłową fake newsy – później dopalane pieniędzmi w mediach społecznościowych, na pewno zostaną wykorzystane w przyszłym roku przeciw całemu PiS. Warszawa była poligonem.

> Spot o imigrantach został mocno zaatakowany w mediach opozycyjnych nie przed wyborami, ale już po. Dlaczego? Dlatego, że był on trafiony i groźny dla Platformy

Te metody stosowano już teraz. Atakowano nas fałszywymi informacjami, manipulacjami, chwytami nie fair. Wrzutka i fake news o polexicie to dobry przykład. Musimy być na to przygotowani, bo druga strona gra o życie, o przetrwanie, więc pewnie nie zawaha się przed niczym. Musimy umieć na to odpowiedzieć, również w mediach społecznościowych. Ale musimy też pamiętać, że nie można toczyć starych bitew. Każda kampania jest inna, każda wymaga elastycznego podejścia.

Prof. Waldemar Paruch na łamach „Sieci" postawił tezę, że „na razie wyczerpały się możliwości pozyskiwania nowych wyborców poprzez prostą ofertę socjalną i ekonomiczną". Bo wyborcy biorą, są nawet wdzięczni, ale do niczego nie czują się zobowiązani. Z tego wynika, że PiS musi znaleźć przed kolejnymi kampaniami nowe silniki programowe.

Na pewno coś w tym jest. Wyborcy nie tylko w Polsce mają relatywnie krótką pamięć. Przed każdą kampanią trzeba jasno stawiać pytanie, czego teraz, w tym konkretnym czasie, ludzie oczekują od polityków, na czym im zależy, czego się boją, jakie mają nadzieje i emocje. Odpowiedź na to pytanie wymaga wielu analiz. Kierując się intuicją, uważam, że słowem kluczem jest „bezpieczeństwo". Chodzi zarówno o bezpieczeństwo socjalne, co już w dużej mierze zrobiliśmy, jak i bezpieczeństwo zewnętrzne, odnoszące się do różnych kryzysów o zasięgu europejskim.

Jak pan ocenia mobilizację struktur PiS? Niektórzy kandydaci w dużych miastach skarżyli się po cichu, że nie wszyscy członkowie partii dawali z siebie wszystko.

Mogę mówić jedynie o pracy sztabu, który przez ostatnie pięć miesięcy dawał z siebie wszystko, za co bardzo dziękuję moim współpracownikom. Wybory samorządowe mają swoją specyfikę. Startuje wielu kandydatów, emocje lokalne bywają duże. Tu sporo dobrego zrobiło to, że prowadziliśmy kampanię centralną; w ten sposób pomagaliśmy nawet tym kandydatom, którzy mieli szczególnie trudno, a czasem wręcz pod górkę. Mogli sięgać po nasz przekaz, mogli go uzupełniać, mieli się na czym oprzeć. Mieliśmy też większą możliwość dotarcia z naszym programem dzięki większemu pluralizmowi mediów, ze szczególnym uwzględnieniem niezależnych portali i gazet. One też powinny być lepiej wspierane i rozwijane w przyszłości, bo dają nadzieję na przełamanie monopolu medialnego jednej strony. Wreszcie wiele osób o programie PiS mogło się dowiedzieć dzięki telewizji publicznej, co nie było możliwe w ostatnich kampaniach.

Powracając do pierwszego pytania: jaki procent celów udało się zrealizować sztabowi PiS w tej kampanii?

W sumie zrealizowaliśmy ok. 80 proc. naszych celów. Zawsze może być lepiej, ale w warunkach, które były, gdzie walczyliśmy nie tylko z konkurentami politycznymi, lecz też wspierającymi ich ośrodkami w kraju i za granicą, moim zdaniem odnieśliśmy wielki sukces.

eprasa.pl e3b98bc95b

Dobrze Cię widzieć, czyli odblaski w akcji

Zasada ich działania jest niezwykle prosta, a mogą uratować życie. Kamizelki uszyte z jaskrawego materiału i wyposażone w odblaskowe taśmy odbijają światła reflektorów, sprawiając, że nawet w ciemnościach czy w deszczu pieszy na poboczu staje się widoczny dla kierowców. Już wkrótce prawie 3 mln takich kamizelek trafi do uczniów podstawówek. Ruszyła ogólnopolska kampania „Dobrze Cię widzieć”

Materiały odblaskowe są współcześnie łatwo dostępne. Dlatego dziwi, że są tak rzadko używane przez Polaków. Można je kupić w postaci breloków, przywieszek, opasek, a nawet ubrań, w które w różnej formie wszyte zostały taśmy lub elementy odbijające światło. Od teraz można je również dostać. Za sprawą kampanii „Dobrze Cię widzieć”, współfinansowanej przez Fundusz Sprawiedliwości, będą je mieć wszyscy uczniowie szkół podstawowych w kraju. Pierwsze dostały je i założyły dzieci ze szkoły podstawowej w Kuźni Raciborskiej na Śląsku. To właśnie tam rozpoczęła się kampania. W jej inauguracji udział wzięli minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro i minister edukacji narodowej Anna Zalewska, którzy podobnie jak organizatorzy akcji podkreślali konieczność zwiększenia bezpieczeństwa na polskich drogach. W samym tylko 2017 r. w całej Polsce miało miejsce 32 760 wypadków, w których zginęło 2 381 osób. Ponad 3 tys. dzieci do 14. roku życia zostało w tych wypadkach rannych, a 56 straciło życie!

Zwraca uwagę też zeszłoroczny, ponadsześcioprocentowy wzrost liczby ofiar śmiertelnych wypadków z udziałem pieszych. I chociaż w zdecydowanej większości winę za te zdarzenia ponoszą kierowcy, to niemal 0,5 tys. osób zginęło, a ponad 2 tys. zostało rannych w wyniku wypadków, których sprawcami byli właśnie piesi.

– Nie chodzi nam jednak o to, żeby się nawzajem straszyć liczbami ani szokować kontrowersyjnymi zdjęciami. Wierzymy w siłę pozytywnego przekazu, dlatego zależy nam na przekonaniu Polaków do życzliwego zachowania na drodze – mówi Jacek Sapa, prezes Fundacji Narodowego Dnia Życia, organizator kampanii „Dobrze Cię widzieć”. – Odpowiedzialne podejście do siebie i innych to nawyk, który naszym zdaniem da się wypracować – dodaje Sapa.

Temu celowi służyć będą zajęcia w szkołach, w czasie których rozdawane będą kamizelki. Będą towarzyszyć im pogadanki przybliżające zasady bezpiecznego zachowania na drodze, a w przełożeniu rzeczy trudnych na język zrozumiały dla małych odbiorców pomoże kreskówka „Dobrze Cię widzieć”. Jej bohaterowie zachęcać będą do noszenia odblasków. O podstawowych zasadach przypominać będą też ulotki i inne materiały informacyjne zawierające „7 odblaskowych zasad drogowych”.



1/1018/F

Kampania skierowana jest także do starszych, ale przemawiać będzie do nich inaczej – poprzez zabawny film z udziałem ambasadora akcji, Cezarego Pazury. Znany i popularny aktor wystąpił w spocie informacyjnym „Dobrze Cię widzieć”, który już wkrótce trafi na małe ekrany i do sieci. Film w niesztampowy i zabawny sposób przekonuje do tego, żeby dać się poznać z jak najlepszej strony oraz nosić odblaski. Ambasadora akcji zobaczymy również na billboardach w całej Polsce. Wszystko po to, by przypomnieć Polakom, że ruch drogowy to nie tylko zbiór przepisów regulujących zasady poruszania się po drodze, chodniku czy ścieżce rowerowej.

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl
WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI
DOBRZE CIĘ WIDZIEĆ

eprasa.pl e3b98bc95b

Krajobraz po bitwie

Opozycja wychodzi z wyborów samorządowych poobijana, osłabiona, skonfliktowana, niepewna przyszłości. A miało być tak pięknie



STANISŁAW JANECKI

Opozycja ogłosiła sukces w wyborach samorządowych, tyle że ten „sukces" zagroził istnieniu wielu opozycyjnych ugrupowań oraz ich liderom. Podczas kampanii samorządowej opozycja przećwiczyła wariant dywanowych bombardowań rządzącej zjednoczonej prawicy i okazało się, że nie wyrządziły one spodziewanych strat. A nawet opozycja przedwcześnie użyła bomby atomowej, czyli oskarżeń o polexit, żeby sprawdzić, jak to zadziała w kampanii do europarlamentu. Te bombardowania miały ujawnić słabe punkty obrony Prawa i Sprawiedliwości, żeby można było je zniszczyć w 2019 r. podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego oraz do Sejmu i Senatu. Okazało się, że spora część bomb spadła na własne pozycje, np. powodując chaos w ruchu Kukiz '15, który stał najbardziej z boku głównego sporu. Ale oberwały też Platforma Obywatelska, Sojusz Lewicy Demokratycznej, Polskie Stronnictwo Ludowe, Nowoczesna, Partia Razem, Wolność czy Ruch Narodowy. Przede wszystkim



Władysław Kosiniak-Kamysz (PSL) i Paweł Kukiz (Kukiz '15)

Fot. Andrzej Wiktor

prasa.pl/e3b98bc95b

wybory samorządowe pokazały, że opozycja jest słabsza, niż mogło to wynikać z sondaży, jej deklaracji oraz chwilowych wzrostów poparcia. Wybory samorządowe miały wywołać kryzys w PiS, wywołały go po stronie opozycji.

SCHETYNA NA TARCZY

Paradoksalnie największy problem po wyborach ma zwycięska w wielu miastach Platforma Obywatelska. Partia Grzegorza Schetyny utrzymała stan posiadania w dużych miastach przede wszystkim dlatego, że skonsumowała Nowoczesną, czyli odzyskała część wyborców, którzy w 2010 r. na nią głosowali, a w 2014 r. mieli alternatywę w postaci partii Ryszarda Petru. Ale zysk jest bardzo nieznaczny, szczególnie w odniesieniu do wyników PiS, które są wręcz radykalnie lepsze od tych sprzed czterech lat. Platforma zyskała trochę lewicowych wyborców, ale straciła sporo konserwatywnych. I pokazała, że właściwie nie ma skąd brać kolejnych zwolenników. Lewicowych wyborców przybyło PO z elektoratu Nowoczesnej i wąskiej grupy sympatyków Barbary Nowackiej (właściwie tylko ona przystąpiła do Koalicji Obywatelskiej, a jej ugrupowanie – Inicjatywa Polska – po tym kroku praktycznie się rozpadło). Sama Nowacka jest już przez radykalniejszą lewicę skreślona za sprzedanie się Platformie, czyli opowiedzenie się po ciemnej stronie mocy i mainstreamowego establishmentu. Po lewej stronie nie ma już skąd czerpać poparcia, gdyż SLD pod przewodnictwem Włodzimierza Czarzastego nie wejdzie w taką koalicję z PO jak Nowoczesna, skoro mógłby przestać istnieć albo trwale spaść poniżej progu wyborczego. A jeśli Czarzasty zrobi krok za daleko, straci przywództwo.

O żadnej koalicji z PO nie mowy po stronie Partii Razem, dla której ugrupowanie Schetyny jest samym złem. Inne formacje lewicowe są zbyt cherlawe albo efemeryczne, aby Schetynie chciało się tracić czas na rozmowy z nimi. Jest jeszcze zawiedziony przewodniczącym Platformy i nią samą elektorat liberalny, ale on nie widzi sensu w działaniach lidera PO. Albo, tak jak w przypadku prof. Radosława Markowskiego, uważa Schetynę za przeszkodę („On nie ciągnie partii w górę, tylko raczej trochę przeszkadza"), albo dostrzega jałowość funkcjonowania wyłącznie w roli agresywnego antypisu. Schetyna ma tylko warunkowe poparcie liberalno-lewicowych mediów, bo nie ma nikogo innego, kto po stronie opozycji miałby takie aktywa. Ale te media pierwsze Schetynę zaatakują, jeśli tylko będzie jakaś alternatywa: zarówno gdy chodzi o nowego przewodniczącego PO, jak i nowego lidera opozycji.

Pozornie przewodniczący Platformy na pięć lat usunął najważniejszego rywala do przywództwa w partii, czyli Rafała Trzaskowskiego. Ale przecież ktoś może wpaść na pomysł, że bycie przewodniczącym PO i prezydentem stolicy nie jest sprzeczne. A wtedy pomysł Schetyny, żeby wyeliminować rywala z wewnątrzpartyjnej rozgrywki, może mieć odwrotny skutek, gdyż Trzaskowski jako prezydent Warszawy, zwycięzca w pierwszej turze, czyli efektywniejszy w wyborach od samego przewodniczącego partii, a teraz decydujący o tysiącach posad, jest silniejszy od siebie samego w roli tylko członka zarządu Platformy. Tym bardziej że Schetyna nieopatrznie uczynił go wiceprzewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej. Jeśli PO straci mandaty w wyborach do europarlamentu, los Schetyny może być przesądzony i przed najważniejszymi wyborami (do Sejmu oraz Senatu w październiku lub listopadzie 2019 r.) pójdzie Platforma po mocnych przejściach, czyli w rozsypce. Do tego dojdzie coraz bardziej krytyczna ocena obecnego przewodniczącego PO za kampanię samorządową i za sposób kierowania partią. Oznacza to, że niemal pół roku po „sukcesie" Platformy w wyborach samorządowych partia ta może mieć nowego lidera, konflikty wewnętrzne (obalony Schetyna szukałby odwetu) i brak spójnej strategii.

POTYKAJĄCY SIĘ O PRÓG

Wszystko wskazuje na to, że Nowoczesna już się nie podniesie jako suwerenny byt polityczny, a jej liderka straciła wartość samodzielnego polityka – jako „paprotka" Grzegorza Schetyny. Partia Katarzyny Lubnauer ma atut w postaci klubu w Sejmie, ale będzie miał on wartość jeszcze tylko przez rok. Natomiast po wejściu do Koalicji Obywatelskiej słabną i tak niezbyt okazałe struktury terenowe partii, co może mieć decydujące znaczenie dla marnej przyszłości Nowoczesnej. Partia bez struktur zawsze traci, o czym najlepiej wiedzą Paweł Kukiz i posłowie jego ruchu. Lubnauer i część posłów Nowoczesnej zapewne znajdą się na niezłych miejscach na listach KO, ale partia straci suwerenność, co zniechęci część jej wyborców. A część może przenieść swoje sympatie na Ryszarda Petru, który wystartuje z nowym projektem. W efekcie po Nowoczesnej zostaną tylko milionowe długi, a sama partia najprawdopodobniej zniknie tuż po wyborach parlamentarnych w 2019 r., o ile nie szybciej. Chyba że Nowoczesna szybko się wypisze z koalicji z PO, co już niekiedy się dzieje, np. w radzie miejskiej we Wrocławiu. Ale to też nie gwarantuje przetrwania.

Ruch Kukiz '15 osiągnął fatalny wynik w sejmikach (0 mandatów), mimo że przekroczył 5 proc. Już w trakcie kampanii samorządowej ugrupowanie toczyły ostre konflikty wewnętrzne, przede wszystkim z powodu braku pieniędzy i struktur, nieprzewidywalności oraz ograniczonej dostępności lidera. Kampanię przeprowadzono cudem i na „ostatnim oddechu", korzystając z resztek entuzjazmu sympatyków. A tuż po wyborach Paweł Kukiz wszedł w absurdalny z punktu widzenia interesów ruchu konflikt z Markiem Jakubiakiem (głośne „piątkowe" wpisy w mediach społecznościowych), wypchnął do partii Wolność Jakuba Kuleszę i pokazał ciemne strony swojego przywództwa. W ciągu trzech lat klub Kukiza w Sejmie stracił 14 posłów, czyli jedną trzecią. Ale przede wszystkim ruch pokazał, że w obecnej formie jest chyba najbardziej ryzykownym ewentualnym koalicjantem w polskiej polityce. W ruchu silne są naciski na zamianę go w partię, czemu przeciwny jest sam lider. Tylko dlatego, że jako rockman Paweł Kukiz funkcjonuje na zupełnie innych zasadach niż inni polityczni liderzy, wiele mu się wybacza i otrzymuje kolejne szanse. Ale ruch, a szczególnie klub, jest na granicy sterowalności i przewidywalności, co może zniechęcić część wyborców, a wewnątrz wzniecić bunt przeciwko

eprasa.pl e3b98bc95b

liderowi. Jedynym atutem wciąż jest status zrewoltowanego przeciwnika partyjnego establishmentu, ale ta rewolta rozsadza też ruch od środka. Sprzyjają temu powyborcze rozliczenia, gdyż wybory samorządowe jako test stanu zdrowia ruchu Kukiz'15 nie wypadły dobrze. W wyborach parlamentarnych w 2019 r. ruch może mieć problem z przekroczeniem progu, o ile do tego czasu w ogóle przetrwa w obecnej formie.

WYGASZANIE PSL I SLD

Choć po ogłoszeniu exit poll wydawało się, że jest odwrotnie, Polskie Stronnictwo Ludowe okazało się największym przegranym wyborów samorządowych: straciło na wszystkich poziomach, często nie osiągając nawet połowy stanu posiadania z 2014 r. Oficjalnie mówi się, że to i tak sukces, bo PSL jest trzecią siłą w polskiej polityce, ale w partii wrze. Szczególnie po deklaracji prezesa Władysława Kosiniaka-Kamysza, że PSL nie chce ani nie może wchodzić w koalicję z PiS. PSL to wielki aparat (liczebnie to zdecydowanie największa partia w Polsce) i tysiące posad, a strategia obecnego prezesa oznacza odsunięcie tysięcy działaczy oraz klientów od władzy i pieniędzy.

> Paradoksalnie największy problem po wyborach ma zwycięska w wielu miastach Platforma Obywatelska

Kosiniak-Kamysz wprawdzie odmładza PSL, ale niewiele z tego wynika, gdy np. jego kandydat w Warszawie Jakub Stefaniak dostaje kompromitujące 2,8 tys. głosów. Starsi działacze uważają, że Kosiniak-Kamysz może być tym prezesem, który doprowadzi do tego, iż po raz pierwszy PSL nie znajdzie się w Sejmie. Dlatego jego przywództwo jest bardzo mocno kontestowane. Tym bardziej że wybory samorządowe są dla PSL najważniejsze i tu miało ono najwięcej sukcesów. A duży spadek poparcia oraz liczby mandatów może fatalnie wróżyć w wyborach do europarlamentu oraz do Sejmu i Senatu. Oznacza to możliwość przewrotu pałacowego w partii oraz zmiany kursu, i to całkiem szybko. Takie są efekty wyborczego „sukcesu".

Skompromitowały się sny o potędze Włodzimierza Czarzastego, które przewodniczący śnił, gdy w niektórych sondażach kilka miesięcy przed wyborami samorządowymi poparcie dla SLD sięgało 10 proc. Sojusz wrócił do balansowania na granicy progu, a wybory samorządowe okazały się odcinaniem ostatnich kuponów od niegdysiejszej pozycji, jak w przypadku prezydenta Rzeszowa Tadeusza Ferenca, który ma już jednak 78 lat. Przede wszystkim dlatego, że nie wiadomo, jaką SLD jest lewicą. Nie jest ani lewicą socjalną, ani obyczajową, ani też tradycyjnie postkomunistyczną. I nie wiadomo, jakim liderem jest Czarzasty, skoro właściwie jeszcze niczego spektakularnego z SLD nie osiągnął. A w Warszawie jego faworyt Andrzej Rozenek uzyskał w wyborach na prezydenta zaledwie 13,4 tys. głosów. Część socjalnego elektoratu SLD poparła PiS, część liberalnego – PO, a część czeka na nową partię Roberta Biedronia (ma się objawić w lutym 2019 r.). Efekt może być taki, że SLD nie tylko nie wróci do Sejmu, lecz stanie się partią pozaparlamentarną, co uruchomi procesy rozłamowe i może doprowadzić do tego, do czego doszła lewicowa Unia Pracy, czyli do całkowitej marginalizacji. Kto wtedy zostanie liderem, nie będzie już miało znaczenia. Tym bardziej że pozycja Czarzastego po wyborach jest dużo słabsza, niż była przed nimi.

GWIAZDY JEDNEGO SEZONU I EMERYCI

Wiele wskazuje na to, że skończył się fenomen Partii Razem, która apogeum osiągnęła w 2015 r., a po wyborach parlamentarnych może pozostać partią marginalną, mimo że w osobie Adriana Zandberga ma wyrazistego i dobrze wykształconego lidera. Tradycyjni wyborcy lewicy nie „kupili" tego, że Partia Razem jest „niepodległościową lewicą" nawiązującą do PPS, a młodsi chcieliby większego radykalizmu. Ideologiczne oblicze partii Zandberga jest eklektyczne, co wcale nie stanowi atutu. A marny wynik wyborów samorządowych może przekonać zwolenników, że głos na Partię Razem będzie stracony. Tym bardziej jeśli pojawi się alternatywa w postaci nowego ugrupowania Biedronia. Może dlatego partia Zandberga przełamała swoją niechęć do SLD i zapowiada jakieś negocjacje.

Kiepskie wyniki partii Wolność oraz samego lidera w Warszawie (11,5 tys. głosów) zdają się wskazywać, że ostatecznie wyczerpał się potencjał Janusza Korwin-Mikkego. Wyborcy dali mu do zrozumienia, że powinien przejść na polityczną emeryturę. A to on był emblematem różnych wcieleń niegdysiejszej Unii Polityki Realnej. Bez niego partia typu Wolność nie przekroczy progu, gdyż na zapleczu nie ma nikogo równie charyzmatycznego czy chociażby równie bezczelnie niepoprawnego i uwodzącego kolejne pokolenia młodych gniewnych liberalizmem, jakiego nie ma nigdzie na świecie. Korwinizm ma w tej dekadzie szansę definitywnie przejść do historii.

Wydaje się też, że nastąpiła trwała marginalizacja Ruchu Narodowego, który próbował się odrodzić w kolejnych inicjatywach (np. z pomocą ruchu Kukiz '15). Narodowcy są wprawdzie głośni i potrafią skupiać uwagę, ale odstręczają od masowego poparcia. A już działania Roberta Winnickiego i Krzysztofa Bosaka w kampanii samorządowej wśród wielu nawet umiarkowanych zwolenników uruchomiły dzwonki alarmowe. Wzbudziły też poważne wątpliwości, jakie interesy obecnie Ruch Narodowy reprezentuje. Narodowcy ani przez chwilę nie zagrozili PiS, a reagowanie na ich zaczepki przez tę partię w kampanii wydaje się całkowitym nieporozumieniem. Ruch Narodowy i zdecydowana większość opozycji wychodzą z wyborów samorządowych poobijani, osłabieni, skonfliktowani, niepewni przyszłości, narażeni na kolejne wstrząsy. A miało być tak pięknie.

eprasa.pl e3b98bc95b

Tam, gdzie PiS wzięło w wyborach wszystko



Wielki triumf PiS w gminie Bukowina Tatrzańska! Wybory na wójta wygrał kandydat tej partii Andrzej Pietrzyk. Pisowcy zdobyli też wszystkie 15 mandatów w radzie gminy. To niewątpliwie ewenement w skali kraju. Postanowiliśmy przyjrzeć mu się bliżej

Fot. Shutterstock



JAROMIR KWIATKOWSKI

Na Andrzeja Pietrzyka głosowało prawie 61 proc. wyborców. Jego kontrkandydat, dotychczasowy wójt Stanisław Łukaszczyk (sprawował tę funkcję przez dwie kadencje), otrzymał ponad 39 proc. głosów. W liczbach oznacza to 1 027 głosów przewagi. Kandydaci PiS na radnych otrzymali w sumie prawie 62 proc. poparcia.

– Trudno powiedzieć, że PiS wzięło wszystko – tonuje nowo wybrany wójt. – Zaproponowaliśmy konkretnych ludzi z konkretnymi pomysłami na załatwienie problemów. Myślę, że mieszkańcy po prostu im zaufali.

CIEMNOGRÓD. JUŻ TU NIE PRZYJEDZIEMY!

To tłumaczenie Andrzeja Pietrzyka. Choć pewnie jest prawdziwe, nie wyczerpuje odpowiedzi na pytanie, skąd się wziął tak wielki triumf PiS.

Często występujący stereotyp mówi, że górale hołdują tradycyjnym wartościom, które w Polsce symbolizuje – w wymiarze politycznym – właśnie PiS. Stereotypy stereotypami, ale jest tu coś na rzeczy.

– Moim zdaniem PiS zawsze było bardzo mocne w Bukowinie Tatrzańskiej, nawet za rządów PO wygrywało tu ze

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. Jaromir Kwiatkowski

sporą przewagą – twierdzi Paweł Pełka, redaktor naczelny „Tygodnika Podhalańskiego".

Podczas rozmów z mieszkańcami gminy odniosłem wrażenie, że ostatnie trzy lata rządów PiS w kraju jeszcze bardziej wzmocniły pozycję tej partii u podnóża Tatr. Grzesiek, młody chłopak z Czarnej Góry k. Bukowiny, którego spotkałem w drodze do urzędu gminy, zaznaczył wprawdzie, że nie mógł głosować, bo w wyborczą niedzielę pracował, ale dodał, iż wyborczy wynik PiS w gminie jest być może pokłosiem tego, że ta partia rządzi w całym kraju, a działania, które podejmuje, podobają się ludziom.

Władysław Goryl, 85-letni mieszkaniec Białki Tatrzańskiej, którego spotkałem w okolicach urzędu gminy, głosował na PiS. – Wszyscy chcieli głosować na nich – podkreśla. Ale nie był to owczy pęd. – Głosowałem na PiS, bo widzimy bardzo dużą poprawę w całej Polsce, choć wiadomo, że wszystkiego zrobić się od razu nie da – stwierdził pan Władysław. I dodał: – PiS, co obiecuje, to robi. A Platforma co zrobiła? Nic. 500+ dała? Nie dała. Jakby rządzili dłużej, toby całą Polskę rozkradli.

Mieszkanka Bukowiny, w średnim wieku, którą spotkałem w centrum wsi (nie zgodziła się na podanie personaliów), przekonywała mnie, że to nawet nie chodzi o PiS. – My bronimy swojej wiary i na to zwracamy uwagę bardziej niż na partie polityczne – stwierdziła. – Akurat w tej sprawie PiS jest z nami – dodała.

Przy okazji wspomniała o znamiennym szczególe: to głosowanie ma już swoje reperkusje w kraju. – Do mojej znajomej, właścicielki domu wczasowego, jacyś turyści napisali, że już więcej nie przyjadą do Bukowiny, bo to ciemnogród – powiedziała oburzona.

Maria Kuruc, radna PiS, uważa, że szyld partyjny nie był decydujący. – Ludzie postawili na ludzi. Na osoby, które mimo że są młode, mają w swoim dorobku wiele dokonań dla społeczności lokalnej – stwierdziła w TVN24. I zapowiedziała ciężką pracę radnych PiS przez najbliższe pięć lat, aby przekonać wyborców, by w kolejnych wyborach znów im zaufali.

Jak to zatem jest z tym partyjnym szyldem? – Myślę, że wyborcy głosowali na konkretnych ludzi, lecz szyld partyjny miał również znaczenie – godzi różne zdania nowy wójt.

LEKKA STAGNACJA, CZYLI ZMIANA BYŁA KONIECZNA

Dotychczasowy wójt Stanisław Łukaszczyk, odpowiadając na pytanie, jak przyjął wyborczą porażkę, stwierdza, że zwycięstwa i porażki są wpisane w tę profesję: – Jestem samorządowcem od 1991 r. i to nie jest moja pierwsza porażka. Takie jest życie samorządowca, i tyle.

Jednocześnie składa gratulacje następcy: – Szczęść Boże na robotę, będę trzymał kciuki za jak najlepsze rządy.

Zapytany, w jakim stanie zostawia gminę, odpowiada, że niezadłużoną. Wymienia też najważniejsze zrealizowane inwestycje (ich szczegółowy wykaz zawierają podsumowania obu jego kadencji na stronie internetowej gminy), z których największymi w ostatnich latach były: budowa systemu kanalizacji zbiorczej i oczyszczalni ścieków w gminie (łączna wartość tego zadania wyniosła prawie 19 mln zł) oraz budowa hali sportowej w Białce Tatrzańskiej za 16 mln zł. Środki, które udało się pozyskać na inwestycje gminne w ciągu dwóch kadencji, to ok. 80 mln zł, lecz nie wszystkie – z przyczyn, jak stwierdził Łukaszczyk, „niezależnych od wójta" – udało się wykorzystać.

Jego punkt widzenia jest nie do końca styczny z oczekiwaniami wielu mieszkańców. Redaktor Paweł Pełka podkreśla, że w gminie zapanowała „lekka stagnacja", szczególnie w samej wsi Bukowina.

Wspomniana wyżej mieszkanka Bukowiny Tatrzańskiej przekonuje, że gmina robiła zbyt mało, by przyciągnąć tu-

Gminę Bukowina Tatrzańska zamieszkuje ponad 13 tys. osób. Tworzą ją wsie: Bukowina Tatrzańska, Białka Tatrzańska, Brzegi, Czarna Góra, Groń, Jurgów, Leśnica i Rzepiska. Na stronie internetowej gminy można przeczytać następującą jej charakterystykę: „Położona u stóp Tatr, centrum narciarstwa, dysponująca 10 kolejami krzesełkowymi i 30 wyciągami narciarskimi, miejsce nieskażonej przyrody, czystych wód, gorących term, licznych tras wspinaczkowych, szlaków turystycznych, gościnnych kwater i wybornej kuchni regionalnej, miejsce styku trzech kultur: podhalańskiej, spiskiej i romskiej, żywego folkloru i tradycyjnego rzemiosła".

eprasa.pl e3b98bc95b

rystów, a przecież w dużej mierze z nich żyje. Widać to było także w takich drobiazgach jak zbyt mała liczba ławek i koszy na śmieci. – Cały czas słyszeliśmy tylko, że nie ma pieniędzy – podkreśla.

– Myślę, że dużą rolę w takim wyniku wyborczym odegrał również, wydawałoby się, mało istotny element – zauważa redaktor naczelny „Tygodnika Podhalańskiego". – Co roku na terenie gminy odbywa się wyścig Tour de Pologne, co prowadzi do zamknięcia przejazdu na dwa dni. Mieszkańcy są wtedy odcięci od świata. Mimo ewidentnej promocji za sprawą transmisji telewizyjnych wiele osób bardzo na to narzekało, a władze co roku dokładały się do organizacji wyścigu – dodaje.

– Zmiana musiała być, bo jak jeden jest za długo, to źle – uważa Władysław Goryl. – Tak, mieszkańcy chcieli zmian. Oczekują nowego spojrzenia na funkcjonowanie zarówno urzędu gminy, jak i całej gminy – potwierdza Andrzej Pietrzyk.

Zauważmy jeszcze, iż Prawu i Sprawiedliwości wygrać było o tyle łatwiej, że nie miało wielkiej konkurencji. W wyborach oprócz tej partii startowały cztery komitety lokalne – KWW Tatrzańska Jedność Samorządowców, KW Stowarzyszenia Czas na Białkę, KW Koła Gospodyń Wiejskich w Brzegach i KWW Bukowina Tatrzańska – Niezależni, ale tylko ten pierwszy wystawił kandydatów w większości okręgów, udział pozostałych był symboliczny. W 12 z 15 jednomandatowych okręgów w wyborcze szranki stanęło jedynie dwóch kandydatów, a w jednym okręgu do „wyboru" był tylko kandydat PiS.



Władysław Goryl, 85-letni mieszkaniec Białki Tatrzańskiej

Fot. Jaromir Kwiatkowski

AUTOPROMOCJA

JESIENNE OTWARCIE W POLSCE PL

BEZ SPINY
– IRONICZNY PROGRAM POLITYCZNY



PIĄTEK 23:00
POWTÓRKI PROGRAMU:
▶ SOBOTA 12:00
▶ NIEDZIELA 18:00
▶ PONIEDZIAŁEK 22:00

OGLĄDAJ W POLSCE PL

CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

upc NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

VECTRA NA POZYCJI 825

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. Jarosław Kwiatkowski

JAK TO Z KULTURALNĄ KAMPANIĄ BYŁO

Nowo wybrany wójt ma 39 lat i mieszka w Bukowinie Tatrzańskiej. Jest absolwentem AGH na kierunku geodezja i kartografia ze specjalnością szacowanie nieruchomości oraz Uniwersytetu Pedagogicznego na kierunku fizyka z informatyką. Ukończył studia podyplomowe z zakresu szacowania nieruchomości, pośrednictwa w obrocie nieruchomościami oraz audytu energetycznego budynków. Kiedyś prowadził firmę geodezyjną, ale zaprzestał działalności gospodarczej, kiedy w 2014 r. zasiadł w zarządzie Powiatu Tatrzańskiego. Zawodowo realizuje się jako biegły sądowy z zakresu geodezji i kartografii przy Sądzie Okręgowym w Nowym Sączu. Jest prezesem Związku Podhalan oddział Bukowina Tatrzańska. Przez pięć lat prowadził dziecięcy zespół góralski działający przy Domu Ludowym w Bukowinie Tatrzańskiej. Żonaty, troje dzieci.

Zapytany przez tygodnik „Sieci", jaką kampanię prowadziło PiS w Bukowinie, odpowiedział, że polegającą na rozmowie z mieszkańcami. W „Tygodniku Podhalańskim" nazwał tę kampanię „kulturalną".

Z tą kulturalną kampanią chyba nie było do końca tak. „Tygodnik Podhalański" opisał, jak Andrzej Pietrzyk (jeszcze wtedy kandydat na wójta) został nagrany przez jedną z kamer, jak o północy podjeżdża samochodem i zrywa plakat wyborczy Jacka Sztokfisza, kandydata na radnego z KWW Tatrzańska Jedność Samorządowców. – Ten incydent najwyraźniej jednak nie zniechęcił mieszkańców gminy do głosowania na niego – przyznaje naczelny pisma Paweł Pełka.

Podczas kampanii wyborczej Andrzej Pietrzyk zapowiadał m.in. walkę o dobre imię fiakrów wożących turystów do Morskiego Oka. Zapytany o to, odpowiada wymijająco: – Jest wiele rzeczy do zrobienia. Trudno tutaj wymienić jakieś konkrety, każda wieś ma swoje potrzeby. Jest potrzeba regulacji stanu prawnego dróg, remontu dróg, budowy kanalizacji, obiektów rekreacji, ścieżek rowerowych, organizacji komunikacji zbiorowej itd.

Charakterystyczny szczegół kampanii: kiedy osiem dni po wyborach odwiedziłem Bukowinę Tatrzańską, znalazłem jedynie dwa (!) plakaty wyborcze, i to kandydatów do małopolskiego sejmiku: Roberta Chowańca (KWW Wspólna Małopolska) i Tadeusza Chowaniaka (Kukiz'15). Podpytałem zarówno w urzędzie gminy, jak i napotkanych mieszkańców, co się stało z plakatami, bo już zacząłem powątpiewać, czy była tu w ogóle jakaś „wojna plakatowa". Okazało się, że zostały one usunięte zaraz po wyborach. Rzecz nie do pomyślenia w miastach, w których wyborcze plakaty wiszą często, mimo przepisów nakazujących ich usunięcie w ciągu 30 dni, jeszcze przez wiele miesięcy.

DLA DOBRA GMINY I MIESZKAŃCÓW

Gminna władza samorządowa bez opozycji? Wydawać by się mogło, że to stan idealny. Czy na pewno? Jakaś opozycja zawsze powinna być. Choćby dla higieny psychicznej władzy.

– Kiedy ma się pełnię władzy, to zawsze jest z tym związana większa odpowiedzialność – ocenia dr Bartłomiej Biskup, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Nie można już na nikogo zwalić, że przeszkadza, za wszystko się odpowiada: zarówno za obietnice zrealizowane, jak i niezrealizowane. To nie jest sytuacja komfortowa, bo po euforii, jaka przychodzi po takim zwycięstwie, może nastąpić rozleniwienie, a jednocześnie może wzrastać przekonanie, że zawsze mamy rację. Obecność nawet dwóch–trzech radnych opozycji może oddziaływać pozytywnie na władzę. Jeżeli tak jednolita władza nie będzie słuchać ludzi i nie będzie samokrytyczna, to może zostać uznana za arogancką.

Andrzej Pietrzyk widzi problem inaczej: – U nas w gminie nie występuje efekt opozycji. Po wyborach, gdy emocje już opadną, wszyscy wspólnie pracujemy dla dobra gminy i mieszkańców.

Nadmierny optymizm? Czas pokaże.

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. MAREK KUDELSKI/AGENCJA SE/East News

Przegrałem podwójnie

Łudziłem się, że Patryk Jaki w tej kampanii, pokazując, że jest ponad szyldem partyjnym, przekona do siebie wyborców niezdecydowanych

Z Piotrem Guziałem, byłym warszawskim samorządowcem, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Nie za wcześnie na polityczną emeryturę?

Piotr Guział: Jestem już 21 lat w polityce, zacząłem w 1997 r. od kampanii trochę nieszczęśliwie przegranej przez SLD po słowach Włodzimierza Cimoszewicza. Wstąpiłem do partii przegranej, bo nie jest sztuką przystąpić do zwycięzców. Byłem tam długich siedem lat, odszedłem na fali zmian. Po wyjściu Marka Borowskiego SLD był rozchwiany, uznałem, że samorząd jest doskonałym miejscem, gdzie można być aktywnym publicznie i wygrywać wybory bez czysto politycznego wsparcia. Stworzyłem pierwszy ruch miejski w Warszawie – „Nasz Ursynów", który odniósł sukces wyborczy.

A czy to nie jest tak, że to nie pan rezygnuje z polityki, tylko polityka przeżuła i – za przeproszeniem – wypluła Piotra Guziała?

Taki pogląd jest uprawniony, bo teraz przegrałem podwójnie. Nie zostałem wiceprezydentem ani nie zostałem radnym Ursynowa. Sama pani wie, z politykami jest czasami tak jak z Supernową – zabłysną bardzo jasno, rozświetlą okolice i potem giną bezpowrotnie. A mnie jednak udało się przeżyć wiele aktywnych lat. Nie będąc posłem ani ministrem, stałem się rozpoznawalnym politykiem. Znają mnie ludzie w całej Polsce. Na wczasach nad morzem czy w górach, a nawet za granicą podchodzili Polacy i pytali: „Pan Guział?". Stałem się swego rodzaju brandem.

Z politykami jest czasami tak, jak z Supernową – zabłysną bardzo jasno, rozświetlą okolice i potem giną bezpowrotnie. A mnie jednak udało się przeżyć wiele aktywnych lat. Znają mnie ludzie w całej Polsce

Nie szkoda teraz tego brandu zmarnować?

Nie wszystko tylko i wyłącznie robi się dla ludzi, trzeba też poświęcić czas sobie, rodzinie, swoim marzeniom, samorealizacji. Przy takim zabetonowaniu sceny politycznej nie widzę możliwości funkcjonowania w samorządzie warszawskim. Nie ma też na scenie politycznej partii, która byłaby mi bliska światopoglądowo.

Lubi pan hazard? Grał pan kiedyś na wyścigach?

Hazardu nie lubię, ale na wyścigach gram, zawsze obstawiam małymi stawkami.

Obstawił pan kiedyś „czarnego konia"? Bo w wyścigu samorządowym tak pan postawił.

Postawiłem na ambitnego i pracowitego polityka, który miał szansę – choć niewielką – to wygrać.

Nie wierzę, żeby ktoś, kto tak zna Warszawę jak pan, warszawiak z urodzenia, były burmistrz trudnej dla prawicy dzielnicy, jaką jest Ursynów, mógł tak to oceniać. Musiał pan zdawać sobie sprawę z tego, że Warszawa w większości to elektorat antypisowski.

To prawda, ale łudziłem się, że Patryk Jaki w tej kampanii, pokazując, że jest ponad szyldem partyjnym, przekona do siebie wyborców niezdecydowanych. Jeżeli Jakiemu i Trzaskowskiemu zabierzemy szyldy partyjne i postawimy tych polityków obok siebie, to tylko pozornie Trzaskowski wygląda na człowieka bardziej doświadczonego. Nie ma żadnych sukcesów politycznych, które można by przypisać do niego indywidualnie, nigdy nie pracował w samorządzie – Jaki był dwie kadencje radnym. Ministrem i wiceministrem był w sumie kilkanaście miesięcy. Jaki już jest trzy lata.

Ale to wszystko nie przekonało wyborców.

I to jest moje ogromne rozczarowanie. To było głosowanie plebiscytowe – za PiS czy przeciwko niemu. PiS przegrało w dużych miastach nie dlatego, że miało złych kandydatów. Trzy lata temu przekonało swoim przekazem Polaków, wygrało wybory prezydenckie i parlamentarne, teraz nie dotarło do większości w dużych miastach.

Ale w tej wygranej kampanii prezydenckiej Komorowski miał w II turze w Warszawie 20-procentową przewagę nad Andrzejem Dudą mimo bardzo złej kampanii PO. To nie był sygnał ostrzegawczy, że może być źle?

Ale ja nie podejmuję swoich wyborów wyłącznie pragmatycznie.

Polityk powinien być pragmatyczny.

Gdyby wszyscy politycy byli pragmatyczni, to np. działacze SLD dawno powinni tę partię rozwiązać i pozwolić na powstanie nowej siły. To stare, chyląc się ku upadkowi spróchniałe drzewo zabiera słońce i rzuca cień na młode pędy roślinne, które nie mogą wykiełkować...

Pan poeta... Ale idźmy dalej. W pewnym momencie podjął pan decyzję o starcie w wyborach na prezydenta Warszawy.

W poprzednich wyborach miałem bardzo dobry wynik, zająłem trzecie miejsce. W tych wystartowałem tylko dlatego, żeby mieć tytuł do rozmawiania z innymi kandydatami. Miałem nadzieję, że ci, którzy są poza dwiema głównymi siłami politycznymi, połączą swoje potencjały.

Ruchy miejskie?

Nie tylko, także Piotr Ikonowicz, środowisko bezpartyjnych samorządowców, Inicjatywa Polska. Razem moglibyśmy odegrać istotną rolę.

Ponad 80 proc. głosów otrzymali dwaj główni kandydaci. Nawet gdyby wszyscy pozostali się połączyli, nic by to nie dało, taka była polaryzacja warszawskiej sceny politycznej.

eprasa.pl e3b98bc95b

Gdyby nasz przekaz do wyborców był taki: słuchajcie, są dwie główne partie, ale i my możemy decydować o Warszawie, nie zmarnujcie swojego głosu, zagłosujcie na trzecią siłę, bo to wtedy my będziemy kontrolować tych polityków krajowych. Nie pozwolimy, żeby ta jatka polsko-polska przeniosła się na grunt warszawski. To my będziemy wyjaśniać te sprawy, które kładą się cieniem na wizerunku Warszawy. Popatrzcie, kto jest bardziej wiarygodny od Ikonowicza – przecież on bez pieniędzy walczy z krzywdą ludzi, np. eksmitowanych na bruk. Kto uczciwiej rozliczy reprywatyzację niż Śpiewak, kto będzie bardziej wrażliwy, jeśli chodzi o prawa kobiet i mniejszości niż Paulina Piechna-Więckiewicz? Kto jest bardziej autentyczny w walce ze smogiem czy o zieleń miejską niż ruchy miejskie? Spotykałem się z nimi wielokrotnie, od początku roku...
I zawsze było tak: „Dobrze, z tymi możemy, ale bez tych". Wszyscy przegrali, zamknęli się w sarkofagu własnych ambicji, a ja tego sarkofagu nie potrafiłem rozbić młotkiem rozsądku.

> Ludzie przyjeżdżający do Warszawy zaczynają nowe życie. Ich rodzice być może głosują na PiS czy PSL, ale oni chcą zerwać z tą prowincją, chcą pokazać, że się odnaleźli w stolicy

I wtedy podjął pan decyzję, że trzeba postawić na Patryka Jakiego? Złożył pan propozycję dołączenia do Jakiego czy było odwrotnie?
Pomyślałem sobie: co ja mam udowadniać i komu? Maksymalnie w tych wyborach mogę być trzeci, ale trzeci już byłem. A przy tym rozdrobnieniu na pewno ze słabszym wynikiem niż te moje 8,5 proc. z 2014 r.

No jednak jest pan pragmatycznym politykiem.
Skoro pozostali nie chcą się połączyć, to nie. W jednej z rozmów Patryk Jaki dopytywał, jak oceniam kampanię, kto wygra, czy będę trzeci. Powiedziałem, że skoro nie połączyliśmy sił, to będą śladowe, kompromitujące wyniki i ja w czymś takim nie będę brał udziału. Powiedziałem, że rezygnuję. On mówi: „To bez sensu, szkoda twojego potencjału". Pytam: „Co proponujesz?". A on: „Dołącz do mnie". Odpowiedziałem, że nie mogę dołączyć do sztabu, to będzie niezrozumiałe – człowiek, który stworzył własny ruch, był kandydatem na prezydenta, nagle wchodzi do sztabu Zjednoczonej Prawicy, a jest kojarzony z lewicą. Ruch niezrozumiały i nieefektywny. Jaki na to: „To w takim razie dołącz jako kandydat na wiceprezydenta". Pomyślałem, że to będzie dobry ruch, bo pokazujący jego otwartość na inne środowiska, jakieś partnerstwo, próbę poszerzenia bazy.

Miał pan pod tym względem doświadczenie, bo przecież na Ursynowie rządził pan w koalicji z PiS.
Gdy PiS powstawało w 2001 r., byłem młodym radnym SLD i miałem takie wyobrażenie, że to jest partia zamknięta, sekciarska i na drugim biegunie światopoglądowym. Nie miałem żadnych kontaktów z tym środowiskiem, ale po latach, gdy zostali moimi koalicjantami na Ursynowie, to poznałem fajnych, sympatycznych ludzi, niezasklepionych w swoim światopoglądzie, o szerokich horyzontach.

Bardzo szerokich. Pozwolili nawet panu wywiesić na budynku ratusza tęczową flagę – symbol środowisk LGBT.
Niespecjalnie pytałem ich o zdanie... W końcu byłem burmistrzem, a oni zastępcami. A tak serio, to oczywiście nie byli zadowoleni, ale zrewanżowałem się, wspierając liczne przedsięwzięcia o charakterze patriotycznym. Bo samorząd ma łączyć, a nie dzielić.

Przyjął pan propozycję Jakiego, ale zostawił sobie koło ratunkowe – gdyby jednak Zjednoczona Prawica przegrała wybory prezydenckie – w postaci kandydowania do rady dzielnicy Ursynów. Co było bardziej bolesne – to, że Jaki przegrał w I turze, czy to, że po pięciu kadencjach bycia radnym wyborcy powiedzieli: „Panu już dziękujemy"?
Zakładałem od samego początku, że mój start do rady dzielnicy może się zakończyć niepowodzeniem.

Wydawało się, że lokomotywą wyborczą dla Patryka Jakiego będzie komisja weryfikacyjna i afera reprywatyzacyjna, a okazało się, że miało to znikome znaczenie. Powierzono kierowanie miastem temu samemu układowi – ta sama partia, mocne więzy między Hanną Gronkiewicz-Waltz a Trzaskowskim, który był szefem jej ostatniej kampanii. Co się stało?
To jest pytanie do poważnych socjologów, co się naprawdę wydarzyło w Warszawie.

A w pańskiej ocenie?
Wiedzieliśmy, że stare dzielnice Warszawy są bardziej przychylne PiS, a młode sypialnie stolicy – Platformie.

Z czego to wynika?
Nie z wieku elektoratu, bo PiS w młodym elektoracie ma dobre sondaże. To może wynikać z tego, że ludzie, którzy przyjeżdżają do Warszawy, zaczynają nowe życie. Ich rodzice być może głosują na PiS czy PSL, ale oni chcą zerwać z tą prowincją, chcą pokazać, że się odnaleźli w Warszawie.

Są liberalni, proeuropejscy, światowi, demokratyczni, nie tak jak ten zaścianek, który zostawili za sobą?
Podświadomie wpisują się w pewien warszawski sznyt, który ich zdaniem jest oczekiwany od takiego nowego warszawiaka, a przede wszystkim pozwoli mu łatwo i bezpiecznie wejść w obce środowisko. I to nie jest nic złego. Ja tak to sobie tłumaczę, choć może to być błędne tłumaczenie.

eprasa.pl e3b98bc95b

A może rzeczywiście zupełnie inaczej myślą niż ich dziadkowie i rodzice?

Może. Ale generalnie jest tak, że PiS przegrało z demonami, które zostały uwolnione przez środowiska zbliżone do tej partii. Narracja, która była efektywna albo obojętna na tzw. prowincji, w dużych miastach przynosi odwrotny efekt. Kłótnia z Unią Europejską może pokazuje, że wstaliśmy z kolan, jesteśmy dumnymi Polakami, ale w dużych miastach powoduje obawę, czy przypadkiem nie wystąpimy z tej wspólnoty, a przecież jest nam w niej wygodnie, mamy dotacje unijne, swobodę podróżowania, wielkomiejski elektorat zaś często za granicę podróżuje. Z kolei mowa o tym, że nie chcemy uchodźców, wpisuje się w taką narrację, że w ogóle chcemy zwalczać wszelkie odmienności, a przecież parady równości są nie w małych miejscowościach, tylko w największych miastach, które są najbardziej tolerancyjne, liberalne światopoglądowo i obyczajowo. I ta retoryka PiS, która zjednuje elektorat poza dużymi miastami, w tychże zadziałała zupełnie odwrotnie, mobilizując przeciwko tej partii.

Czy można było jednocześnie uwodzić wieś i małe miejscowości – bo przecież kampania skierowana do tych środowisk była dominująca – oraz wielkie miasta?

Można było pewnych rzeczy nie robić. Prezes Kaczyński jak mało kto potrafi wyciągać trafne wnioski ze swoich i swojego środowiska porażek. I przekuć je w zwycięstwa. Osiągał szczyty, upadał, znowu wstawał... Jest politycznym ojcem chrzestnym premierów i prezydentów.

Była matka królów, teraz mamy ojca premierów?

Olszewski, Marcinkiewicz, Szydło, Morawiecki, dwóch prezydentów.

Jakiś panegiryk na cześć prezesa robi nam się z tego wywiadu.

Mówię o tym, bo nie mam najmniejszej wątpliwości, że tak jak wyciągnął wnioski po ośmiu latach bycia w opozycji i wygrał wybory prezydenckie oraz parlamentarne, tak teraz wyciągnie wnioski z porażki polityki PiS w dużych miastach. Przegrana w dużych miastach to dość wyraźny sygnał, że jeśli nie zmieni się retoryka nie do zaakceptowania przez elektorat tych miast, to PiS może przegrać kolejne wybory.

Napisał pan na swoim Facebooku: „Żegnam się z polityką w poczuciu spełnienia, od dziś proszę mówić o mnie historia Ursynowa, może i Warszawy". Trochę to, przepraszam, megalomańskie. Nie obawia się pan, iż jednak w tej historii zapisze się przede wszystkim to, że pan jako pierwszy zawiesił na gmachu administracji publicznej tęczową flagę?

Nie uważam, że megalomaństwem jest tworzenie pozytywnych wzorców, a tym przecież było stworzenie pierwszego ruchu miejskiego, który odniósł sukces wyborczy. Nie tylko wprowadziliśmy radnych do dzielnicy, lecz kadencję później objęliśmy w niej władzę. Pokazałem, że można wygrywać w dużym mieście z partiami politycznymi.

Przegrane referendum w sprawie odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz też było sukcesem?

Sukcesem już było doprowadzenie do referendum. Zebranie 250 tys. podpisów. Przegraliśmy je nieznacznie, a przeciwko nam była cała machina państwa. Prezydent Komorowski, premier Tusk, wszyscy namawiali, żeby warszawiacy nie szli do referendum. Ale wywarło ono fundamentalny wpływ na miasto, pokazało, że takie mobilizacje są potrzebne, bo udało się zablokować kolejną, już czwartą, podwyżkę cen biletów, a ratusz nawet zaczął dla różnych grup je obniżać. Nie mielibyśmy południowej obwodnicy Warszawy. Ówczesny minister Sławomir Nowak opowiedział mi, jak go wezwał premier Tusk i mówi: „Musimy pomóc Hannie, weź coś zrób z tą obwodnicą, pokaż, że pani prezydent jest skuteczna w mateczniku Guziała". A Nowak na to: „Nie mamy środków, to nie jest na liście priorytetów". „To przesuńcie, teraz są inne priorytety" – zakończył rozmowę Tusk. Chyba to referendum to mój największy sukces, bo przyniosło realne korzyści dla Warszawy. Referendum przegrane, ale stolica wygrała. A LGBT? Byłem uczestnikiem parad równości, urządzaliśmy wiele konferencji na Ursynowie, dotyczyły one w ogóle wykluczenia, nie tylko LGBT. Pierwszą tęczową flagę wywiesił w Polsce amerykański ambasador, ja byłem drugi. I do tej pory żaden z urzędów publicznych tego nie powtórzył.

Jak PO przejęła władzę na Ursynowie, to flagę zdjęto, a urzędnicy powiedzieli, że tematyka tolerancji dotarła już do wszystkich.

Burmistrz z PO, który to zrobił, skasował także doroczny „Tydzień równości". Słyszałem, że ma ochotę zostać wiceprezydentem u Trzaskowskiego, więc prezydent-elekt ma pewien kłopot.

Myśli pan, że gdyby Patryk Jaki został prezydentem Warszawy, to pozwoliłby panu wywiesić taką flagę na ratuszu?

Nie miałem szefa, jak byłem burmistrzem, jak się jest wice, to zawsze jest gorzej. Pewnie by się nie zgodził, ale nie miałby żadnych problemów, że jako jego zastępca chodzę na paradę równości.

Bycie kandydatem na wiceprezydenta u Patryka Jakiego to początek „pięknej przyjaźni", cytując słowa z mojego ulubionego filmu „Casablanca"?

Cieszę się, że poznałem Patryka Jakiego. Może zawsze na mnie liczyć. A w polityce jeszcze o nim usłyszymy. Mam też wrażenie, że pośród tych kilkunastu osób w sztabie powstała chemia i więź, dzisiaj spotykamy się na spokojnie i nikt do nikogo nie ma pretensji, nie szukamy winnych, nie dokonujemy rozliczeń, a wręcz przeciwnie - mamy poczucie dobrze spełnionego obowiązku, wykonania dobrej roboty Niestety Patryk Jaki nie był w stanie przebić szklanego sufitu, który zbudowała w dużych miastach PiS.

Autopromocja

eprasa.pl e3b98bc95b

CZY ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ JAK WIELKĄ MASZ WARTOŚĆ



11.11
Stulecie Niepodległości

www.dzienzycia.pl

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

SIECI

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

PARTNER

eprasa.pl e3b98b093b



Fot. Andrzej Wiktor

Turbulencje w LOT

Kłopoty LOT wynikające z akcji strajkowej podjętej przez grupę związkowców mają swoje źródło w czasach, gdy nasz narodowy przewoźnik stał na krawędzi bankructwa. Urzędujący wówczas premier Donald Tusk zarzekał się, że jego rząd nie będzie wspierał LOT z powodu jego „pięknej tradycji". Dlatego dzisiejsza troska Platformy o sytuację w firmie jest przejawem politycznego cynizmu



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Polskie Linie Lotnicze LOT są postrzegane jako jeden z symboli sukcesu obecnego rządu. Wyciągnięte z poważnych tarapatów stały się dziś poważnym graczem w naszej części Europy, skutecznie rywalizując na regionalnym rynku z czołowymi przewoźnikami, w tym przede wszystkim z grupą Lufthansy.

W ostatnich trzech latach LOT uruchomił 60 nowych połączeń, a ich łączna liczba przekroczyła już 100 kierunków. Przewoźnik rozszerzył swoją działalność również na rynek węgierski, obsługując połączenia transatlantyckie z Budapesztu, oraz estoński, gdzie nabył udziały w tamtejszej linii Nordica. Nic dziwnego, że ten wzrost LOT może budzić niepokój wśród konkurencji. Tym bardziej że jeszcze kilka lat temu wydawało się, że linia nie przetrwa kłopotów finansowych.

DRENAŻ

Problemy LOT rozpoczęły się już w latach 90., gdy linia próbowała znaleźć inwestora, dzięki któremu zdobędzie środki na dalszy rozwój. Prywatyzacja przewoźnika okazała się jednak kolejnym gwoździem do trumny. Nowy właściciel LOT – szwajcarska linia Swissair – nie przetrwał kryzysu na rynku lotniczym po 2001 r. i upadł, pozostawiając liczne długi, które przyszło potem spłacać m.in. ze środków LOT. Ostatecznie w 2009 r. udało się odkupić od syndyka masy upadłościowej Swissaira posiadane przez niego akcje, ale po znacznie wyższej cenie, niż zostały sprzedane Szwajcarom 10 lat wcześniej. W końcu okazało się, że budżet państwa dopłacił do nieudanej prywatyzacji LOT ok. 400 mln zł.

Zmieniający się jak w kalejdoskopie kolejni prezesi LOT realizowali przeróżne – często wzajemnie z sobą

eprasa.pl e3b98bc95b

sprzeczne – strategie utrzymania firmy przy życiu. O alternatywie dla LOT zaczęto poważnie myśleć w 2008 r. – rok po przejęciu władzy przez koalicję PO-PSL. Wtedy bowiem LOT zanotował gigantyczną stratę finansową wynoszącą 732 mln zł. Strata ta została wygenerowana przede wszystkim przez fatalną w skutkach decyzję zarządu o wykupie tzw. opcji paliwowych. Najkrócej mówiąc, LOT – w obliczu gwałtownie rosnących cen paliwa – podpisał w lipcu 2008 r. dwuletnią umowę na dostawy paliwa w stałej, niezależnej od cen rynkowych, cenie 140 dolarów za baryłkę. W przypadku dalszego wzrostu cen LOT mógłby na tym zyskać, jeśliby jednak ceny spadły, wówczas przewoźnik musiałby przez dwa lata mocno przepłacać za paliwo. Był to zatem rodzaj totolotka, w którym – jak się wkrótce okazało – zarząd LOT źle obstawił.

W styczniu 2009 r. baryłka kosztowała już tylko 42 dolary, a LOT – zgodnie z zawartą umową – musiał płacić dostawcom o 100 dolarów więcej.

PO CO NAM TEN LOT?

Upadający pod ciężarem opcji paliwowych LOT stał się poważnym problemem dla ówczesnego rządu PO-PSL. W maju 2009 r. podjęto próbę negocjacji z Lufthansą. Według gazety „Süddeutsche Zeitung" prezes LOT Sebastian Mikosz miał wówczas rozmawiać z szefem Lufthansy Wolfgangiem Mayrhuberem na temat sprzedaży polskiego przewoźnika Niemcom. Obaj zaprzeczyli, że rozmawiali na ten temat, jednak rok później wiceprezes Lufthansy Christoph Franz potwierdził, że Niemcy są zainteresowani przejęciem LOT.

Jednocześnie rozpoczęto działania zmierzające do marginalizacji LOT. Ograniczono liczbę połączeń, co byłoby zrozumiałym poszukiwaniem oszczędności, gdyby nie to, że cięcia spadły także na rentowne połączenia transatlantyckie. Przypominało to trochę historię czeskich linii CSA, które – przejęte przez Air France – zrezygnowały z połączeń dalekodystansowych i zajęły się niemal wyłącznie dowozem pasażerów do Paryża. Potem udało się rządowi czeskiemu odkupić udziały sprzedane Francuzom, ale linie nie odzyskały już dawnej pozycji.

W 2010 r. pojawił się nawet pomysł likwidacji żurawia, który był symbolem LOT od początku istnienia linii, czyli od 1929 r. W mediach pojawiały się coraz bardziej krytyczne artykuły o LOT jako o bankrucie, który drenuje budżet. Mało kto przy tym zwracał uwagę, że ewentualny upadek LOT oznacza poważne kłopoty dla gospodarki. Obliczono, że bankructwo firmy wiązałoby się z utratą 0,3 proc. PKB, czyli 4,6 mld zł rocznie. W tarapaty popadłyby także polskie lotniska, zwłaszcza rozbudowane wcześniej ogromnym nakładem środków Okęcie. A nawet gdyby Okęciu udało się utrzymać dużą liczbę pasażerów, to zyski z ich przewozu czerpaliby zagraniczni przewoźnicy.

> Pokusa, aby – wykorzystując konflikt płacowy – rozwalić LOT i przypisać za to winę prawicy, jest wśród opozycji ogromna. I politycznie atrakcyjna

TO TYLKO TRADYCJA

Mimo starań z polskiej strony Lufthansa nie zdecydowała się na kupno naszego przewoźnika. Zamiast tego Niemcy postanowili sami przejąć część połączeń. Lufthansa zaczęła oferować coraz więcej lotów z polskich portów regionalnych.

Taka strategia wydawała się dużo korzystniejsza. Gdyby LOT upadł, Lufthansa mogłaby skutecznie zawalczyć o prymat w segmencie połączeń o biznesowym profilu, gdzie niegroźna była konkurencja ze strony przewoźników niskokosztowych, takich jak Ryanair czy Wizzair. W tym sensie każda działalność zmierzająca do upadku LOT dawała nadzieję na duże zyski zarówno Lufthansie, jak i innym liniom zaangażowanym w Polsce.

To właśnie wtedy, w 2012 r., prezes Amber Gold Marcin P. uruchomił tanie połączenia pod marką OLT, które miały podbierać pasażerów osłabionemu polskiemu przewoźnikowi. A po wybuchu afery piramidy finansowej przyznał w nagranej rozmowie telefonicznej, że „wystarczyłby jeszcze miesiąc, a LOT upadłby".

Dopiero po bankructwie OLT rząd postanowił ratować LOT, któremu udzielono pomocy publicznej. Choć jeszcze i potem, na początku 2013 r., Donald Tusk nie ukrywał niechęci do wspierania narodowego przewoźnika. „Najwyższy czas zerwać z doktryną, że LOT to firma, którą należy ratować za wszelką cenę, niezależnie od realiów. Tylko dlatego, że nazywa się LOT i że ma piękną tradycję, albo dlatego, że nacisk związków zawodowych jest tak silny, że poszczególni urzędnicy kapitulują przed tym naciskiem" – powiedział wówczas Tusk.

Po otrzymaniu pomocy ze strony państwa LOT – zgodnie z regulacjami unijnymi – musiał wprowadzić drakoński program oszczędnościowy, likwidując m.in. wiele połączeń i wprowadzając nowe zasady wynagradzania, co – według związkowców – doprowadziło do obniżki pensji o prawie 30 proc. Jednak związkowcy, pomimo niższych stawek i uszczypliwych słów Tuska, wykazali się dużą odpowiedzialnością za przyszłość firmy, zgadzając się na narzucone ograniczenia.

WOJNA Z ZARZĄDEM

To właśnie w tamtych czasach należy szukać źródła obecnego konfliktu w LOT. Gdy przewoźnik, już w nowej rzeczywistości politycznej, zaczął stawać na nogi, część związkowców zaczęła przypominać zarządowi o ograniczeniach z 2013 r. Bo skoro LOT wychodzi na prostą, to być może nadszedł czas, aby zrekompensować chude lata załodze i powrócić do poprzednich zasad wynagradzania. Wskazywano też na bardzo rozpowszechnioną praktykę zawierania umów na firmę, co zdaniem

eprasa.pl e3b98bc95b

związkowców ograniczało prawa zatrudnionych w tej formie osób.

Zarząd nie palił się do rozmów, tłumacząc, że LOT potrzebuje środków na dalszy rozwój. Zdaniem prezesa firmy Rafała Milczarskiego związki „karmiły pracowników nadziejami uzyskania od 70 do 100 mln zł potencjalnych roszczeń". Takie kwoty byłyby trudne do udźwignięcia przez odradzającą się firmę i LOT wygrał sądową batalię w tej sprawie wytoczoną przedsiębiorstwu przez kilku pracowników.

Spór, który tlił się od 2016 r., wybuchł z pełną mocą, gdy w marcu podano informację o premiach, które rada nadzorcza LOT wypłaciła członkom zarządu (łącznie 2,5 mln zł do podziału). Ogłoszono referendum strajkowe, które jednak zostało uznane za nielegalne. Zaraz potem zaczęły się pojawiać w niechętnych rządowi mediach informacje o rzekomo fatalnych standardach bezpieczeństwa panujących w LOT. Charakterystyczny był tu zwłaszcza artykuł w „Fakcie" sugerujący, że podczas lotu czarterowego z Cancún mogło dojść do katastrofy lotowskiego dreamlinera (rzeczywistą przyczyną problemów była fabryczna wada silników Rolls-Royce'a, z którą zmagają się do dzisiaj również inni użytkownicy tego modelu).

Źródłem tej i podobnych informacji były m.in. wewnętrzne biuletyny LOT oraz wypowiedzi samych związkowców, co mogło sugerować, że niektórzy z nich w walce z zarządem są gotowi wystawić na szwank reputację firmy. Czarny PR rozwinął się na dobre, gdy w czerwcu została dyscyplinarnie zwolniona z pracy Monika Żelazik, szefowa Związku Zawodowego Personelu Pokładowego i Lotniczego. To właśnie przywrócenie jej do pracy stało się jednym z najważniejszych postulatów protestującej grupy związkowców. Jednocześnie wojna z zarządem wkroczyła w ostrzejszą fazę. Prezes oskarżał protestujących o działanie na szkodę firmy, a ci odpowiadali zarzutami łamania praw pracowniczych.

ATRAKCYJNA POKUSA

Po stronie protestujących (choć na tle ogółu wszystkich pracowników LOT jest to relatywnie niewielka grupa) opowiedziało się OPZZ oraz antypisowskie media i opozycja. Kłopoty przedsiębiorstwa stały się wdzięcznym pretekstem do uderzenia w całą ekipę rządową, zwłaszcza że LOT uchodzi za jeden z głównych symboli dobrej zmiany, która dokonała się w Polsce po 2015 r. i jest oczkiem w głowie premiera Morawieckiego. Przewoźnik stał się obiektem szeroko kolportowanych drwin i narzekań, które miały zniechęcić potencjalnych pasażerów do korzystania z jego usług. Rozpisywano się o odwołanych lotach, opóźnieniach, nie wskazując jednak statystyk, z których wynikało niezbicie, że LOT wcale nie odbiega w tym zakresie od swoich zagranicznych rywali.



Fot. Andrzej Wiktor

To Platforma Obywatelska ponosi dużą część politycznej odpowiedzialności za tarapaty, w które kilka lat temu wpadł LOT. I to one są źródłem obecnego sporu

Relacje na temat sporu pojawiały się codziennie w antypisowskich mediach („Newsweek": „Chaos w LOT. Na strajku traci dziesiątki milionów", OKO.Press: „Nawet w tanich liniach zarabia się więcej"), choć zazwyczaj nie zajmują się one ochroną praw pracowniczych. Dla grupki związkowców LOT zrobiono jednak wyjątek.

Na polityczny charakter sporu wskazuje wizyta, którą złożyła strajkującym od 18 października związkowcom para posłów PO: Ewa Kopacz oraz Bartosz Arłukowicz. Wsparcie ze strony PO wydało się w tej sytuacji szczególnie cynicznym posunięciem, biorąc pod uwagę to, że to właśnie Platforma ponosi dużą część politycznej odpowiedzialności za tarapaty, w które kilka lat temu wpadł LOT i które stały się źródłem obecnego sporu. Sumienie Platformy jest tu bardzo nieczyste, zatem pokusa, aby – wykorzystując konflikt płacowy – rozwalić LOT i przypisać za to winę prawicy, jest ogromna. I politycznie atrakcyjna.

W październiku sytuacja wokół LOT zaczynała przypominać kwietniowy spór wokół niepełnosprawnych okupujących Sejm. I tu, i tam mieliśmy do czynienia z pozostawionymi w spadku przez rząd PO-PSL niezałatwionymi problemami, które – wpisawszy się w polityczną wojnę w Polsce – zaczęły się obracać przeciwko nowej ekipie.

Obie strony sporu w LOT mają swoje racje: związkowcy, którym w 2013 r. obiecano, że oszczędności nie będą trwały wiecznie i w przyszłości dostaną za nie rekompensatę, gdy sytuacja firmy się poprawi, mają prawo domagać się respektowania zobowiązań. Z kolei zarząd, którego celem jest dbanie o jak najlepszą kondycję spółki, musi rozważnie dysponować pieniędzmi. W tej sytuacji niezbędna jest odpowiedzialność obu stron konfliktu, wzajemne ustępstwa i powściągnięcie zbyt rozbudzonych ambicji. Dlatego tak trudno jest o kompromis.

Zawieszenie protestu i przywrócenie do pracy zwolnionych dyscyplinarnie pracowników, które ogłoszono 26 października, jest więc krokiem w dobrym kierunku. Jeśli negocjacje skoncentrują się teraz na sprawach pracowniczych, to istnieje szansa na happy end. Ale może się też okazać, że – tak jak w przypadku protestu rodziców osób niepełnosprawnych – górę weźmie logika plemiennej wojny. Wtedy stracą wszyscy.

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. Mat. prasowe (x4)

Historia z kobiecej perspektywy

Jaki związek z 11 listopada ma irlandzka piosenka „It's a Long Way to Tipperary"? Dlaczego ciągówka Ursusa nie trafiła do serialu? Jaką rolę w przywoływaniu wielkiej historii odegrał szlafrok Helen Mirren? „Drogi wolności" okazują się bardziej różnorodne niż te opisane w podręcznikach

eprasa.pl e3b98bc95b



Słyszałam kiedyś zdanie, że inspiracją większości książek pisanych przez mężczyzn były kobiety. Zabawne, ale w moim przypadku źródła literackie i pamiętniki, po które najchętniej sięgałam, również wyszły spod pióra kobiet – mówi scenarzystka Joanna Wojdowicz.



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W CENTRUM ŚWIATA

Wincenty Witos, Józef Piłsudski, Maciej Rataj i wielu, wielu innych: polityków, artystów, literatów... To od ich wspomnień rozpoczęła zbieranie materiału do serialowych „Dróg wolności". Przekopywała się przez zapiski czołowych polityków, „ludzi ze świecznika i z szalenie interesującymi życiorysami". – Szybko się jednak przekonałam, że ich ogląd świata zawęża się do katalogowania ostatnio podjętych decyzji, odnotowania paru nazwisk i w skrócie – stawiania siebie w centrum zarządzania tego świata – podsumowuje.

Naturalną koleją rzeczy stało się sięgnięcie do innych źródeł. I tu kopalnią wiedzy okazały się wspomnienia (a czasem drobne konfabulacje) spisywane choćby przez Zofię Stryjeńską, Aleksandrę Piłsudską, socjalistkę Marię Kamińską czy bardzo kiedyś poczytną Magdalenę Samozwaniec.

– Dość szybko odkryłam fantastyczną pięciotomową serię „Przewodniczka po Krakowie emancypantek", dzięki której dotarłam do biografii wielu kobiet ważnych dla społeczności lat 20. – wspomina scenarzystka. – W ostatnich latach ukazały się dziesiątki opracowań dotyczących historii obyczaju dwudziestolecia – czerpałam z tego źródła garściami, podobnie jak z zasobów Federacji Bibliotek Cyfrowych, w których dostępne są zdigitalizowane dzienniki i czasopisma sprzed stu lat i starsze. Długo by wymieniać. Książkami o dwudziestoleciu zapełniłam mały regał.

PODGLĄDANIE HISTORII

W serialowym świecie, w przełomowych dla Polski czasach, w dorosłe życie wkraczają trzy siostry: Marynia, Alina i Lala Biernackie (grają je: Paulina Gałązka, Katarzyna Zawadzka i Julia Rosnowska). Śledzimy ich losy i wybory naznaczone początkowo młodzieńczą naiwnością, a także ograniczającą działanie społeczną perspektywą.

– Na ich oczach rozgrywa się wielka historia, ale siostry przeżywają też rozterki właściwe dla ich wieku, walcząc jednocześnie o osobistą wolność – mówi Katarzyna Zawadzka. – W tym czasie przybiera na sile ruch sufrażystek, kobiety domagają się m.in. prawa wyborczego.

– Uściślijmy – podkreśla scenarzystka – „Drogi wolności" od początku nie miały być typowym serialem historycznym. Nazywam je na własny użytek serialem obyczajowym z historią w tle, a z całą pewnością – serialem kostiumowym. Pierwszy sezon rozpięliśmy między 1914 a 1926 r. i ten wybór nie jest przypadkowy. Zaczynamy wybuchem wojny w Europie, a kończymy naszą polską wojną domową, która rozegrała się na ulicach Warszawy.

Każdy z odcinków ogniskuje się wokół znaczących punktów w historii dwudziestolecia, ale kobiece bohaterki diametralnie zmieniają scenariuszową optykę. Joanna Wojdowicz nazywa to „podglądaniem" II RP. – Celowo użyłam tego słowa, ponieważ ani przez chwilę nie udajemy, że nasze bohaterki mogłyby np. stanąć na czele powstania, uczestniczyć w tajnych naradach polityków czy po prostu (przejaskrawię

eprasa.pl e3b98bc95b

trochę), decydować o losach kraju. Siostry Biernackie raczej są wypraszane z gabinetów tych polityków i urzędników, często sprowadzane do roli bibelotu albo obiektu czyichś zalotów. A mimo to chcą o sobie decydować, nie poddają się, czasem popełniając przy tym karygodne błędy.

ROZWAŻNE I ROMANTYCZNE

– Lala jest najbardziej egzaltowaną z sióstr. Niczego nie owija w bawełnę i tego samego oczekuje od ludzi wokół – charakteryzuje najmłodszą z bohaterek Julia Rosnowska, dla której „Drogi wolności" stały się zmultiplikowaną rodzinną historią.

Losy Haliny zostały zainspirowane dziennikami babci aktorki (której panieńskie nazwisko przyjęła, wchodząc w zawód). Pomysłodawcą serialu jest ojciec Julii, producent Stanisław Krzemiński, matkę sióstr Biernackich gra Bernadetta Machała-Krzemińska, jej mama.

Rozwichrzona rodzinna artystka dla wielkiej miłości gotowa jest na wszystko. Na przeciwległym biegunie znajduje się najstarsza z sióstr, Alina. Fizycznie ułomna, niezbyt urodziwa, stereotypowo najlepiej „nadająca się" na wojującą sufrażystkę, ale Katarzyna Zawadzka unika takiej jednoznaczności: – Alina jest nauczycielką języka polskiego, mocno osadzoną w świecie książek. Jest oczytana, inteligentna. Ma szerszy obraz rzeczywistości. To typowa emancypantka. Kobieta, która chce uczestniczyć w życiu publicznym i zaciekle walczy o ten dostęp dla siebie i innych kobiet.

– Bohaterki próbują spełnić swoje marzenia i wykorzystać swój potencjał, co zostaje się okupione wieloma mniejszymi i większymi bitwami – podsumowuje działania sióstr Biernackich Paulina Gałązka.

Graną przez siebie Marynię przedstawia: – Romantyczna i rozważna, najmocniej stąpa po ziemi z całej trójki. Jest też rozdarta między wolą spełnienia wzorca kobiety idealnej swoich czasów a tym, co naprawdę jej w duszy gra. Lubię ją za trzeźwe, racjonalne myślenie oraz empatię. Drażnią mnie niektóre jej wybory. Wydają się naiwne, jednak podyktowane są zwyczajami i zasadami społecznymi czasów, w których żyje.

POLITYCZNY KLAPS

– Mówi się o II RP, że kobiety zyskały równe prawa, ale pozostały przy nierównych szansach. Z dzisiejszej perspektywy wręcz trudno to sobie wyobrazić – komentuje scenarzystka. – Mimo przemian obyczajowych, jakie zaszły po wielkiej wojnie, kobiety bardzo rzadko mogły sobie pozwolić na suwerenność. A jeśli już to robiły, to uznawano je za gorszycielki, jak Irenę Krzywicką. Nie miały lekko. Przebudziły się w czasie I wojny światowej, kiedy zabrakło rąk do pracy. Za to dwudziestolecie okazało się dla nich klapsem! Mężczyźni wrócili z rozlicznych wojen do domów i chcieli, by wszystko inne także powróciło na dawne tory.

Wojdowicz przypomina, że ustawodawstwo w Polsce w dużej mierze opierało się na prawie przyjętym jeszcze przez trzech różnych zaborców. Pozostało w takim zmurszałym stanie do późnych lat 30. – Warto sobie uświadomić, że wiele stanowisk kobieta mogła pełnić wyłącznie za zgodą męża – lub zwyczajnie nie miała do nich dostępu – podkreśla.

To mężczyzna decydował o wychowaniu dzieci. Matki dzieci nieślubnych nie mogły dochodzić ojcostwa ani liczyć na alimenty. Niemożliwe właściwie były w II RP rozwody, dlatego uciekano się do takiego wybiegu, jak zmiana wyznania, która automatycznie unieważniała ostatnie małżeństwo. Marszałek Piłsudski zmieniał z tego powodu wyznanie dwa razy!

– Ten świat pełen był sprzeczności i – co tu kryć – zatrważającej hipokryzji – sumuje scenarzystka, przyznając równocześnie, że jej oczkiem w głowie jest tzw. ustawa celibatowa. Przyjęta w 1926 r. w województwie śląskim (przywołana została w 12. odcinku „Dróg wolności"). Zgodnie z tą ustawą kobiety zamężne nie mogły być mianowane na stanowisko nauczycielek. Kłopot w tym, że jeszcze w 1922 r. Wojciech Korfanty wzywał na polską część Śląska nauczycielki z całego kraju. Po czterech latach posłowie zmienili zdanie – uchwalili prawo zgodne ze śląską kulturą i przyzwyczajeniem. – Złamali w ten sposób życie setkom nauczycielek, które straciły pracę – podkreśla Wojdowicz. – Bardzo chciałam, by tego rodzaju historie trafiały do naszego serialu, nawet jeśli tylko w homeopatycznych dawkach.

W BLASKU ŚWIEC

Najtrudniejszym zadaniem przy budowaniu fabuły było wyważenie właściwych proporcji między historią z pierwszych stron gazet i późniejszych kart podręczników a losami bohaterów – zwykłych ludzi. Twórcy postawili sobie też za cel, by serial „migotał drobiazgami" oddającymi klimat opisywanego czasu – konkretnymi, stawianymi dosłownie na pierwszym planie, jak telefon, dzięki któremu seniorka rodu załatwia istotną dla familii sprawę, ale też niematerialnymi i nieoczywistymi. Takimi jak to, że 11 listopada 1918 r. w Krakowie w niektórych inteligenckich domach śpiewano irlandzką piosenkę „It's a Long Way to Tipperary" (skomponowaną w 1912 r.,



eprasa.pl e3b98bc95b



lecz dla walczących w I wojnie światowej jej tytułowy zwrot szybko zaczął oznaczać po prostu drogę do domu).

Techniczną gwiazdą jednego z odcinków miała być ciągówka Ursus (pierwszy polski ciągnik rolniczy, produkowany w latach 1922–1927). – Widziałam już oczami wyobraźni szaloną przejażdżkę zakochanej pary polską ciągówką! – wspomina Wojdowicz. Okazało się to jednak niewykonalne ze względu na brak sprzętu, który by nas choć zbliżył do lat 20.

Mimo ograniczeń pełna dbałości o detal scenografia (także ta techniczna, wprowadzająca widzów m.in. do drukarni) budzi pochwały. – Naprawdę aktor inaczej gra, gdy po otwarciu kredensu widzi np. oryginalne sztućce, a nie plastikowe podróbki – podkreśla Bernadetta Machała-Krzemińska. – Światło świec i lamp naftowych sprawiało, że kreowany świat był znacznie intymniejszy niż w blasku ledowych lamp.

Aktorka komplementuje wspaniałe stroje przygotowane przez Elżbietę Radke. – Wiele z tych rzeczy wypożyczono z wielkich europejskich magazynów Londynu, Pragi, Berlina, np. specjalnie opisany szlafrok Helen Mirren (wspaniała odtwórczyni królowej Elżbiety w filmie „Królowa"), w którym u nas przechadzała się lekko wstawiona nalewką wiśniową Anna, matka trzech sióstr Biernackich – precyzuje. – To trochę metafizyczne uczucie, kiedy zakłada się oryginalną rzecz z epoki. Czuje się wtedy niemal namacalne tchnienie tamtego czasu.

Paulina Gałązka wspomina niesamowite czasem przedmioty na planie. Choćby oryginalną maszynę do liczenia. – Coś wspaniałego, mogłam się nauczyć ją obsługiwać. Na początku często ją zacinałam, ale po jakimś czasie to już był mój ulubiony rekwizyt. Sceny kręcone w Muzeum Drukarstwa w Lublinie to również była wspaniała przygoda.

Z banalnych, wydawałoby się, a zarazem ogromnie ważnych zadań i serialowa matka, i córka przywołują m.in. sposób... siedzenia. – Ludzie tamtej epoki poruszali się mniej nerwowo, nie do pomyślenia było też, by kobieta założyła nogę na nogę w czasie rozmowy z kimkolwiek – mówi pani Bernadetta. Paulina Gałązka potwierdza: – Dbanie o postawę, kontrolowanie sposobu mówienia stanowiło wyzwanie, ale pilnowanie, by podczas siedzenia kolana były razem... Koszmar.

BEZ LAUREK

Kostiumowa produkcja, zwłaszcza z tak dynamicznego okresu historii, jest sztuką kompromisów. Filmowanie dwudziestolecia we współczesnym mieście wiąże się z olbrzymimi kosztami. Z wielu pomysłów trzeba było zrezygnować. Np. z manifestacji. – A wtedy ulicami nieustannie przeciągały pochody, ludzie spontanicznie gromadzili się, by dyskutować, modlić się lub świętować – przypomina scenarzystka. Planowany w odcinku dziewiątym krakowski strajk kolejarzy i pocztowców z 1923 r., zamiast dosłownie, trzeba było pokazać, sięgając po metaforę i skróty, ale to ponoć wyszło scenom na dobre. Takie są doświadczenia technicznej realizacji „Dróg wolności", a refleksje wynikające z serialowych spotkań z historią?

– Lekcja, jaką wyniosłam ze studiowania dwudziestolecia, nie okazała się przyjemna – stwierdza Wojdowicz. – Nie zawaham się powiedzieć, że historia pisana przez wielkie H jest wredną suką, która z nikim się nie liczy, za to ofiary liczy w milionach. Nie wolno rysować jej laurek, ale na ekranie dałoby to efekt karkołomny i żałosny, jak każda propaganda. Natomiast za kluczową kwestię uważam, z czyjej perspektywy tę historię „podglądamy przez szybę". W „Drogach wolności" przyjęliśmy punkt widzenia kobiet.

Paulina Gałązka szuka pozytywów: – W jednym z odcinków Marynia przeprowadza wywiad z Wojciechem Korfantym. Byłam bardziej niż szczęśliwa z tego wątku, ponieważ interesuję się historią, a w scenariuszu udało się przemycić poczucie żalu, jakie Korfanty miał do Piłsudskiego i jego otoczenia za zaniedbanie sprawy Śląska.

Postać Maryni wywołuje w niej refleksję: – Doceniłam czasy, w których żyję jako kobieta. Dostrzegam ogromny postęp, który poczyniliśmy jako społeczeństwo europejskie w kierunku równouprawnienia, ale jest w tej kwestii jeszcze wiele do zrobienia.

eprasa.pl e3b98bc95b

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Hlond odkrywany na nowo

Mamy kolejny odcinek jesiennego cyklu Teatru Telewizji o sławnych Polakach. Widowisko „Prymas Hlond" można obejrzeć w ten poniedziałek. Poprzedziła je prapremiera z udziałem przedstawicieli Kościoła. I ja tam byłem...

Tym razem zafundowano nam spotkanie z bohaterem trochę zapomnianym. Prof. Jan Żaryn, konsultant historyczny spektaklu, przytoczył wypowiedź kard. Adama Sapiehy, który na wieść o śmierci Augusta Hlonda (w październiku 1948 r.) powiedział, że popełnił on dwa błędy: wyjechał podczas wojny z Polski i odszedł za wcześnie. Wojenna emigracja prymasa osłabiła faktycznie jego wpływ na umysły Polaków, choć przecież Sapieha, który w Polsce został, też nie jest masowo pamiętany. Hlonda przesłonił prymas Wyszyński z jego więzieniem w czasach komunistycznych. Zasługą Pawła Woldana, autora i reżysera, jest przypomnienie postaci, która wybrała drogę – będę się upierał – kontrowersyjną, ale która próbowała za granicą robić coś dla narodu.

Powstało widowisko historyczne. Paweł Woldan ma temperament dokumentalisty, czyli opory przed budowaniem fabuł wychodzących poza ustalenia historyków. Ponieważ o prywatnym Hlondzie wiadomo niewiele, niewiele też tu akcji. Mamy rekonstrukcję najważniejszych wydarzeń, które bohaterowie bardziej opowiadają, niż przedstawiają. Hlond w teorii podpatrywany prywatnie na wygnaniu przemawia głównie językiem swoich homilii i publikacji. Teatr jest przestrzenią umowności, niemniej jednak...

Woldan dał nam przed rokiem w Teatrze Telewizji „Brata naszego Boga", niełatwą sztukę Karola Wojtyły, przystosowaną znakomicie do współczesnych czasów. Jego cieszące się popularnością widowiska quasi-reportażowe, o tematyce przeważnie kościelnej, zawsze kipiały życiem. Tu ascetyczna rekonstrukcja myśli wygnanego prymasa na tle pięknych zdjęć z Francji budzi respekt, ale nie w każdym momencie wciąga. Pomimo wielkiej charyzmy Henryka Talara, który jako Hlond jest na ekranie praktycznie cały czas. I pomimo Andrzeja Mastalerza, on także jako prymasowski kapelan Antoni Baraniak (późniejszy męczeński biskup) przykuwa uwagę samą swoją obecnością.

Trudno się też oprzeć wątpliwościom. Hlond broni racji Polaków przed strapionym papieżem Piusem XII (Wojciech Wysocki). Ale sztuka nie daje jasnej odpowiedzi, na ile skutecznie. Odrzucam oskarżenia papieża o współpracę z Hitlerem. Ale prawdą jest, że okazał się on intelektualnie bezradny wobec zła nadciągającego z III Rzeszy. Że o cierpiących Polakach mówił za mało. Tu wspomina się o proniemieckich skłonnościach rzymskiej kurii, ale sam „il papa tedesco" (niemiecki papież) jest z konkluzji wyłączany. Czy słusznie?

Może poważniejszy jest inny dylemat. W jednej scenie Hlond jest zderzony z uciekinierami z Polski pytającymi, wobec ogromu nieszczęść, gdzie jest Bóg. Wierni mogli się czuć opuszczeni, także przez swego arcypasterza. Jednak w prymasie trudno znaleźć rozterki, świadomość potężnego kryzysu wartości zesłanego przez wojnę. Może te rozterki uczyniłyby dramat pełniejszym?



Piszę to z sympatią dla podjętego wyzwania. Widać, że dla tej ekipy, poproszonej na koniec na scenę, historia głębokiej wiary głównego bohatera w Boga i w Polskę to ideowy wybór, rzadki w świecie dzisiejszej popkultury. Ciekawe i prekursorskie są rozważania Hlonda o tym, że Kościół powinien być skromniejszy. To właśnie refleks wojennych przewartościowań, o których chciałbym się dowiedzieć więcej.

Piotr Zaremba



Wojciech ***Stanisławski***

Nieoczywista niepodległość

Na stulecie roku 1918 Karta proponuje nam stańczykowski namysł zamiast parady

Kto jak kto, ale wydawcy wywiązali się z zadania: w witrynach biało, amarantowo i sepiowo, każda bez mała oficyna wydała coś na stulecie. Są wyliczenia zasług jenerałów, sufrażystek i inżynierów, są kroniki roku osiemnastego, wspomnienia architektów niepodległości, atlasy z plątaniną granic, widokówki z plątaniną okopów i czytanki dla najmłodszych, i rymowanki Rusinka. Czytanie dla niepodległości może być świetnym czynem listopadowym, a omawianie wszystkich tych nowości zajęłoby czas i łamy do 3 maja.

Znalazła się wśród nich książka (a właściwie dylogia), którą mimo świetnej oprawy łatwo przeoczyć – bo niejednoznaczna. Nie znajdziemy w niej chyba żadnego z „ikonicznych" zdjęć, którymi usiłujemy zwykle przybliżyć sobie i innym ostatnie stulecie, zamknąć to najważniejsze, co nam się przydarzyło, co nas raniło. Taki zestaw znamy, przekładamy go od lat jak ulubioną talię do pasjansa: jest tam manifestacja na Krakowskim Przedmieściu 5 listopada 1916 r., Piłsudski w oknie wagonu kolejowego, Paderewski w powozie, Wojciechowski na moście, Wehrmacht wyłamujący szlaban graniczny i defilada niemiecko-sowiecka w Brześciu. A dalej jeszcze ciemniej i straszniej, czarne płomienie Warszawy dwóch powstań, chmura wybuchu nad Prudentialem i Bierut z woskowym wąsikiem – i tak dalej, polskie miesiące aż po bramę Stoczni, czołg na śniegu i plakat z kowbojem. Takie nasze imaginarium, potrzebne, poręczne, ale i zgrane, i przetwarzane do złudzenia przez szyderców lub producentów materiałów propagandowych.

W dwóch „Księgach stulecia niepodległości" nie znajdziemy żadnego z tych zdjęć-skrótów (z jednym może wyjątkiem, transparentu z ulic Poznania z Czerwca '56, ale i on uchwycony w „nieładnym", reporterskim skrócie). To fotografie życia polskiego w XX w.: procesja, pielgrzymka, popijawa, ziąb, ziemniaki, zgliszcza. Nie są to przy tym, co warto podkreślić, obecne nieraz w księgarniach skromne sielanki życia codziennego: Hucułki w Zaleszczykach, karuzela na Bielanach i dzieci na trzepaku. Nie, w tym zestawie zdjęć aż gęsto od wielkiej historii, która na polskiej równinie łatwo przekłada się na niskie zgliszcza: tyle że bez wyjątku są to zdjęcia robione z ukosa, z perspektywy prywatnej, ostentacyjnie niepozowane, wolne od ambicji uchwycenia całej prawdy czasu: to migawki do wielkiego fotoplastykonu.

Na „Księgę" składają się dwa tomy i dwie warstwy. Druga, obok zdjęć, to specjalność środowiska Karty: zestaw krótkich wypisów, głosów, które niekoniecznie zestrajają się w chór: czasami nawiązują dialog, czasem padają obok siebie, nieraz mamy do czynienia z kakofonią. O przesileniu roku 1926 mówią Maciej Rataj, Aleksandra Piłsudska, Wincenty Witos i ambasador Francji Jules Laroche; o roku 1976 Jacek Kuroń, Stefan Kisielewski, Sławomir Mrożek i Gustaw Herling-Grudziński. Tymi montażami, tworzonymi przecież od ćwierć wieku, środowisko Karty wprowadziło przecież pewien nowy standard: nasze dzieje komentują nie chóry, ale szepty, tyrady, syknięcia: słuchowiska na kwadrans, spory o rzecz najważniejszą. Wymowny jest już sam spis treści. Rok 1919 to aż trzy tematy: spór o kształt ustrojowy państwa, walka o granice i werdykt zapadający w Wersalu, rok 1920 – front wschodni i wiktoria warszawska. Potem zdarzają się lata cichsze, ale znów szczególnie gęsty okazuje się rok 1939, 1945, 1956 – i tak aż po katastrofę smoleńską.

„Księga...", w kronikarskich zdjęciach sięgająca codzienności, w wypisach – węzłowych sporów i raf państwa, jest dramatycznym, stańczykowskim apelem o namysł nad jakością i zagrożeniami niepodległości. Współtwórca Karty Zbigniew Gluza w świetnym wstępie przypomina nieoczywistość niepodległości, arytmetyczną prawdę, o której łatwo zapomnieć: w ciągu ostatnich 100 lat aż 50 (1939–1989) to czas jej braku.

Gluza, daleki przecież od wiary w niezbywalne cechy, a tym bardziej cnoty narodowe (wiara taka zdarza się jedynie bardzo prostolinijnym umysłom) zwraca zarazem uwagę na swoiste dla Polaków ostatnich 100 lat przywiązanie do kategorii niepodległości, która nie jest dla nas tylko kategorią prawną: „Dla tych, którzy utożsamiają się z Polską, istnienie państwa staje się fundamentalną sferą odniesienia. Kolejne pokolenia wyraziście doświadczały jego

eprasa.pl e3b98bc95b

łatwej utraty i ponownego wskrzeszenia. Rzeczpospolita mocno wiąże swych ludzi własną podmiotowością: gdy ją gubi, niesie im najgłębszą destrukcję, gdy odzyskuje, wspiera silniej, niż by to tłumaczył status obywatela" – pisze.

Zatrzymując się podczas lektury przy poszczególnych „kapsułach czasu", przy zapisie sporów o polski pieniądz, urządzenie Kresów, Milenium, o to, czy po Sierpniu należało mądrzej czy odważniej, cały czas wracałem do skojarzenia, że „Księga..." to swego rodzaju materiały do refleksji i zadumy. Ale skąd taka staroświecka, nieclickbaitowa fraza? I nagle błysk: no oczywiście, przecież to tytuł wydanego już na łożu śmierci, w roku 1976, zbioru szkiców Juliusza Mieroszewskiego.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Zbigniew Gluza (koncepcja i eseje wprowadzające), Marta Markowska (opracowanie redakcyjne), „Księga stulecia niepodległości", Ośrodek Karta, 2018

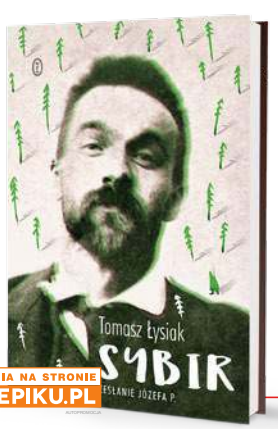
„Księga...", choć wydana na jubileusz, nie jest typową „księgą jubileuszową", to nie żaden Festschrift. Da się w niej wyczuć pewną cierpkość wobec rządzących dziś ugrupowań – bardzo dyskretną w treści obu tomów, wyraźniejszą podczas niedawnego wieczoru promocyjnego, gdzie z zakłopotaniem i żalem słuchałem wystąpienia Kazimiery Szczuki. Ale rozstrzygające dla charakteru tego wydawnictwa wydaje się przytoczone i podkreślone w eseju Gluzy zdanie Mieroszewskiego: „Gardzę wszelkim szowinizmem, ale z poczuciem realizmu stwierdzam, że nie ma rzeczy w Europie i poza Europą, dla której warto byłoby porzucić polskość". Taki głos, świetnie wyrażający ducha „Księgi...", najdalszy od ojkofobii, może być fundamentem rozmowy o kształtach niepodległości. Innego zresztą nie mamy.

Kajdanami dzwoni

Zdarza się, że banalizacja pamięci o Piłsudskim nuży i złości. Nie jest to na szczęście pamięć regulowana ani wymuszana „Ustawą o ochronie imienia Pierwszego Marszałka Polski", jak drzewiej, w roku 1938, ale brak wyobraźni scenarzystów i pedagogów można dostrzec co i raz w zalewie oleodruków oraz kolorowanek. „Jedzie, jedzie na kasztance" – niesie się z akademii, chociaż zgromadzona na niej dziatwa ogląda się za hybrydową toyotą, a konia widziała tylko w czwartym sezonie serialu „My Little Pony".

Całe szczęście, że pojawiają się próby gimnastykowania pamięci takie jak „Sybir. Zesłanie Józefa P." pióra autora kilku już powieści historycznych, Tomasza Łysiaka. To rzecz przewrotna, pisana rozkołysaną frazą naśladującą rosyjski „skaz", ironicznie imitującą mentalność carskich urzędników różnych szczebli końca XIX w. Z tym figlem trzeba uważać, podobnego wczuwania się w duszę rosyjską próbowano już w wielu utworach, od „Zapisków oficera Armii Czerwonej" po „Demokratora", z różnym skutkiem: Rosjanie, nawet bardzo krytyczni wobec swego imperium, niekoniecznie odnaleźliby się w tych tekstach, od hiperrealizmu bardzo blisko do karykatury.

Na szczęście jednak „Sybir" nie sprowadza się do uszczypliwości pod adresem tchórzliwych i służalczych śledczych. Opowieść o wędrówce rozpoczętej w marcu 1887 r. (aresztowanie pod zarzutem wspierania spiskowców z Narodnoj Woli), a ukończonej w grudniu tego samego roku, kiedy skazany na osiedlenie 20-latek dotarł do Kireńska, jest niby zgodna z rygorystycznymi zapisami biograficznymi w rodzaju „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego" Wacława Jędrzejewicza, ale i przewrotna, by nie rzec „bizarna": to zbiór wariacji, które biorą za kanwę tamtą wędrówkę w kajdanach nad brzegi Leny, fantazji na temat przeżyć i sennych wizji młodego Józefa P. Może



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Tomasz Łysiak, „Sybir. Zesłanie Józefa P.", Wydawnictwo Literackie, 2018

to książka nie o Piłsudskim, lecz o jego nieznanym sobowtórze z inicjałów? Ale nie, świetnie zaprojektowana okładka nie budzi wątpliwości (te carskie mugshoty z przełomu wieków bywały wyjątkowo udane, czy w grę wchodził Piłsudski, czy Dżugaszwili): uniesione brwi i drwiący uśmiech przypominają, że choć towarzysz Ziuk stał się i Komendantem, i Naczelnikiem, i Marszałkiem, to przede wszystkim był zeń prawdziwy kozak.

eprasa.pl e3b98bc95b



Adamski poleca

Kino

Ready Freddie?

Od dziecka jestem fanem Queen. Dlatego bardzo się bałem swojej reakcji na „Bohemian Rhapsody". Liczne upadłe projekty filmu o Freddiem Mercurym, porzucenie intrygującego scenariusza przez Sachę Barona Cohena, odejście w trakcie zdjęć (przez aferę #MeToo) Bryana Singera nie nastrajały dobrze do tej produkcji. Potem przyszły negatywne recenzje z pierwszych pokazów w Wielkiej Brytanii i USA. Film według wielu uznanych krytyków jest przeciętną biografią muzyczną, która nie wydobywa magii Queen. Zupełnie się nie zgadzam. Może nie jest to poziom „Spaceru po linie" o Johnnym Cashu, ale „Bohemian Rhapsody" chwyta za serce fana „muzycznej królowej".

Jest to niestety film kartkujący karierę Queen, w którym nie wybrzmiewa odpowiednio ekscentryczność ani zdumiewająca eklektyczność zespołu. Od glam rocka, przez rockową operę i disco aż po coś tak perfekcyjnego jak płyta „Innuendo" – taka mieszanka mogłaby mieć dotknięcie wybitności tylko w rękach wybitnego wizjonera. Bryan Singer i członkowie Queen chcieli filmu bezpiecznego i przeznaczonego dla mas.

Rami Malek stał przed szalenie trudnym zadaniem. Zagranie kogoś tak ekspresyjnego, zmanierowanego i umiejącego panować nad masową publiką jak Mercury mogło się skończyć katastrofą. A jednak Singer kapitalnie poprowadził młodego aktora przez skomplikowaną osobowość Mercury'ego. Nie tylko sceniczną, choć rekonstrukcja słynnego „Live Aid" z 1985 r. przyprawia o dreszcze tak mocno jak prawdziwy i przełomowy dla zespołu koncert. Mnie jednak dogłębnie poruszyło pokazanie prywatnego życia Mercury'ego.

Singer za pomocą kilku świetnie skonstruowanych scen wyciąga z postaci wokalisty jego największe dramaty. Wieloletnia i platoniczna miłość do dawnej dziewczyny Mary Austin, z którą nie mógł stworzyć upragnionej rodziny przez swój homoseksualizm, zabijana libertyńskimi imprezami samotność, poszukiwanie ojcowskiego uznania i w końcu popadnięcie w pychę – to wszystko Singer pokazuje subtelnie. Zmontowana w rytm „Another One Bites The Dust" scena hedonistycznych eskapad Mercury'ego do nocnych klubów zapada w pamięci jak psychodelia „The Doors" Olivera Stone'a.

Ujęcie Freddiego, który właśnie się dowiedział o tym, że ma AIDS, i spotyka na korytarzu kliniki wychudzonego, pokrytego mięsakami Kaposiego fana Queen, mówi wszystko o ostatnich chwilach Mercury'ego. Nie musimy oglądać jego ostatnich dni u boku odnalezionej późno miłości życia. Wystarczy ta jedna, jakże sugestywna scena zamknięta w spojrzeniu dwóch umierających ludzi, których ponad śmiercią łączy sceniczna magia Queen.

„Bohemian Rhapsody" jest filmem Maleka. Doskonale przeobrażonego we Freddiego. Każdy gest, spojrzenie i grymas jest odwzorowaniem lidera Queen. Malek gra nie tylko ikonę, lecz również człowieka poszukującego miłości w świecie, w którym przedstawienie musi trwać.

„BOHEMIAN RHAPSODY", REŻ. BRYAN SINGER, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX



Blu-ray

Oglądajcie Zanussiego

„Spirala", „Życie rodzinne", „Constans", „Barwy ochronne", „Iluminacja", „Rok spokojnego słońca", „Struktura kryształu" – to najwspanialsze dzieła Krzysztofa Zanussiego. Nagradzane w Cannes, Wenecji czy Berlinie na zawsze wprowadziły polskiego reżysera do panteonu europejskich filmowców. Zanussi nie zawsze jest w dobrej formie. Wchodzącym w tym miesiącu do kin „Eterem", w którym mocuje się z mitem Fausta, wraca po chudych latach do wielkiego kina. Zanussi to ostatni twórca chrześcijańskiego kina mogący stanąć obok Tarkowskiego czy Bressona. Wielki intelektualista i moralista kina, którego spuściznę jeszcze wiele lat będziemy analizować. Dlatego warto sięgnąć po jego największe osiągnięcia. Zrekonstruowane cyfrowo w najwyższej jakości obrazu i dźwięku pozwalają odkryć na nowo myśl Zanussiego i przypomnieć, dlaczego zachodni krytycy stawiali go obok Bergmana. W czasach galopującego laicyzmu właśnie tak mądrej obrony wartości potrzebujemy.



WYDANIA BLU-RAY FILMÓW KRZYSZTOFA ZANUSSIEGO Z OKAZJI 50-LECIA STUDIA TOR

Skala ocen: rewelacja, dobry, pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl e3b98bc95b

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Kino

Mitologia Kapuścińskiego



Ryszard Kapuściński to ikona polskiego dziennikarstwa. Pomnik, na którym nie wolno robić nawet małej rysy, o czym przekonał się przecież uczeń Kapuścińskiego Artur Domosławski. Jego książka „Kapuściński. Non fiction" rozwścieczyła wszystkich świętych tzw. salonu. Za co? Za reporterskie spojrzenie na karierę dziennikarza w kontekście jego uwikłania w kolaborację z komunistami.

„Jeszcze dzień z życia" Damiana Nenowa i Raúla de la Fuente jest bardzo ciekawie zrealizowanym dziełem filmowym. To eklektyczne gatunkowo połączenie bardzo dobrej animacji, dokumentu (wypowiedzi świadków wydarzeń) i brutalnego kina wojennego. Jednocześnie to film na wskroś mitologiczny. Kapuściński jest w nim idealnie niedogolonym, przepoconym i twardzielsko błyskotliwym reportażystą z „karabinem na ramieniu". Kapuściński przyznawał, że to właśnie w Angoli strzelał w obronie walczących o niepodległość mieszkańców tego kraju. „W wywiadach opowiadał, jak w 1975 r. w Angoli chwycił za broń. Ale o tym, że był tłumaczem sowieckich doradców wspierających komunistyczną partyzantkę, wiedział tylko jego szef" – pisał Domosławski. Twórcy starają się wprost nie mówić, że wspierany przez Kapuścińskiego Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli – Partia Pracy (MPLA) to komunistyczna partyzantka. Oj nie! Tutaj mamy socjalistycznych rewolucjonistów walczących romantycznie, jak Fidel Castro i brodacz z Hawany.

„Jeszcze dzień życia" bardzo mocno dotyka rozważań o granicach autocenzury i odpowiedzialności za słowo. Kapuściński w Angoli dostał informacje, że MPLA wspierają Kubańczycy. Gdyby ją ujawnił, wpłynąłby na przebieg zimnej wojny między mocarstwami, które oficjalnie nie wspierały rewolucyjnych ruchów w Afryce ani w Ameryce Południowej. „Jako jeden z niewielu wiedziałem od początku o obecności Kubańczyków" – przyznawał rok po opuszczeniu Angoli. Mam podejrzenia graniczące z pewnością, że gdyby Kapuściński wiedział o pomocy Amerykanów dla przeciwników marksistów z MPLA, nie miałby oporów, by „zmieniać bieg historii". Jednak on przez całe życie umacniał romantyczny mit komunistycznej partyzantki pod każdą szerokością geograficzną.

To jest coś, czego nie mogę wybaczyć infantylnym artystom wyrosłym z rewolucji '68. To oni stworzyli romantyczny mit Che Guevary i innych komunistycznych morderców, którzy stali się symbolami na T-shirtach zblazowanej od kapitalistycznych pieniędzy lewicowej młodzieży. Młodzieży noszącej drogie ciuszki i protestującej przeciwko kapitalizmowi za pomocą manifestów pisanych na Macu, z kawą ze Starbucksa. Kapuściński nigdy nie ukrywał swoich sympatii wobec komunistycznych partyzantek. Był uczciwy w kreowaniu czerwonej mitologii. Niestety jego bezkrytyczni fani są już zaczadzeni kreacją jego znakomitych warsztatowo reportaży. Ten film jest tego dowodem.

„JESZCZE DZIEŃ ŻYCIA", REŻ. DAMIAN NENOWA I RAÚL DE LA FUENTE, DYSTR. NEXT FILM

Czysta nuda

Kino

„Dziedziczki" zdobyły dwa Srebrne Niedźwiedzie w Berlinie (reżyseria i najlepsza rola kobieca Any Brun). Film jest wychwalany i wycmokiwany przez filmowych snobów całego świata. Zupełnie nie rozumiem fenomenu tego nudnego, banalnego i pretensjonalnego dzieła. Paragwajski film Marcela Martinessego opowiada o dwóch dojrzałych kobietach. Chel i Chiquita są potomkiniami bogatych rodów. Mieszkają w pięknym majątku. Jednak po 40 tłustych latach ich sytuacja finansowa zaczyna się pogarszać. Gdy jedna z kobiet trafia do więzienia, druga musi się utrzymać ze świadczenia taksówkarskich usług innym zamożnym kobietom. Dodajmy, że obie dziedziczki są lesbijkami. Dostajemy więc nie tylko klasowy obraz dawnych arystokratek zmuszonych do zejścia do poziomu „zwykłych śmiertelników", lecz również historię emancypacji kobiety zamkniętej w konserwatywnych konwenansach. Nuda do sześcianu.

„DZIEDZICZKI", REŻ. MARCELO MARTINESSI, DYSTR. AURORA



eprasa.pl e3b98bc95b



Zabójstwo saudyjskiego dziennikarza w Stambule może doprowadzić do zmian geopolitycznych na Bliskim Wschodzie

Morderstwo, które wstrząsnęło



JAN ROKITA

Zabójstwa dziennikarzy są smutną normą naszego świata. Według Międzynarodowej Federacji Dziennikarskiej w 2017 r. zabitych zostało 81 dziennikarzy. A w Europie szczególnie głośne stały się niedawne morderstwa popularnych dziennikarzy śledczych na Słowacji i Malcie, rozpracowujących korupcję na najwyższych szczeblach władzy tych krajów. W obu przypadkach te morderstwa nie pozostały bez wpływu na politykę – w Bratysławie doszło nawet do upadku rządu i wymiany premiera. Ale mimo wszystko przypadek zamordowania 2 października w Stambule Dżamala Chaszodżiego, wpływowego dziennikarza saudyjskiego, pracującego ostatnio dla „Washington Post", jest czymś całkiem wyjątkowym.

MORD W KONSULACIE

Po pierwsze dlatego, że morderstwa na terenie placówki dyplomatycznej własnego kraju dopuścili się agenci wywiadu saudyjskiego, którym mimo podjętych sprytnych prób nie udało się ani zatuszować zbrodni, ani zatrzeć pozostawionych przez siebie śladów. Członkowie kilkunastoosobowego komanda, które – by zaaranżować to morderstwo – przyleciało specjalnie z Rijadu do Stambułu, są dziś znani z imienia i nazwiska, a nawet pod presją świata zostali aresztowani i postawieni w swoim kraju w stan oskarżenia. Już sam fakt politycznej zbrodni w placówce dyplomatycznej jest z natury rzeczy sensacją. A całkowitym ewenementem jest to, iż „państwowy" charakter tej zbrodni został tak szybko i łatwo obnażony, łącznie z jej okrutnymi szczegółami (obcinanie palców, uszkodzenie twarzy, krojenie żywego człowieka).

Dlatego Rijad zmuszony został do porzucenia przyjętej z początku, typowej w takich przypadkach, taktyki zaprzeczania faktom. Jeśli wierzyć mediom tureckim, zarówno sam akt mordu trwający siedem minut, jak i podjęte potem próby jego tuszowania (m.in. wyjście z budynku jednego z morderców w ubraniu ofiary) zostały bowiem nagrane. Związane z władzą media tureckie twierdzą, iż stało się to za sprawą smartwatcha, który Chaszodżi miał na ręce. Ale szeroka wiedza na temat zdarzeń w konsulacie, jaką rychło dysponował prezydent Erdoğan, każe raczej przypuszczać, iż jego służby specjalne musiały mieć od dawna na podglądzie placówkę dyplomatyczną tego ważnego dla Turcji, a ostatnio coraz bardziej skonfliktowanego z nią państwa.

To tłumaczyłoby także niezrozumiały na pozór opór, jaki władze tureckie miały wobec szybkiego przekazania światu posiadanych przez siebie dowodów zbrodni. Zdaje się, że poufnie pokazali je dopiero szefowej CIA Ginie Haspel, która osobiście w tym celu przyleciała do Turcji. Donald Trump chciał bowiem mieć jasność co do tego, w jak poważne polityczne kłopoty wpakował się jego najbliższy (obok premiera Izraela) sojusznik na Bliskim Wschodzie: 33-letni książę Mohamed ibn Salman, który od ubiegłego roku z woli swego starego ojca sprawuje pełnię władzy w królestwie Saudów.

UCIECZKA Z KRAJU

Młody książę był dotąd ulubieńcem zwłaszcza amerykańskich polityków. Obama mówił o nim, iż „jest świetnie zorientowany i mądry ponad swój wiek". Trump rekomendował go wszędzie jako swojego „przyjaciela", którego niedawno przyjmował z honorami w Białym Domu, aby sfinalizować korzystny dla Ameryki wielki kontrakt zbrojeniowy. Kiedy w ubiegłym roku stary król Salman nagle zmienił reguły sukcesji tronu, oddając następstwo swojemu synowi, Mohamed stał się także obiek-

eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. Shutterstock

polityką

tem fascynacji mediów całego świata. Zwłaszcza od czasu, gdy jesienią 2017 r. ogłosił program „Wizja 2030", zapowiadający wielką modernizację gospodarczą i społeczną bodaj najbardziej zachowawczej monarchii świata.

Wedle owej wizji Arabia ma już nie być krajem żyjącym tylko z eksportu ropy (dziś to jest 85 proc. dochodów państwa), ma zlikwidować patrymonialny system dotowania wody, chleba, benzyny i prądu, ma dać pracę młodym poddanym, którzy powinni przestać liczyć na roztoczoną dziś nad nimi kuratelę rządu.

Na Zachodzie sympatię zjednywały księciu zwłaszcza jego deklaracje na temat spraw społecznych i religii. „Wrócimy do umiarkowanego islamu otwartego na świat i inne religie, zaś ekstremistów zniszczymy, nie kiedyś, ale natychmiast" – mówił książę do inwestorów, zyskując aplauz w Ameryce i Europie, nie tylko mającej słabość do „postępowców", lecz jeszcze wystraszonej islamistycznym terroryzmem.

Dżamal Chaszodżi wydawał się z początku sojusznikiem księcia. Jeszcze jakieś dwa lata temu można było przeczytać, iż w świecie mediów jest nawet „jego głosem". W wahabickiej monarchii Chaszodżi miał status wpływowego dziennikarza, związanego blisko z „wewnętrznym kręgiem rodziny królewskiej" (jak mówi się teraz o nim w Al-Dżazirze). I zapewne dzięki takiej pozycji mógł nie kryć się ze swoim przekonaniem o potrzebie reform państwa. O tym, że nie był to „zwyczajny dziennikarz", pewnie najlepiej świadczy to, iż doradzał księciu Turki al-Fajsalowi, szefowi saudyjskiego wywiadu i ambasadorowi w Waszyngtonie.

Miewał też dziwne przygody z kontrolowanymi przez dynastię mediami. Kiedy został szefem kuwejckiej TV Al-Watan, po dwóch miesiącach nagle stamtąd wyleciał, by za jakiś czas wrócić ponownie na stanowisko. A gdy w 2015 r. Saudowie postanowili założyć własną, konkurencyjną dla znienawidzonej przez nich katarskiej Al-Dżaziry, panarabską telewizję Al-Arab, to powierzyli jej szefostwo właśnie Chaszodżiemu. Ale tworzona z wielkim rozmachem stacja nagle zamilkła po jednym dniu nadawania programu w rezultacie politycznych intryg i konfliktów na szczytach władzy.

To właśnie po upadku tej inicjatywy dziennikarz postawił na zaczynającego właśnie błyskotliwą karierę polityczną księcia Mohameda. Ale wkrótce, we wrześniu 2017 r., nagle uciekł z kraju, motywując to dojmującym poczuciem zagrożenia. Krótko przed tą ucieczką na Twitterze ogłosił odważną pochwałę Bractwa Muzułmańskiego, radykalnego sunnickiego ruchu zaangażowanego w „arabską wiosnę" i popieranego przez Turcję, ale przez Saudów (podobnie jak przez Zachód) uważanego za niebezpieczny rozsadnik islamistycznego fundamentalizmu, a nawet terroryzmu. Na emigracji zaczął pisać teksty nie tylko ostro krytykujące politykę saudyjską, lecz przede wszystkim osobę księcia Mohameda. „Arabia Saudyjska nie była zawsze taka jak dziś – pisał w pierwszym artykule na łamach „Washington Post" – a teraz represje są nie do zniesienia".

KRYTYKA KSIĘCIA

W publikowanych w Ameryce tekstach Chaszodżi nie tylko kwestionował najważniejsze przedsięwzięcia w polityce zewnętrznej młodego księcia, lecz przede wszystkim odrzucał kształtowany w Rijadzie nowy model władzy. W 2015 r. Mohamed, jeszcze jako minister obrony (przed otrzymaniem sukcesji tronu), zbudował sunnicką koalicję (Egipt, Jordania, Emiraty) do pacyfikacji powstania szyickiego w sąsiednim Jemenie. Okrutna wojna zmieniła Jemen w siedlisko głodu i cholery, zabijając już ponad 10 tys. cywilów. Rok później książę zmusił premiera Libanu Sada al-Haririego do złożenia dymisji w trakcie pobytu w Rijadzie za karę za to, iż ten w swoim kraju dogadał się w sprawie koalicji z szyickim Hezbollahem – śmiertelnym wrogiem Saudów. W czerwcu 2017 r. zarządził zaś lądową, powietrzną i morską blokadę Kataru, domagając się od tamtejszego emira zerwania stosunków z Iranem, ekspulsji Bractwa Muzułmańskiego oraz...

eprasa.pl e3b98bc95b

zamknięcia Al-Dżaziry, która nie od dziś tkwi Saudom (i także Amerykanom) ością w gardle, jako rozsadnik rewolucyjnych idei demokratyczno-islamskich.

Chodzi o to, że żadne z tych przedsięwzięć, ostrzem wymierzonych w znienawidzony w Rijadzie Iran, nie przyniosło księciu politycznych sukcesów. W Jemenie koalicja ugrzęzła w krwawych walkach, Hezbollah wrócił do władzy w Bejrucie, a mały Katar z turecką pomocą udowodnił, że jest w stanie przetrwać saudyjską blokadę i się nie poddać. Chaszodżi pisał o tym otwarcie, przekonując, iż wszystko to wina charakterologicznej „impulsywności" młodego księcia. Ale co ważniejsze, Chaszodżi dowodził, że sławny „liberalizm" księcia w polityce wewnętrznej jest pozorowany, a naprawdę w kraju istotnie wzrósł poziom politycznych represji. M.in. książę zatwierdził wyroki śmierci na duchowych przywódców szyitów w Arabii, w tym sławnego szejka Nimra al-Nimra, którego w styczniu 2016 r. ścięto wraz ze współpracownikami. Teraz, gdy Chaszodżi został zamordowany, pośród członków komanda zabójców dziennikarze rozpoznali ochroniarzy Mohameda. Nic dziwnego, że wszystkie podejrzenia o zlecenie zabójstwa idą dziś właśnie w kierunku „impulsywnego" księcia.

TRUMP MA PROBLEM

Sam książę z początku milczał, a teraz mówi, iż morderstwo było aktem „łajdackiej samowoli" agentów wywiadu. Jego szef dyplomacji Adel al-Dżubeir zapewnia zaś (podczas konferencji na temat bezpieczeństwa w Bahrajnie), że rząd nie tylko ukarze zabójców, lecz także potrafi przeciwdziałać podobnym przypadkom na przyszłość. Stary król Salman, który dawno porzucił realne rządzenie, powołał komisję do reformy służb specjalnych, ale na jej czele stanął rzecz jasna... następca tronu. Na konferencję w Bahrajnie przyleciał także szef Pentagonu gen. Mattis, który zarzucił tam publicznie Saudom, iż zabójstwem Chaszodżiego „podkopali stabilność regionu". Obserwatorzy zwrócili uwagę, że taki język w ustach przywódców USA był dotąd zarezerwowany dla Iranu i ugrupowań islamistycznych.

Także prezydent Trump, znalazłszy się pod presją ujawnianych stopniowo drastycznych faktów, zapowiedział, że królestwo Saudów zostanie „surowo ukarane", jeśli okaże się, że „stoi za morderstwem" (wywiad dla CBS). Za pryncypialnym nałożeniem sankcji opowiedzieli się czołowi senatorowie republikańscy, czego efektem stało się twarde stanowisko kluczowej w amerykańskiej polityce senackiej komisji spraw zagranicznych. Jej wpływowy szef senator Bob Corker z Tennessee nie żywi żadnych złudzeń co do roli księcia Mohameda w tej zbrodni. „Czy uważam, że on to zrobił? – mówi w wywiadzie dla CNN. – Tak, uważam, że on to zrobił".

> Chaszodżi kwestionował najważniejsze przedsięwzięcia w polityce zewnętrznej młodego księcia, odrzucał też kształtowany w Rijadzie nowy model władzy

Chodzi tylko o to, że dla Ameryki Saudowie są od lat kluczowym i stabilnym punktem oparcia na Bliskim Wschodzie. A rozpoczęcie z nimi ostrego konfliktu musi prowadzić do radykalnych i niekorzystnych dla Ameryki i Izraela zmian geopolitycznych w tym rejonie świata. I właśnie to sprawia, iż polityczna ranga zabójstwa dziennikarza w tym przypadku okazuje się bezprecedensowa.

Saudowie są prawdziwą zaporą dla ekspansji szyickiego Iranu, z którym zarówno Waszyngton, jak i Jerozolima są faktycznie w stanie wojny. Saudowie decydują o światowych cenach ropy i gazu, zwłaszcza po tym, jak w listopadzie ma nastąpić pełna blokada sprzedaży ropy irańskiej, w wyniku nałożonych przez Trumpa sankcji. Saudowie są też kluczowym gwarantem bezpieczeństwa Izraela, którego (to są wielkie paradoksy polityki!) formalnie nie uznają, jednocześnie będąc – obok Ameryki – jego najbliższym i najcenniejszym sojusznikiem. A mówiąc bardziej generalnie: Saudowie od dziesięcioleci prowadzą prozachodnią politykę i są ostoją dla upadających wpływów politycznych Zachodu w świecie arabskim. Trump, odkąd objął prezydenturę, na tych oczywistych faktach zbudował kluczową część amerykańskiej strategii. Pomysł, że z powodu jednego morderstwa miałby zrujnować całą swoją strategię, wydaje się politycznie absurdalny.

Tyle tylko, że mord w Stambule jest tak spektakularny, że Ameryka nie może po prostu przejść nad nim do porządku dziennego. Co więcej, w ostro podzielonej amerykańskiej polityce wrogowie Trumpa dostali do ręki jeszcze jeden, trudny do obalenia argument: oto prezydent ignoruje amerykańskie wartości i przyjaźni się z mordercami. Na to Trump również nie może sobie pozwolić. Dlatego właśnie od paru tygodni trwa swoisty polityczny korowód, w którym prezydent wije się i kluczy, raz zaostrzając retorykę antysaudyjską, a za chwilę znów ją łagodząc. A Saudowie powoli zaczynają się cofać, też zapewne świadomi, że stało się coś, co pozycję ich państwa bardzo nadwerężyło.

Jest niemal pewne, że w Rijadzie kogoś z agentów wywiadu skaże się za to morderstwo. Chyba szykuje się czystka w saudyjskim wywiadzie, ale skoro ma ją prowadzić następca tronu, trudno przypuszczać, aby objęła jego zwolenników. Pewnie najlepszym wyjściem byłby polityczny upadek księcia Mohameda i objęcie władzy przez któregoś z licznych, wrogich mu i bardziej tradycjonalnych krewniaków. Odkąd bowiem Mohamed ibn Salman objął władzę w Rijadzie, kraj ten odchodzi od tradycyjnej formy sunnickiej monarchii patrymonialnej, w której państwo stoi na straży religii i dynastii, apostatów i liberałów ścina się albo krzyżuje. I staje się raczej czymś na kształt oświeconej tyranii, w której nakazy Koranu przestają rządzić całym życiem kraju, ale za to represje i śmierć czekają każdego, kto ośmieli się być krytykiem, przeciwnikiem albo rywalem wszechwładnego tyrana.

Autopromocja

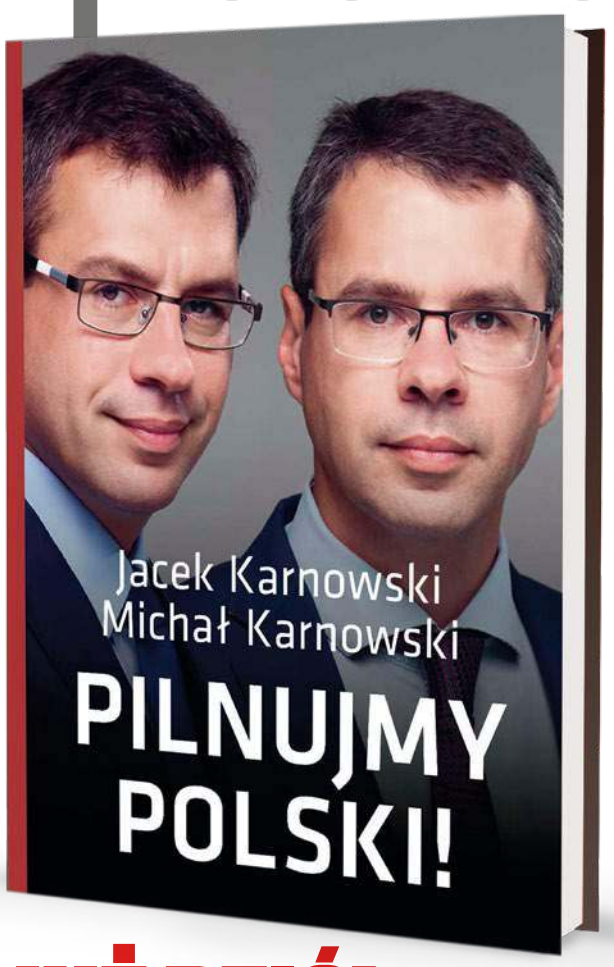
eprasa.pl e3b98bc95b

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę „Pilnujmy Polski" o wartości 44,90 zł otrzymasz gratis!





ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl e3b98bc95b

AfD jest dzieckiem Merkel

Rezygnacja Angeli Merkel z kierowania CDU to koniec pewnej epoki. Pytanie tylko, czy Merkel przetrwa do końca kadencji. Czy nie zostanie wypchnięta ze stanowiska przez wrogów z własnych szeregów. Kto wie. Żyjemy w ciekawych czasach

Z Robinem Alexandrem, dziennikarzem „Die Welt", autorem książki „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu" („Die Getriebenen"), rozmawia Aleksandra Rybińska

Niemcy ogarnął kryzys egzystencjalny?

Robin Alexander: Nie. Skąd taka myśl? [śmiech]. Niemcy przechodzą kryzys rządowy. Ale to nie jest przecież równoznaczne z kryzysem egzystencjalnym. Instytucje państwowe działają. Śmieci są wywożone, gospodarka kwitnie. Co sobotę w telewizji pokazują mecze Bundesligi. Proszę się więc nie martwić. Niemcy jako kraj są stabilne. Nie ulega jednak wątpliwości, że mamy kryzys rządowy, że Wielka Koalicja CDU/CSU i SPD przeżywa trudne chwile. Podobno jak kanclerz Angel Merkel. Ale państwo działa.

Czyli Niemcy jak Belgia mogą się obyć bez funkcjonującego rządu?

Biorąc pod uwagę, że negocjacje w celu utworzenia obecnej koalicji trwały ponad pół roku, przybliżyliśmy się już nieco do poziomu Belgii. Muszę przyznać, że jak wszyscy Niemcy jestem w sprawach politycznych neurotycznym miłośnikiem porządku. Ale zawsze gdy byłem w Belgii, bardzo mi się tam podobało. To sympatyczny kraj, z rządem czy bez.

Wydarzenia w Chemnitz, Alternatywa dla Niemiec (AfD) walcząca z Zielonymi o drugie miejsce w sondażach, chadecja tracąca miliony głosów w wyborach w Bawarii i Hesji. Coś jednak się zmieniło w Republice Federalnej.

Bez wątpienia. Ale to jest przede wszystkim kryzys Wielkiej Koalicji i dwóch głównych partii ludowych. CDU/CSU i SPD, jeśli wierzyć sondażom, gromadzą obecnie mniej niż 40 proc. poparcia. Gdy Merkel w 2013 r. tworzyła Wielką Koalicję, siostrzane partie chadeckie CDU/CSU same plasowały się powyżej 40 proc. Model Wielkiej Koalicji jest w kryzysie, ale to przecież nie jest cały kraj. Możliwe, że w przyszłości Zieloni odegrają większą rolę. Może CDU, szczególnie po odejściu Merkel, zmieni swój kurs, niekoniecznie na bardziej prawicowy. Ludzie chcą bardziej zdecydowanej polityki, skupionej na bezpieczeństwie wewnętrznym, na porządku. Czy będzie ją prowadził chadek czy socjaldemokrata, jest im moim zdaniem obojętne.

Jest jeszcze AfD, która została otoczona kordonem sanitarnym. Czy to nie jest kontrproduktywne? Czy to nie wzmacnia partii Alexandra Gaulanda?

AfD uczestniczy we wszystkich procedurach demokratycznych. Nie została wykluczona z prac parlamentarnych. Przewodniczący komisji sprawiedliwości Bundestagu to polityk AfD. Jedyne, co nie wchodzi w rachubę, co wykluczyły pozostałe partie, to koalicje z AfD. Koalicje tworzy się na podstawie programów. A partia Gaulanda chce chociażby przesunąć oś niemieckiej polityki zagranicznej. Pan Gauland proponuje odejście od sojuszu z USA w kierunku sojuszu z Rosją. To zrozumiałe, że partie centrum mają tu wątpliwości i uważają, że to nie jest najlepsza podstawa do współpracy.



eprasa.pl e3b98bc95b



Fot. Shutterstock

eprasa.pl e3b98bc95b

Minister spraw zagranicznych Niemiec, polityk SPD, Heiko Maas, uderzył w podobny ton, mówiąc o „stworzeniu przeciwwagi tam, gdzie Stany Zjednoczone przekraczają czerwoną linię", choćby psując niemieckim firmom interesy w Iranie.

Nie jestem fanem Heiko Maasa, ale moim zdaniem jego koncepcja polityki zagranicznej się zasadniczo różni od koncepcji Gaulanda. Zrobilibyśmy obydwu politykom krzywdę, porównując je do siebie.

„Rozumiejących Rosję" w SPD nie brakuje – vide Gerhard Schröder, który skończył w Gazpromie.

Jest jedną rzeczą mówić, że powinniśmy zdjąć sankcje nałożone na Rosję. Moim zdaniem to błąd, ale mieści się to w ramach doktryny niemieckiej polityki zagranicznej. Zupełnie inną rzeczą jest mówienie, że nie jesteśmy już krajem Zachodu, tylko najpierw musimy patrzeć na interes Putina, na to, co należy do sfery wpływów Moskwy. To nie mieści się już w ramach tej doktryny. To coś zupełnie nowego albo – inaczej patrząc – coś zupełnie starego, co przywołuje czasy słusznie minione.

Do czasów słusznie lub niesłusznie minionych przeszedł chyba także konsens, na którym dotąd opierała się niemiecka polityka.

To prawda. Jak dotąd w Bundestagu było spokojnie, jako reporter parlamentarny często pisałem, że zbyt spokojnie. Angela Merkel miała Wielką Koalicję, która posiadała 85 proc. mandatów w parlamencie. Krytyka napływała tylko z lewej strony, od Zielonych i Die Linke, wcześniej PDS. Dlatego nie toczono w Bundestagu w zasadzie żadnych debat. I to, jak napisałem zresztą w mojej książce, doprowadziło do tego, że w 2015 r., w chwili kryzysu migracyjnego, zabrakło także debaty o kryzysie uchodźczym. Pani kanclerz nie musiała pytać Bundestagu o zgodę na otwarcie granic, ale potem już powinna była skonsultować posłów i tę debatę przeprowadzić. Tak się nie stało i to było błędem. Teraz mamy sześć, a tak naprawdę siedem partii w Bundestagu, CDU i CSU bowiem także się w wielu sprawach z sobą nie zgadzają, a debata jest momentami bardzo ostra. Mamy więc przeciwieństwo tego, co było wcześniej. Krzyki, awantury, spory. To też nie jest stan idealny.

To właśnie w tym kierunku będzie się rozwijać niemiecka demokracja?

Trudno powiedzieć. Moim zdaniem to nie jest przesądzone. W AfD są politycy, którzy starają się łagodzić swoje stanowisko, wyjść naprzeciw przeciwnikom. Są też politycy w AfD, którzy podgrzewają spór, szczególnie w mediach społecznościowych. Trudno powiedzieć, czy AfD ostatecznie złagodnieje, czyli zostanie dokooptowana do mainstreamu, czy wręcz przeciwnie. To kwestia dziś wciąż zupełnie otwarta.

A kto odpowiada za ten stan rzeczy? Za rośnięcie w siłę AfD, upadek obu partii ludowych. Angela Merkel i jej decyzja o otwarciu granic na jesieni 2015 r., czyli kryzys uchodźczy?

Mamy trwające od wielu lat tendencje do dywersyfikacji zachodnich społeczeństw. To zjawisko dotyczy także Niemiec. Zawsze mieliśmy prawicowych populistów w Europie. Można więc powiedzieć, że Niemcy przechodzą fazę normalizacji, dostosowania do panujących w Europie od dawna warunków. Przy czym mnie akurat podobała się wyjątkowa droga Niemiec. Taki kraj jak Niemcy ze swoją historią nie powinien mieć prawicowych populistów. Mówię to jako konserwatysta. AfD pojawiła się na scenie politycznej jako partia eurosceptyczna, występująca przeciwko próbom ratowania euro, ale nie odnosiła początkowo sukcesów. Nie dostała się do Bundestagu. Przełom nadszedł w 2015 r. wraz kryzysem uchodźczym. AfD jest więc bezspornie dzieckiem kryzysu uchodźczego i rządów Merkel.

> Niemcy chcą bardziej zdecydowanej polityki, skupionej na bezpieczeństwie wewnętrznym, na porządku

Po wydarzeniach w Chemnitz można także odnieść wrażenie, że przez Niemcy ciągnie się geograficzny podział, na „ponure Niemcy", czyli wschodnie landy, oraz otwarte i tolerancyjne zachodnie.

Mentalność mieszkańców wschodnich landów jest inna. Ale gdyby przyjrzeć się temu dokładniej, to widzimy, że AfD jest silna także w Nadrenii Północnej-Westfalii, w Zagłębiu Ruhry, dawnym przyczółku socjaldemokracji. Wielu wskazuje na Saksonię jako epicentrum tych „ponurych Niemiec", ale przecież w Saksonii już wcześniej istniały partie skrajnie prawicowe, choćby NPD, która jest tam obecna od ponad 10 lat. Skrajna lewica w postaci Die Linke także zawsze była silniejsza na wschodzie Niemiec. Antytotalitarny konsens starej Bundesrepubliki mówiący: nie współpracujemy z nazistami i komunistami, we wschodnich landach nigdy do końca nie chwycił. Merkel przez lata stosowała taktykę zbliżenia do politycznego przeciwnika, do SPD i Zielonych, wampiryzowania ich programów. Teraz pojawiają się głosy w CDU w Saksonii, że trzeba współpracować z AfD, a w Brandenburgii szef frakcji CDU mówi o współpracy z Die Linke. Pragmatyzm triumfuje nad antytotalitarnym konsensem.

Czyli nie da się wykluczyć, że kiedyś jedna z mainstreamowych partii, choćby na poziomie landów, zawrze koalicję z AfD?

To zależy od tego, w którą stronę partia Gaulanda się rozwinie. Są tacy, którzy chcą, by AfD była taka jak CDU za czasów Helmuta Kohla w latach 80. XX w. Z taką AfD można by zawrzeć koalicję. Ale obecnie AfD rozwija się w zupełnie przeciwną stronę. Mówi o redefinicji stosunku Niemiec do Rosji i Izraela, o rewizji historii, czyli o redefinicji słowa „ludowy" (voelkisch). Wszystko to już przerabialiśmy. Mamy

eprasa.pl e3b98bc95b

to już za sobą i chyba nikt nie chce do tego wracać. Może tu czy tam taka koalicja byłaby korzystna. Polityka to jednak nie tylko arytmetyka. Zieloni byli outsiderami, gdy pojawili się na niemieckiej scenie politycznej i zanim Joschka Fischer został ministrem spraw zagranicznych, musieli nad sobą mocno popracować i wiele u siebie zmienić. Musieli się pozbyć maoizmu i przestać wspierać palestyńskich terrorystów [śmiech]. Fischer nawet wyzbył się pacyfizmu i wsparł interwencję na Bałkanach. W AfD nie widać takiego rozwoju. Zresztą ludzie głosują na AfD, bo jest partią antysystemową. Gdyby przeszła do mainstreamu lub zrezygnowała z niektórych postulatów, by uprawiać politykę, straciłaby część wyborców. Ot, cały dylemat.

Angela Merkel ogłosiła, że rezygnuje z kierowania CDU i nie zamierza ponownie kandydować na kanclerza. To koniec pewnej epoki?

Zdecydowanie. Pytanie tylko, czy Merkel przetrwa do końca kadencji. Czy nie zostanie wypchnięta ze stanowiska przez wrogów z własnych szeregów. Kto wie. Żyjemy w ciekawych czasach.

Niektórzy mówią, że Wolfgang Schäuble, były minister finansów i przewodniczący Bundestagu, mógłby ją zastąpić, aż znajdzie się odpowiedni następca dla niej w CDU.

Mamy takie powiedzenie o Schäublem, że „to najlepszy kanclerz, którego nigdy nie mieliśmy". Jest w świetnej formie, więc czemu nie.

Tu, w Polsce, odejście Merkel, nawet powolne, wiąże się z pewnymi obawami, o to jaką politykę zagraniczną będzie prowadził jej następca. Niepotrzebnie się martwimy?

Jeśli spojrzymy na partie centrum, to jak dotąd konsens mówiący o powstrzymaniu rosyjskich wpływów został podtrzymany. Nie tylko w CDU, lecz także w SPD. Ani Sigmar Gabriel, ani Heiko Maas nie wyszli z szeregu w sprawie sankcji wobec Rosji. Na dodatek SPD słabnie, a Zieloni stają się coraz silniejsi, a Zieloni są najbardziej krytyczni wobec Putina ze wszystkich niemieckich partii. Sekretarz generalna CDU Annegret Kramp-Karrenbauer, która może zastąpić Merkel, ma doradcę ds. zagranicznych, Nico Langego, który długo był w USA oraz na Ukrainie. On reprezentuje w kwestii Rosji podobną linię jak Merkel, a może nawet bardziej zdecydowaną. Potem mamy Armina Lascheta, który ma kanclerskie ambicje. Niedawno był w Polsce, co pokazuje, że Polska nie jest mu obojętna. W przypadku Jensa Spahna nie wiem, bo jest on dość nowy w krajowej polityce, ale nic nie wskazuje na to, by był on szczególnie prorosyjski. Nie ma więc moim zdaniem większych powodów do zmartwień. Ale jak będzie, nikt nie jest w stanie przewidzieć.

AUTOPROMOJCA

niepodległa
do hymnu!

Niepodległa zaprasza wszystkich czytelników
tygodnika Sieci do wspólnego śpiewania hymnu
11 listopada o 12:00!



www.niepodlegla.gov.pl

#niepodleglaodhymnu
11.11.2018, godz. 12:00

eprasa.pl e3b98bc95b

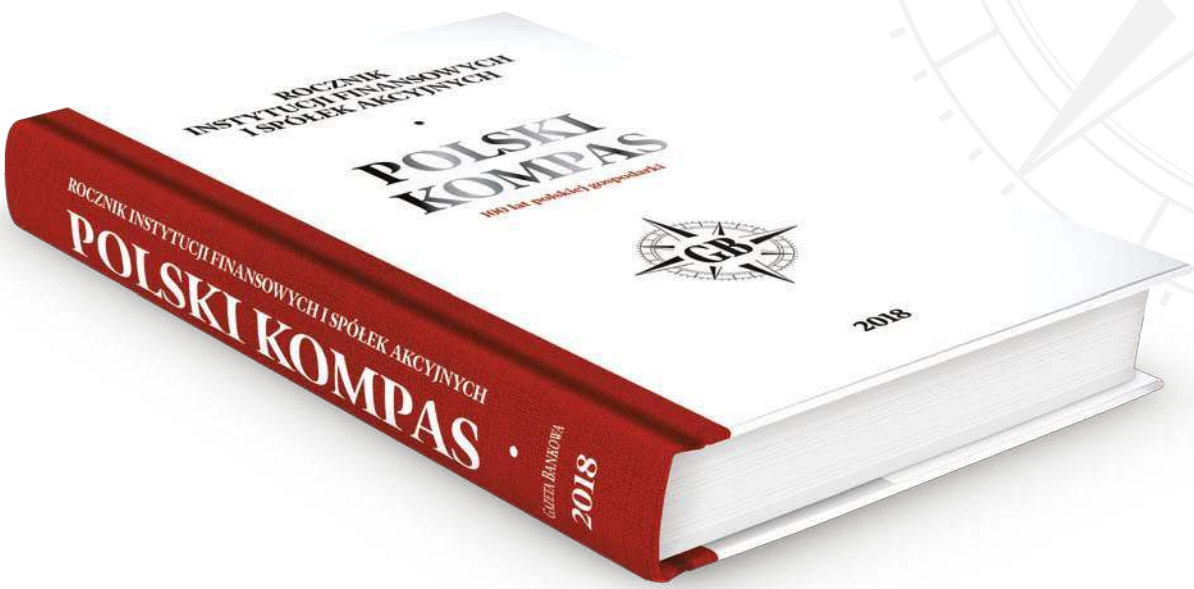
POLSKI KOMPAS 2018

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH

NA 100-LECIE POLSKIEJ GOSPODARKI

Publikacja obejmuje swoim zakresem:

- firmy notowane na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych
- podmioty zarejestrowane w Urzędzie Komisji Nadzoru Finansowego
- trendy przedstawione przez dziennikarzy oraz Radę Programową „Gazety Bankowej" – autorytety z różnych dziedzin życia gospodarczego
- analizy gospodarcze przygotowane przez czołowych analityków finansowych oraz ekonomistów w Polsce
- refleksje wybitnych ekspertów na temat przyszłości i rozwoju branż kluczowych dla polskiej gospodarki
- obserwacje i opinie najlepszych menedżerów polskiego świata biznesu o koniecznych zmianach oraz perspektywach rozwoju dla Polski



Publikacja

Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na ***gb.pl*** *oraz w* ***App Store*** *i* ***Google Play***

Więcej informacji:

eprasa.pl e3b98bc95b

Wierzymy, że rocznik wzorowany na podobnych wydawnictwach francuskich, niemieckich i innych wypełni dotkliwą lukę w życiu ekonomicznem, któremu brak koniecznej dziś orientacji, a stanie się niezbędnym podręcznikiem w codziennej pracy spółek akcyjnych, wszystkich instytucyj i osób, które biorą udział w życiu gospodarczem Polski.

„Gazeta Bankowa" R. 1 (1921) nr 20 — 15/17

ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA

PATRONAT HONOROWY:

MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Ministerstwo Cyfryzacji

MINISTERSTWO ENERGII

Ministerstwo Finansów

MGMiŻŚ Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY:

accenture

PARTNERZY GŁÓWNI:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

KGHM Polska Miedź

Polskie Linie Lotnicze LOT

LOTOS

PPL Porty Lotnicze

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNERZY:

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Fundacja Narodowego Dnia Życia

GPW

PGNiG

Poczta Polska

PARTNER WSPIERAJĄCY:

SALTUS UBEZPIECZENIA

PARTNER TECHNOLOGICZNY:

orange

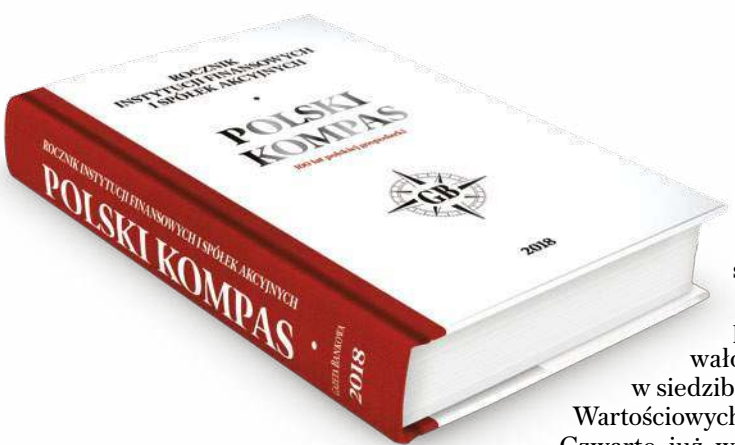
eprasa.pl e3b98bc95b



Zdjęcia: Mirosław Stelmach

Polski Kompas 2018

Jest już rocznik „Gazety Bankowej" na stulecie polskiej gospodarki



Redakcja „Gazety Bankowej" – najstarszego miesięcznika ekonomicznego w Polsce, ukazującego się nieprzerwanie od 1989 r., nawiązując do swoich przedwojennych tradycji, podjęła się cztery lata temu publikacji corocznego podsumowania stanu gospodarki, przeglądu instytucji finansowych i ubezpieczeniowych, a także spółek notowanych na GPW i zgłoszonych w UKNF. Tegoroczne wydanie – wyjątkowe ze względu na stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości – swoją uroczystą premierę świętowało 29 października w siedzibie Giełdy Papierów Wartościowych.

Czwarte już wydanie „Polskiego Kompasu" przygotowane przez dziennikarzy Grupy Medialnej Fratria to 400 stron, na których w 111 artykułach swoje opinie publikują najistotniejsze dla polskiej gospodarki osoby – prezydent, premier, wicepremierzy, a także prezesi i menedżerowie kluczowych polskich przedsiębiorstw oraz ekonomiści, członkowie Rady Polityki Pieniężnej i szefowie najważniejszych instytucji finansowych w kraju. Publikacje „Polskiego Kompasu – rocznika instytucji finansowych i spółek akcyjnych" zawsze spotykają się z ogromnym zainteresowaniem w środowisku finansowym i biznesowym.

W jubileuszowym roku stulecia odzyskania niepodległości uroczysta premiera „Kompasu" zgromadziła najważniejszych uczestników polskiej sceny gospodarczej. Autorzy zaproszeni w tym roku do współtworzenia rocznika wskazują na jego łamach kierunki rozwoju gospodarki, zwracają też uwagę na szanse i wyzwania polskich inwestycji – zarówno tych rozpoczętych, jak i planowanych na kolejne lata.

Na uroczystej gali w ubiegły poniedziałek w siedzibie GPW wręczono statuetki Polskiego Kompasu, które „Gazeta Bankowa" przyznała najlepszym menedżerom polskich firm. Gościem specjalnym był premier Mateusz Morawiecki.

eprasa.pl e3b98bc95b

Laureatami nagrody Polskiego Kompasu 2018, przyznanej przez kolegium redakcyjne „Gazety Bankowej" i Grupę Medialną Fratria, zostali: prezes PKO BP Zbigniew Jagiełło, prezes PFR Paweł Borys, prezes PKN Orlen Daniel Obajtek, prezes PKP SA Krzysztof Mamiński oraz dyrektor zarządzający Philip Morris Polska i Kraje Bałtyckie Michał Mierzejewski.

Zbigniew Jagiełło, prezes PKO BP, otrzymał nagrodę za stworzenie na fundamentach narodowej instytucji bankowej najbardziej nowoczesnego technologicznie banku w Polsce, lidera rynku gotowego do starcia z największymi instytucjami finansowymi na świecie.





„PKO jako pierwszy bank w Polsce i jeden z pierwszych na świecie zaadaptował technologię blockchain do przekazywania klientom dokumentów produktowych. W tym samym czasie aplikacja IKO PKO BP wygrała ranking 100 aplikacji największych banków na świecie. Zdobywa też nagrody w rankingach branżowych w Europie i w Polsce" – powiedział w uzasadnieniu Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej".

„W imieniu pracowników PKO BP i klientów chcę podziękować za tę nagrodę. PKO BP został utworzony 7 lutego 1919 r., w 100 dni od odzyskania niepodległości. W stulecie odzyskania niepodległości świętujemy te wyniki, o których tu była mowa – najcenniejsza polska spółka, największa polska spółka. Dziękujemy Ci, Polsko!" – powiedział Zbigniew Jagiełło, przyjmując nagrodę.

> W jubileuszowym roku stulecia odzyskania niepodległości uroczysta premiera „Kompasu" zgromadziła najważniejszych uczestników polskiej sceny gospodarczej

Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, odebrał nagrodę za „odwagę w realizacji wizji zbudowania skoordynowanej grupy instytucji finansowych i doradczych w dziedzinie bankowości, ubezpieczeń, inwestycji, planów kapitałowych, innowacji oraz ekspansji zagranicznej realnie wpływającej na rozwój polskiej gospodarki".

„To nagroda za stworzenie instytucji, która współgra nie tylko z działaniami rządu, z planami i potrzebami polskich przedsiębiorców, lecz jest także jednym z głównych elementów napędowych strategii rozwoju" – powiedział Maciej Wośko w uzasadnieniu. „Najnowszym, a pewnie i najważniejszym, wyzwaniem prezesa Borysa są dziś Pracownicze Plany Kapitałowe. Zgodnie z rządowym projektem ustawy to właśnie PFR będzie organizował wdrożenie programu PPK" – dodał Maciej Wośko.

„PFR powstał trzy lata temu decyzją Mateusza Morawieckiego. Chciałbym mu podziękować za wizję rozwoju i wsparcie. Zależy nam, abyśmy byli silnikiem planu Morawieckiego, realizując ważne z punktu widzenia gospodarki inicjatywy. Do tej pory uczestniczyliśmy w inwestycjach o wartości 21 mld zł, nasz wkład to 6 mld zł" – powiedział Paweł Borys, przyjmując nagrodę. „Jesteśmy w bardzo ważnym momencie, mamy szansę przebić szklany sufit. Wcześniej kilka razy zbliżaliśmy się do krajów bogatszych, ale potem przez wojny czy błędy traciliśmy. Teraz mamy szansę osiągnąć najwyższy poziom i dogonić inne kraje. Cieszę się, że Polski Fundusz Rozwoju może

eprasa.pl e3b98bc95b

położyć cegłę pod rozwój gospodarki" – dodał prezes PFR.

Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen, otrzymał nagrodę za „determinację i upór w budowaniu polskiego – międzynarodowego koncernu petrochemicznego zdolnego konkurować z globalnymi gigantami".

„Daniel Obajtek odbierze statuetkę za inicjatywę i sprawny proces przygotowawczy do integracji PKN Orlen z Grupą Lotos, co wzmocni pozycję negocjacyjną Polski w zakresie dostaw surowców oraz zapewni większe bezpieczeństwo energetyczne kraju. Dodałbym jeszcze – nawiązując do odważnych marzeń inżynierów II Rzeczypospolitej, że to statuetka za umiejętność przeniesienia Płocka nad Zatokę Gdańską" – argumentował Maciej Wośko.

„To dla mnie wyróżnienie, dla całego koncernu, ale także dla wszystkich zaangażowanych w ten wielki proces inwestycyjny, jakim jest rozbudowa branży petrochemicznej, wielkie wyróżnienie" – powiedział Daniel Obajtek, przyjmując nagrodę. „Ta rozbudowa pozwoli nam przeżyć i rozwijać się przez najbliższe 100 lat. W rozbudowę tej branży wpisuje się także połączenie PKN Orlen z Grupą Lotos. Ten proces nas umocni, inne kraje UE mają to za sobą, a my musimy ten proces przeprowadzić" – dodał prezes Obajtek.

Krzysztof Mamiński, prezes PKP SA, otrzymał nagrodę za „konsekwencję w budowaniu kolejowego holdingu i umiejętność prowadzenia rzeczowego dialogu, którego perspektywą zawsze jest porozumienie gwarantujące rozwój narodowego przewoźnika".

„Grupa PKP jest na torze prowadzącym do stworzenia silnych, skonsolidowanych lub kooperujących grup branżowych, zdolnych podjąć konkurencję na międzynarodowym rynku. Po prawie 18 latach od podziału polskich kolei na kilkanaście podmiotów powstaje właśnie holding, który ma integrować działania wspólne na polskich torach i dworcach, w przewozach osobowych i towarowych. Choć kooperacja w tworzeniu strategii, polityki zakupowej, wspólnej polityki informacyjnej czy finansowej aż po działania marketingowe jest zrozumiała – PKP już dziś zmierzyć się musi z chórem dyżurnych pesymistów i krytyków" – mówił redaktor naczelny „Gazety Bankowej".



„100 lat niepodległości trudno wyobrazić sobie bez 100 lat polskich kolei. Jak niektórzy żartują, to polskie koleje były pierwszą firmą wprowadzającą elektromobilność, kiedy przechodziła z napędu parowego na napęd elektryczny. Dzisiaj chcemy przede wszystkim przedstawić dobrą ofertę naszym klientom, zarówno pasażerom, jak i klientom towarowym" – powiedział Krzysztof Mamiński, przyjmując nagrodę. „W imieniu wszystkich pracowników polskich kolei – i tych obecnych, i przeszłych, i byłych – dziękuję za to wyróżnienie" – dodał.

Michał Mierzejewski, dyrektor zarządzający Philip Morris Polska i Kraje Bałtyckie, został uhonorowany za „udaną współpracę z polskimi jednostkami badawczo-naukowymi w zakresie opracowania i oceny naukowej produktów bezdymnych oraz konsekwencję w inwestowaniu w Polsce – także w polskich plantatorów i polskich menedżerów w strukturach międzynarodowego koncernu".

„Na naszych oczach zmienia się polityka wielkiego koncernu, a udział w tym mają właśnie polscy menedżerowie i naukowcy" – uzasadniał Maciej Wośko.

„Dzięki temu, że pracujemy w firmie Phillip Morris, ja i kilku kolegów, w tym dwóch w zarządzie globalnym firmy, w Polsce jest największa fabryka papierosów na świecie, produkująca głównie na eksport. Ta fabryka zaopatruje się u polskich plantatorów. Badania nowych rozwiązań były robione przez polskich naukowców, a linie technologiczne były robione przez polskie małe i średnie firmy. Nieważne, gdzie się pracuje, bo jeśli tylko się chce, to można godnie reprezentować i wspierać Polskę" – powiedział Michał Mierzejewski, przyjmując nagrodę.

Gościem specjalnym gali „Polskiego Kompasu 2018" był premier Mateusz Morawiecki, laureat Złotego Polskiego Kompasu 2017.

„Chciałbym, aby odpowiedni kompas, patriotyczny, wytyczał nam, politykom, ale także światu gospodarczemu właściwy kierunek, prowadzący ku sprawnej, silnej, innowacyjnej i suwerennej, a więc trudnej do zastąpienia, gospodarce polskiej" – powiedział premier Morawiecki. Zwrócił uwagę, że „potrzebujemy właściwego kompasu, aby móc odzyskać sterowność polskiej gospodarki. Tę sterowność musimy odzyskać w kilku kluczowych dziedzinach naszego życia publicznego".

Już się udało – wskazał premier Mateusz Morawiecki – odzyskać sterowność w dziedzinie sprawności polskiego aparatu skarbowego. Dzięki temu bez podnoszenia podatków czy wręcz przy ich obniżaniu, jak w przypadku CIT dla małych firm, udało się zwiększyć wpływy podatkowe.

„Jest jeszcze kilka dziedzin, w którym konieczne jest odzyskanie tej sterowności, ale skupię się na jednej, o której wiele będziemy mówić w najbliższych miesiącach. Aby państwo miało swoją sterowność, konieczna jest suwerenność informacyjna" – stwierdził premier.

(red)

Wersja drukowana „Polskiego Kompasu 2018" w limitowanym nakładzie trafiła do najważniejszych osób w Polsce. Wersja elektroniczna jest do pobrania na portalu www.gb.pl oraz w aplikacji „Gazety Bankowej" w App Store i Google Play.

eprasa.pl e3b98bc95b

Jak wnioskować o najem w programie Mieszkanie+

26 października rozpoczął się nabór wniosków dla chętnych do najmu mieszkania w gdyńskiej realizacji inwestycji rządowego programu Mieszkanie+. Można je składać do 30 listopada

Osiedle położone w Gdyni w spokojnej okolicy poza centrum, w dzielnicy Kacze Buki przy ul. Puszczyka. Inwestycja obejmuje 172 komfortowe i funkcjonalne mieszkania, nawet 5-pokojowe, usytuowane w sześciu czterokondygnacyjnych budynkach o nowoczesnej architekturze. Mamy do wyboru opcję najmu, a także najmu z dojściem do własności. Na terenie osiedla przewidziano 224 miejsca postojowe dla samochodów.



Fot. aero.earth

Podpowiadamy, w jaki sposób aplikować do programu, jak ocenić swoje możliwości i jakie opcje najmu są dostępne.

W jaki sposób można się zgłosić do programu?
Nabór wniosków odbywa się za pośrednictwem strony internetowej dedykowanej gdyńskiej inwestycji www.mieszkanieplusgdynia.pl.

Jakie informacje należy przygotować?
Składając wniosek on-line, zostaniemy zapytani o nasze personalia. Trzeba również wskazać rodzaj umowy, jaką jesteśmy zainteresowani, oraz metraż mieszkania. Wypełniając wniosek, zwróćmy uwagę na podanie poprawnego adresu e-mail, gdyż na niego dostaniemy informację zwrotną z nadanym numerem wniosku oraz listą wymaganych oświadczeń i dokumentów.

W jaki sposób należy uzupełnić brakujące dokumenty?
Mamy 14 dni na dostarczenie wypełnionych dokumentów do jednego z dwóch punktów informacyjnych programu Mieszkanie+: w Zarządzie Budynków i Lokali Komunalnych przy ul. Warszawskiej lub przy ul. Abrahama. Wnioski można składać do 30 listopada 2018 r.

Na jakiej zasadzie zostaną wybrani przyszli najemcy?
Czynnikiem decydującym o przyznaniu mieszkania jest spełnienie kryteriów finansowych, czyli posiadanie zdolności terminowego opłacania czynszu najmu. Przyszli najemcy będą także weryfikowani ma podstawie kryteriów społecznych, które określa uchwała Rady Miasta Gdyni. Uznano, że preferencje najmu otrzymają: najemcy z dziećmi, osoby, które ukończyły 65 lat, najemcy, których dotyczy problem niepełnosprawności, osoby płacące podatki w Gdyni oraz ci, którzy w niej na stałe zamieszkują.

W jaki sposób można sprawdzić swoją zdolność czynszową?
Zdolność czynszową oraz czynsz obliczymy za pomocą kalkulatorów znajdujących się na stronie www.mieszkanieplusgdynia.pl. W tym miejscu znajduje się także komplet informacji dotyczących całej inwestycji, wszystkich kryteriów.

Kto może dostać dopłatę do czynszu?
Dopłaty do czynszu to kierowane do rodzin wsparcie z budżetu państwa, które umożliwi obniżenie kosztu najmu mieszkania na rynku komercyjnym. Warunki i wymogi otrzymania wsparcia reguluje uchwalona przez Sejm RP w dniu 20 lipca 2018 r. ustawa o pomocy państwa w ponoszeniu wydatków mieszkaniowych w pierwszych latach najmu mieszkania.

Prognozowaną wysokość czynszu dla wybranego mieszkania i wariantu umowy najmu oraz prognozowaną wysokość dopłat do czynszu można sprawdzić za pomocą kalkulatorów pod adresem https://kalkulatorymplus.pl.

W województwie pomorskim czteroosobowa rodzina może liczyć na dopłatę ok. 420 zł.

Czym się różni umowa najmu od umowy najmu z dojściem do własności?
W ramach programu Mieszkanie+ możemy się zdecydować na zawarcie jednej z umów: umowy najmu niezwiązanej z prawem najemcy do nabycia prawa własności mieszkania – tzw. umowa najmu instytucjonalnego na czas oznaczony, lub umowy najmu związanej z prawem najemcy do nabycia prawa własności mieszkania – tzw. umowa najmu instytucjonalnego z dojściem do własności.

Co różni od siebie te umowy?
W gdyńskiej inwestycji umowę najmu instytucjonalnego na czas oznaczony można zawrzeć na minimum 24 miesiące, a umowę najmu instytucjonalnego z dojściem do własności – na wybrany z czterech okresów: 30, 25, 20 lub 15 lat.

Wysokość comiesięcznych opłat z tytułu umowy najmu instytucjonalnego z dojściem do własności jest co do zasady wyższa, gdyż poza czynszem najmu, opłatami eksploatacyjnymi oraz opłatami za media jesteśmy zobowiązani do poniesienia comiesięcznej raty za wykupienie mieszkania.

Kiedy pierwsze umowy?
Przewiduje się, że pierwsze umowy najmu będą zawierane już w styczniu.

Anna Raciniewska

12/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b



CEO Summit: w Warszawie debatowano o najważniejszych wyzwaniach współczesnej gospodarki

Kilkuset prezesów polskich i międzynarodowych firm, przedstawiciele administracji rządowej, międzynarodowych instytucji finansowych i świata nauki, dyplomaci oraz naukowcy zebrali się w poniedziałek 29 października w Warszawie

Na pierwszym CEO Summit, szczycie decydentów ze świata gospodarki i polityki, zorganizowanym przez Bank Pekao S.A. przy współpracy Atlantic Council, debatowano m.in. o relacjach transatlantyckich, inicjatywie Trójmorza, cyfryzacji gospodarki i klimacie dla biznesu w Polsce.

Miejscem trwających cały dzień paneli dyskusyjnych było zrewitalizowane ze środków udostępnionych przez Bank Pekao S.A. Centrum Praskie „Koneser". Gośćmi szczytu byli m.in.: Georgette Mosbacher, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, minister Krzysztof Szczerski, szef Kancelarii Prezydenta, Jadwiga Emilewicz, minister technologii i przedsiębiorczości, Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, generał James L. Jones, były doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA Baracka Obamy i były szef wojsk NATO w Europie, Karen Karniol-Tambour, szefowa

fot. materiały prasowe | 36/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b



działu analiz w funduszu hedgingowym Bridgewater Associates, który zarządza aktywami o wartości 160 mld dolarów, Carlos Piñerúa, przedstawiciel Banku Światowego na Polskę i kraje bałtyckie, czy Marta Poślad, szefowa działu polityki publicznej i relacji rządowych w Google na Europę Środkowo-Wschodnią.

– Myślę, że to wydarzenie wyjątkowe, bezprecedensowe, jakie nigdy nie zdarzyło się w Warszawie, to więcej niż konferencja, więcej niż spotkanie. Omówimy niektóre z wyzwań dla polskiej gospodarki. Będziemy też chcieli zakwestionować paradygmat, że Polska jest wciąż rynkiem rozwijającym się – powiedział w przemówieniu inaugurującym konferencję prezes Pekao Michał Krupiński.

I rzeczywiście wiele uwagi poświęcono Polsce i jej gospodarczemu sukcesowi oraz wyzwaniom, jakie wciąż stoją przed polską gospodarką. Minister Jadwiga Emilewicz w jednym z wystąpień otwierających szczyt podkreśliła znakomitą kondycję polskiej gospodarki, zwróciła uwagę na wysoki wzrost gospodarczy, rekordowo niską stopę bezrobocia i podwyższony przez Agencję S&P rating Polski. – Dzięki takim spotkaniom jak CEO Summit, my, Polacy, mamy szansę opowiedzieć po raz kolejny historię naszego sukcesu ostatnich ponad 20 lat – powiedziała minister Emilewicz.

Generał James L. Jones zwrócił z kolei uwagę na konieczność redefinicji relacji transatlantyckich w świetle rosnącego znaczenia strategicznego Chin i Rosji. Jedną z odpowiedzi na te wyzwania w jego ocenie jest inicjatywa Trójmorza, która zaczyna nabierać coraz bardziej realnych kształtów.

– Na pewno nie stać nas na izolację, potrzebujemy bardziej całościowego podejścia do relacji transatlantyckich.



Inicjatywa Trójmorza to kluczowy mechanizm dla konkurencyjności Europy. Potrzebne są połączenia północ–południe między państwami Trójmorza, chodzi o połączenia telekomunikacyjne, energetyczne, transportowe – mówił generał Jones.

O sukcesie Polski i relacjach polsko-amerykańskich mówił były ambasador USA w Polsce Daniel Fried, a o atrakcyjności Polski dla inwestorów zagranicznych prezes PZU Paweł Surówka. Z kolei minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński zauważył, że polskie firmy powinny odważniej wychodzić na rynki zagraniczne, także te pozaeuropejskie.

– Jestem absolutnie przekonany, że polskie firmy i polscy przedsiębiorcy są gotowi do ekspansji zagranicznej i potrafią konkurować na międzynarodowych rynkach. Czas jest wyjść poza Europę, na przykład na rynki amerykańskie, szczególnie rynek Stanów Zjednoczonych, który jest największym konsumpcyjnym rynkiem na świecie, jeżeli bierzemy pod uwagę jedno państwo – powiedział minister Kwieciński.

O cyfryzacji polskiej i światowej gospodarki dyskutowali założyciel platformy finansowania Pave.com Oren Bass, szef Microsoftu na Polskę Mark Loughran oraz prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys. Oren Bass zwracał uwagę, że aby skutecznie wdrażać innowacje, istotne jest budowanie relacji między start-upami a dużymi korporacjami oraz wspieranie kreatywności. A Paweł Borys wskazywał, że technologia niejako wymusza zmiany w biznesie idące w stronę większej automatyzacji. Dużo uwagi poświęcono również dyskusji na temat klimatu inwestycyjnego w Polsce dla inwestorów zagranicznych.

– Bardzo ważne jest, by kraj stawał się przyjazny dla biznesu. Myślę, że w Polsce są jeszcze pewne kroki, które muszą być w tej kwestii wykonane, jak uproszczenie regulacji, ułatwienie prowadzenia biznesu w Polsce. Ale jesteście krajem z 40 mln ludzi, macie wykształconych pracowników, niską inflację, trwały wzrost [...] to wszystko, czego potrzebuje inwestor, by zainwestować w danym kraju – powiedziała ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher.

CEO Summit, który odbył się 29 października w Warszawie, został zorganizowany po raz pierwszy. To konferencja powołana do życia z inicjatywy Banku Pekao S.A. przy współpracy renomowanego amerykańskiego think tanku Atlantic Council. Łącznie w tegorocznym CEO Summit wzięło udział blisko 300 gości. Wśród nich byli przedstawiciele takich firm jak: PKN Orlen, Grupa Lotos, PZU, Energa, Enea, Adamed Pharma, Bakoma, Eiffage, Famur, OTCF właściciel marki odzieży sportowej 4F, Robyg i wiele innych.

Materiał powstał przy współpracy Pekao S.A.

eprasa.pl e3b98bc95b



Budżet się nie rozjeżdża

Choć opozycja straszyła Polaków plagami egipskimi z szarańczą na czele (co prawda były to raczej plagi Tuska), to budżety rządu PiS naprawdę działają



JANUSZ SZEWCZAK

Jan Vincent Rostowski straszył, że „pieniędzy nie ma i nie będzie", a Nowoczesna, że banki nie udźwignął nałożonego na nie podatku od instytucji finansowych. Tymczasem po 30 miesiącach banki zapłaciły już do państwowej kasy ponad 9 mld zł i nadal mają gigantyczne zyski – ok. 14 mld zł netto w tym roku, zwiększają też akcję kredytową i kupują obligacje skarbu państwa. Duchowy ojciec totalnych prof. Leszek Balcerowicz straszył opinię publiczną najwyższym w Polsce, a nawet w Unii Europejskiej, deficytem sektora finansów publicznych oraz rakiem finansów, a wygląda na to, że w 2018 r. będziemy mieli rekordowo niski deficyt nominalny, na poziomie 25–26 mld zł. Podobnie jak w budżecie na 2019 r. zakładanym na poziomie 28 mld zł oraz 1,8 proc. do PKB. Gdyby nie prawie 30 mld zł wydatków sztywnych na obsługę długu publicznego, które to koszty systematycznie maleją, mielibyśmy nawet niewielką nadwyżkę.

Politycy PO, Nowoczesnej i PSL oraz ich eksperci gospodarczy twierdzili, że przywrócenie przez rząd PiS podniesionego przez nich znienacka wieku emerytalnego do poziomu 60–65 lat wysadzi w powietrze polski budżet, zagrozi ZUS i FUS oraz pogłębi deficyt. Dzięki sprawnemu zarządzaniu, uszczelnieniu systemu podatkowego i dobrej koniunkturze, wyższym wynagrodzeniom oraz lepszej ściągalności składek stało się coś zupełnie odwrotnego. Do kasy ZUS i FUS wpłynęło już dodatkowo ok. 9 mld zł, i to nie koniec dobrych wiadomości. Kwota ta może wzrosnąć do ponad 10 mld zł do końca roku, niższa więc będzie dotacja ze strony budżetu państwa do FUS w bieżącym i następnym roku.

Ma więc rację prof. Balcerowicz, w końcu były minister finansów i wicepremier, który miał swego czasu wzrost PKB na poziomie 1,7 proc., a deficyt na poziomie ok. 7 proc., i wielokrotnie mylił się w szacunkach budżetowych, gdy twierdzi, że „egocentryzm blokuje rozum". Dowodów na to, że kłamstwo, konfabulacja i manipulacja, kiedy idzie o ocenę sytuacji gospodarczej i finansowej Polski, na szczęście na budżet nie działają, choć skutecznie oddziałują na ludzkie emocje, zwłaszcza te wyborcze.

Obecnie wśród opozycyjnych ekspertów i analityków – nie tyle od finansów, ile od siedmiu boleści – słychać śpiewkę, że idzie kryzys na świecie i gospodarcza

eprasa.pl e3b98bc95b

bonanza za rządów PiS wkrótce się skończy, bo kłopoty ma niemiecka gospodarka, słabną konsumpcja wewnętrzna, produkcja przemysłowa i sprzedaż detaliczna. Tylko spokojnie, wystarczy, że we wrześniu 2018 r. było kilka dni roboczych mniej, butów i ciepłych kurtek we wrześniu i w październiku nie kupowano ze względu na rekordowo ciepłą jesień oraz że kilka dużych zakupów inwestycyjnych przesunięto na koniec roku, a już wskaźniki to odnotowują. Nic złego jednak w tej sferze się nie dzieje. Prawdziwe kłopoty będą w Unii Europejskiej z budżetem Włoch, Hiszpanii, Portugalii czy z brexitem.

Nasz tegoroczny wzrost PKB na poziomie ok. 4,8 proc., a więc lepszy co najmniej o 1 punkt procentowy od zakładanego w budżecie, jest i tak jednym z najwyższych w Unii Europejskiej, bo trudno porównywać się do Malty. Nadal bardzo istotny jest spadek bezrobocia poniżej 6 proc. I to jest prawdziwa czołówka europejska. Warto przypomnieć tu „sukces" Leszka Balcerowicza z 2001 r., który jako minister finansów doprowadził do 17-procentowego bezrobocia.

Co niezwykle istotne, po raz pierwszy od 1999 r. spada nie tylko nominalny dług skarbu państwa, jego relacja do PKB, koszt obsługi długu publicznego (rocznie poniżej 30 mld zł), lecz także udział zagranicy w polskim długu publicznym. Czeka nas równie dobry budżet na 2019 r., ze wzrostem PKB na poziomie pewnie znacznie lepszym niż zakładane 3,8 proc., czekają rosnące płace, konsumpcja, spożycie i nadal niskie bezrobocie oraz realizacja programów społecznych na rekordową łączną kwotę ok. 70 mld zł.

Oczywiście świat jest dziś wyjątkowo rozedrgany, a elity i przywódcy są pogubieni, zbierają się wichry i fale niepokoju politycznego, rośnie kryzys zadłużenia (to już niemal 250 bln dol., co stanowi ponad 300 proc. światowego PKB), padają neoliberalne teorie i modele. Wojny handlowe przybierają na sile, twardy brexit wisi w powietrzu, budżet Włoch pęka w szwach, greckie banki znów znalazły się na krawędzi bankructwa, maleje PKB i eksport Chin, ropa naftowa przekroczyła poziom 80 dolarów za baryłkę, narasta groźba konfliktu z Iranem. Jest więc niewątpliwie czego się bać, ale nie ma co straszyć Polski i Polaków, bo właśnie nasz kraj ma kilka niepodważalnych atutów łagodnego akumulowania ewentualnych wstrząsów oraz skutków kryzysu gospodarczego na świecie: duży rynek wewnętrzny, brak waluty euro, rosnąca konsumpcja i płace, duży, otwarty front robót inwestycyjnych i infrastrukturalnych – tylko na kolei do 2023 r. trzeba wydać 100 mld zł. Trzeba jedynie znaleźć odpowiednich wykonawców, dalej uszczelniać system podatkowy i nieco lepiej płacić pracownikom.

> Czeka nas dobry budżet na 2019 r., ze wzrostem PKB pewnie lepszym niż zakładane 3,8 proc., czekają rosnące płace, konsumpcja, spożycie i niskie bezrobocie oraz realizacja programów społecznych na kwotę ok. 70 mld zł

To nie znaczy, że nie ma żadnych zagrożeń czy wyzwań dla polskiej gospodarki i finansów, jak choćby rosnące ceny materiałów budowlanych, potencjalny wzrost cen energii czy ewidentna dywersja ze strony środowisk sędziowskich – i z tym trzeba się zmierzyć – ale nasz budżet na 2019 r. jest w pełni stabilny i dobrze policzony. Praktycznie wszystkie poprzednie budżety rządu PiS okazały się realne i nieprzeszacowane, a ich wykonanie lepsze od założeń. Widać wyraźnie, że to PiS, a nie PO i PSL, dysponuje znacznie lepszymi fachowcami w dziedzinie gospodarki i finansów. Przed obecną minister finansów i rządem niewątpliwie jeszcze wiele wyzwań, choćby w sferze zmian legislacyjnych dotyczących polskiego systemu podatkowego, systemu ubezpieczeń, rynku pracy i wynagrodzeń, ale najistotniejszym wymiarem tych działań będzie polska racja stanu oraz dobro naszych rodaków. I taki będzie również budżet państwa na 2019 r.

Fot. Shutterstock

AUTOPROMOCJA

12 LISTOPADA
W TYGODNIKU SIECI
DODATEK NA
KONGRES 590

PARTNERZY DODATKU
BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO
ORLEN

PARTNER TECHNOLOGICZNY
orange



Hit tygodnia

Samochód marzeń – Bugatti Chiron

Jaki fan czterech kółek nie chciałby chociaż raz zasiąść za kierownicą Bugatti Chirona, nie mówiąc już o posiadaniu tego cudu motoryzacyjnej techniki na własność? A jest już możliwość w naszym kraju, gdyż jakiś czas temu pojawił się model Chirona z 2016 r. za jedyne... 19 mln zł (tak, milionów, i już nie ma znaczenia, że chodzi o niecałe 19 mln...).

Na marcowy salon w Genewie przygotowywana jest limitowana, mocniejsza edycja modelu – mówi się o 20–40 egzemplarzach. Co prawda silnik ma być ten sam (W16 o pojemności 8 l), ale mieć o wiele więcej mocy. A to jeszcze nie wszystko – pojawiły się pogłoski o kolejnych trzech wersjach specjalnych...



AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Ford Mustang to niewątpliwie jedna z legend amerykańskiej motoryzacji, ale pochodzi z okresu, gdy o ekologii chyba jeszcze nikt nie słyszał, a tym bardziej nikt się nie przejmował ilościami paliwa, jakie pochłaniały ówczesne silniki. Ale legenda żyje... i żyć będzie na nowo! Nie wiadomo dokładnie kiedy, ale wiadomo, że niedługo, Ford Mustang pojawi się jako pojazd elektryczny. Najpierw jednak ma powstać wersja hybrydowa, z silnikiem wspomaganym przez jednostkę elektryczną (podobno 405 KM). Brzmi dobrze? Nawet bardzo!

Tesla sprzedaje coraz więcej pojazdów w Europie (choć w Polsce auta tej marki to wciąż bardzo rzadki widok). Co prawda na Starym Kontynencie nadal na pierwszym miejscu jest Lexus, ale amerykańska konkurencja goni go szybko. Lexus od początku roku sprzedał ponad 31 tys. samochodów, a Tesla – ok. 10 tys. mniej, jednakże koniec roku należy do amerykańskiego producenta, który w skali miesięcznej już wyprzedził Lexusa. A co będzie, gdy Tesla 3 pojawi się w Europie?

Dawno się nie przyglądaliśmy, co się dzieje na planie „Top Gear". A dzieje się dużo. Z ekipy prezenterów odchodzą Rory Reid i Matt LeBlanc. Szkoda tego ostatniego, tym bardziej że aktor od lat kojarzony z serialem „Przyjaciele" okazał się bardzo dobrym następcą Jeremy'ego Clarksona i spółki (wiem, że dla niektórych nigdy nie będzie lepszej ekipy niż Clarkson, May i Hammond... oraz Stig). Co prawda jeszcze ich zobaczymy w nadchodzącym sezonie, ale nowe odcinki to już będzie działka Paddy'ego McGuinessa, prezentera radiowo-telewizyjnego, i Andrew „Freddie'ego" Flintoffa – prezentera telewizyjnego i byłego gracza w krykieta (rozumiecie, w krykieta). W końcu to Wielka Brytania...

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

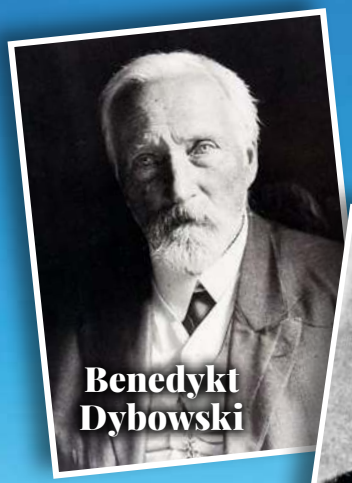
eprasa.pl e3b98bc95b

SIECI

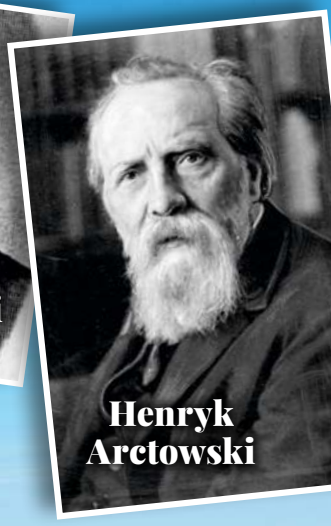
Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
– ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNALAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI


Benedykt Dybowski


Jan Czerski


Henryk Arctowski

odc. 9

Odkrywcy Antarktyki, Bajkału i Kamczatki

PARTNER DODATKU
ORLEN

Syberia nie taka straszna

Na Syberię zazwyczaj nikt nie chciał jechać. Głównie dlatego, że rzadko się z niej wracało, a jeśli, to zazwyczaj w wieku sędziwym. Ale bywało, że z Syberii nie chciało się wracać. Józef Piłsudski na przykład nie bardzo miał pomysł, co z sobą zrobić po zakończeniu pięcioletniej syberyjskiej kary i w okolicach Tunki widział równie dobre miejsce do życia jak gdziekolwiek indziej

W jego listach z tamtego okresu wyraźnie widać ślady narastającej depresji i stąd być może obojętność na kwestię powrotu do Polski, ale ze wspomnień osób znających go dobrze w późniejszych, rewolucyjnych czasach wyraźnie wynika, że o Tunce mówił zawsze z wielkim rozrzewnieniem, dodając, że chciałby kiedyś tam wrócić. Piłsudski miał na Syberii przebywać pięć lat. To sporo, ale za mało, żeby układać sobie na nowo życie, co musiał zrobić choćby starszy brat przyszłego Marszałka, Bronisław, zesłany na 15 lat katorgi na Sachalin. On nie miał wyjścia – to Syberia, a nie Polska musiała stać się gruntem, na którym będzie funkcjonował. I w czasie gdy Józef wracał do kraju robić rewolucję, Bronisław został wybitnym etnografem, badaczem języka i kultury Ajnów oraz Niwchów.



Wojciech Lada

I taki właśnie los czekał wielu zesłańców. Benedykt Dybowski miał jeszcze ułatwione zadanie. W momencie gdy wraz ze swoją rotą przybył do Irkucka, był już po trzydziestce, miał tytuł profesora, był też wybitnym przyrodnikiem. Na Syberii po prostu kontynuował swoje badania, zastając tu nieodkryty jeszcze przez Europejczyków zoologiczny raj. Już w pierwszych dniach zesłania Dybowski zapowiedział, że „choćby go zwolniono, on do Polski nie wróci, póki nie wykona zadania". I wykonywał je z pasją każdego dnia. Odkrył i opisał setki nieznanych nauce gatunków, zwierząt żywych i wymarłych, rozwiązał wszystkie zagadki tajemniczego ekosystemu Bajkału, notował uwagi o kulturach lokalnych plemion, a zapewne powstrzymał niejedną epidemię – poza wszystkimi talentami był bowiem lekarzem. W swojej deklaracji o niewracaniu do Polski nieco skłamał. Kiedy po ośmiu latach badania Bajkału, w uznaniu dla jego odkryć, uwolniono go od kary, wrócił do ojczyzny. Ale tylko na chwilę. Kilka miesięcy później był już na Kamczatce, gdzie kontynuował badania. Jako się rzekło, Dybowski był już jednak ukształtowanym badaczem, kiedy przybył na Syberię. Zupełnie inaczej Jan Czerski, który w chwili gdy rozbijano jego oddział walczący w powstaniu styczniowym, liczył sobie ledwie 17 lat, a rok więcej, gdy służył już w karnych garnizonach w syberyjskim Omsku. Nie umiał zupełnie nic, ale wystarczyło mu kilka lat czytania, by postawić na głowie całą historię naturalną – początkowo okolic Omska, później Bajkału i Zabajkala, wreszcie większej części Syberii. Okazał się genialnym samoukiem i właśnie jako człowiek nieskrępowany akademickimi normami wyniósł ówczesną geologię, osteologię, paleozoologię, a nawet archeologię na zupełnie nowy poziom. On też nie zamierzał wracać do Polski. Nie miał po co, a na Syberii znalazł wszystko: niekończące się tematy badań, nawet miłość, rodzinę i w końcu śmierć. Bardzo zresztą romantyczną.

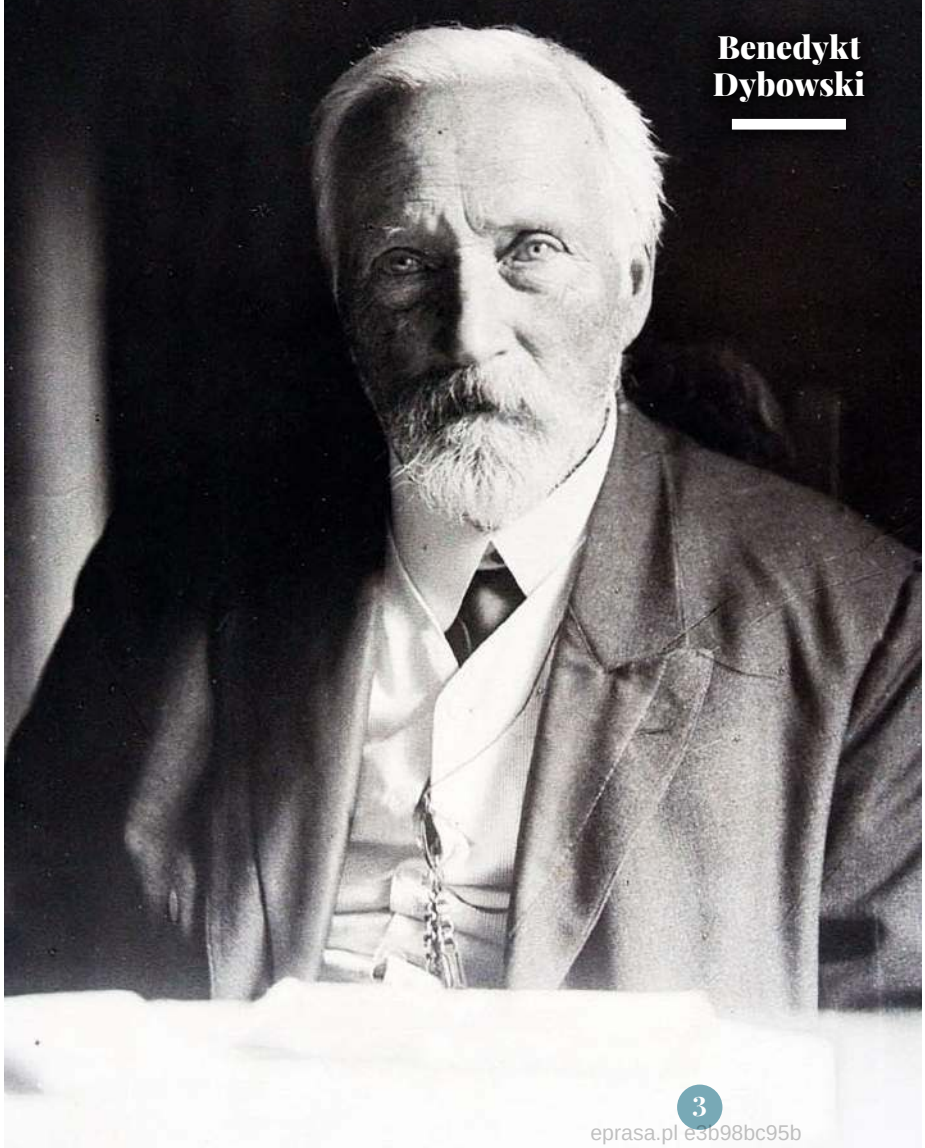
Henryka Arctowskiego nie łączy z Czerskim i Dybowskim Syberia – choć też zajmował się badaniem oraz odkrywaniem najmroźniejszych stron świata i również dla niego nauka była całym życiem, on także, z konieczności musiał uprawiać ją poza granicami Polski. Zarówno ich, jak i setki innych w podobnej sytuacji łączyło jednak przede wszystkim to, że wyrokiem sądu państwa partycypującego w rozbiorach Polski stali się największymi ambasadorami tejże Polski na świecie. Arctowski może najbardziej, bo koniec końców miał swój pośredni udział w powstaniu słynnych „14 punktów" prezydenta Wilsona, które obiecywały Polsce niepodległość, ale pozostali prawdopodobnie nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Siedząc gdzieś w mroźnych chatach na końcu świata, nie mieli pojęcia ani o swojej europejskiej sławie, ani o tym, że sława ta przypomina światu o Polsce znacznie skuteczniej niż jakiekolwiek zabiegi polityczne.

eprasa.pl e3b98bc95b

Zagadki Świętego Morza

Odkrył setki nieznanych nauce gatunków, pierwszy opisał ekosystem Bajkału. Zdobył taką renomę w świecie nauki, że o jego uwolnienie starał się nawet Otto von Bismarck. Benedykt Dybowski był wszechstronnym naturalistą, ale też lekarzem, etnografem, powstańcem styczniowym, zesłańcem i działaczem humanitarnym, który uratował przed zagładą lokalne plemiona Kamczatki

WOJCIECH LADA



Benedykt Dybowski

fot. Biblioteka Narodowa

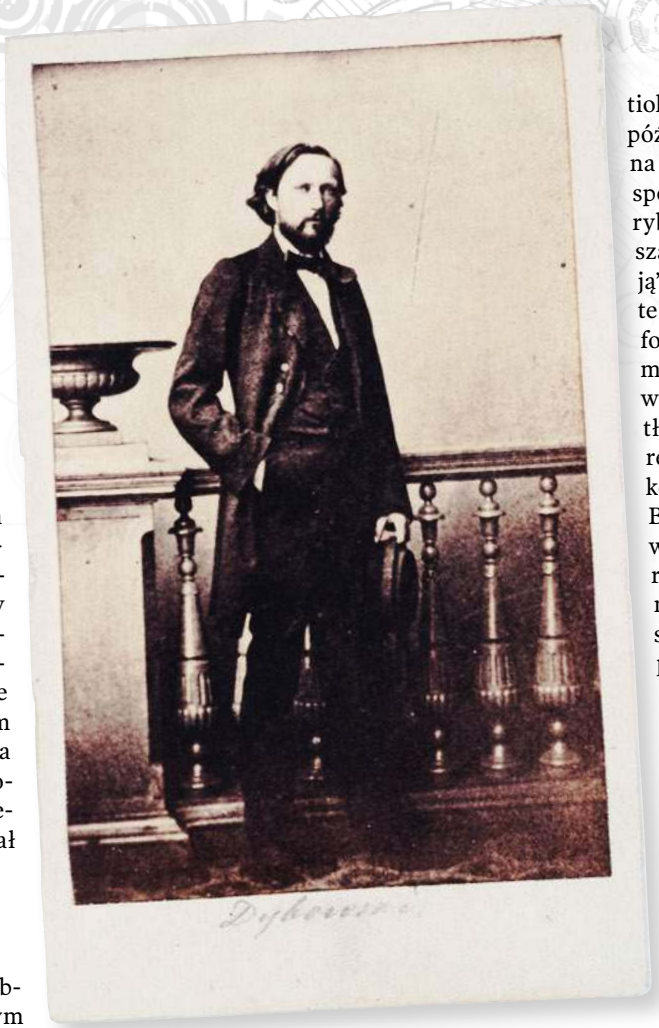
Zimą 1868 r. Dybowski myślał wyłącznie o gołomiance. Ta mała, brzydka, a w dodatku prawie całkiem przezroczysta ryba miała dwie osobliwe cechy – po pierwsze, występowała wyłącznie w wodach Bajkału, a po drugie, nikt nigdy nie widział jej żywej. Wiedziano o niej, bo raz do roku setki jej okazów pływały po powierzchni Bajkału do góry brzuchami, ale nikt nie miał pojęcia dlaczego. Zamieszkujący w okolicy Buriaci nie bardzo się tym interesowali. Wyławiali je po prostu i sprzedawali Chińczykom na tran, rosyjscy naukowcy zaś zadowolili się wyjaśnieniem, że przyczyną tej periodycznej apokalipsy gołomianki są uwalniające się z dnia jeziora gazy. Dybowski nie zgadzał się z taką opinią, ale nie miał argumentów – nad Bajkał jeszcze wtedy nie dotarł. Zabolało go jednak to, że teorię rosyjską potwierdził i opublikował jego bliski przyjaciel Aleksander Czekanowski, jeden z najwybitniejszych polskich geologów zesłańców.

„Przeciwko temu zdaniu wystąpiłem ze stanowczością, która nie podobała im się; zarzucono mnie, że bez żadnych dowodów ze swej strony zaprzeczam ich dowodom. Ale miałem już wtedy dwa negatywne dowody: mianowicie okazy gołomianek wyrzucone na brzeg Bajkału są zawsze jednostajnej wielkości, więc giną tylko okazy dorosłe. Gdyby gołomianki ginęły od gazów zabójczych, mielibyśmy okazy różnej wielkości. Gazy bajkalskie

eprasa.pl e3b98bc95b

uznałem za gazy błotne, a nie plutoniczne; gdyby gazy takie istniały, to byłyby one zabójcze i dla omoli, a jednak masowych zgonów, czy to omoli, czy lipieni, nie obserwowano na Bajkale. Jakkolwiek nie umiano mnie dać wyjaśnienia przytaczanych faktów, ale pomimo to uznano je za nieważne. Postanowiłem tedy użyć wszelkich możebnych środków, ażeby wyjaśnić kwestię zgonu masowego gołomianki" – grzmiał we wspomnieniach.

Dybowski był człowiekiem energicznym, na zesłaniu w Irkucku przebywał już wówczas od czterech lat, a miejscowe władze ceniły go bardzo jako znakomitego lekarza. Po pewnych staraniach otrzymał zgodę na osiedlenie w wiosce Kułtuk nad Bajkałem – nawiasem mówiąc tej samej, w której dwa lata wcześniej rozpoczęło się polskie powstanie zabajkalskie. Dybowski niewiele o nim jednak myślał. Myślał wyłącznie o gołomiance.



POWSTANIE I EWOLUCJA

Dybowski trafił na Syberię podobnie jak większość Polaków w tamtym czasie – za udział w powstaniu styczniowym. W gruncie rzeczy miał sporo szczęścia. Powstańcy pełniący najwyższe funkcje w organizacji zrywu skazywani byli zwykle na śmierć, a funkcja Dybowskiego należała do bardzo wysokich. Był mianowicie sekretarzem emisariuszem Komitetu Centralnego Narodowego – a więc osobliwym połączeniem tajnego agenta i wysoko postawionego dyplomaty w rządzie kraju, który co prawda nie istniał, miał za to bardzo rozbudowaną, choć konspiracyjną, sieć administracji. W dodatku zajmował się sprawami wschodnimi, a więc bardzo delikatnymi i wymagającymi zręcznej dyplomacji – w grę wchodziła kwestia przyszłego kształtu państw: niezależnej Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy czy może jakiegoś rodzaju federacji tych narodów. Tak czy inaczej jego rola była na tyle ważna, że z dużym prawdopodobieństwem mógł się spodziewać szubienicy na stokach Cytadeli.

Ale w chwili aresztowania Dybowski nie był po prostu jednym z wielu zbuntowanych Polaków. Choć miał zaledwie 31 lat, zdążył już zostać profesorem Szkoły Głównej w Warszawie, a jego dorobek naukowy był na tyle znany i ceniony w europejskich środowiskach naukowych, że o jego uwolnienie od stryczka na prośbę akademików berlińskich zabiegał sam Otto von Bismarck. Jak się okazało, skutecznie.

Nie było w tym nic dziwnego. Dybowski dobrze rokował od najmłodszych lat spędzonych w rodzinnym majątku Adamaryn, który malowniczo rozlewał się w okolicach Mińska. Nie był to jakiś wielki majątek, Dybowscy należeli raczej do średniej szlachty, wystarczający jednak, by wieść w nim względnie spokojne i całkiem sielskie życie. Zwłaszcza gdy było się dzieckiem. Benedykt mało wówczas rozumiał z kwestii ekonomicznych, za to już wtedy bardzo ciekawiło go otoczenie. Prowadził zielnik, obserwował ptaki, notując skrupulatnie swoje spostrzeżenia. Mało tego, niewiele brakowało, a już w wieku kilku lat dokonałby odkrycia, które wpisałoby jego nazwisko do podręczników ichtiologii. „Było to latem – wspominał później. – Przechodząc przez most na Nimizie z kolegą Rybałtowskim, spostrzegłem jakieś nieznane mi rybki czepiające się kamieni i poruszające się jak pijawki, gdy te pływają". Okazało się później, że dziwne te okazy były nieznaną wówczas formą metamorfozy minoga strumieniowego. Dybowskiego wprowadził w błąd miejscowy rybak, tłumacząc, że to nie ryby, lecz wiereciennice – rodzaj wodnych robaków. Gdyby miał wówczas swojego Bessera, z pewnością wspólnie dowiedliby, że wiereciennice nie są robakami, lecz właśnie młodocianą formą minoga, co zostało ogłoszone dopiero kilka lat później. Na podobny błąd Dybowski już nigdy sobie nie pozwolił.

Po ukończeniu gimnazjum w Mińsku rozpoczął studia w Dorpacie. Równolegle medycynę i zoologię, co nie pozostawiało mu wiele wolnego czasu, który zresztą i tak poświęcał głównie na obserwacje oraz badania przyrodnicze. Zabłysnął nimi dość szybko – jego napisana wówczas praca „O rybach słodkowodnych" zdobyła w Dorpacie złoty medal, zyskując także pewien rozgłos poza murami uczelni. Studia kontynuował we Wrocławiu, następnie zaś w Berlinie, gdzie w 1860 r. obronił doktorat. Obie uczelnie słynęły z wysokiego poziomu, ale to Berlin okazał się dla młodego zoologa ważniejszy. Po pierwsze, dzięki nawiązanym tu kontaktom naukowym z badaczami o europejskiej sławie. Po drugie, i chyba ważniejsze, to tu właśnie zetknął się Dybowski pierwszy raz z teoriami Karola Darwina, którego książka „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego" ukazała się zaledwie rok wcześniej. Dybowski natychmiast stał się jej wielkim entuzjastą – ona też wyznaczy charakter jego najważniejszych prac.

DROGA NAD BAJKAŁ

Na Syberię wyruszył z warszawskiego dworca petersburskiego. Nie był sam. W tym momencie w każdy czwartek odchodził stąd specjalny pociąg wywożący na wschód od 350 do 500 powstańców.

fot. Biblioteka Narodowa (2)

eprasa.pl e3b98bc95b

Jego droga wiodła przez Kazań, Tiumeń, Tobolsk, Tomsk, Kranojarsk, wreszcie Irkuck. Tu więźniowie zostali rozlokowani na dłużej w oczekiwaniu na informacje o dalszym miejscu zsyłki. Tu również Dybowski zdecydował, że nie wróci do Polski. Przynajmniej na razie. „Gdyby obecnie ogłoszoną była amnestia, wrócę do kraju nie prędzej, aż ukończę zadanie, które postawiłem sobie wykonać" – oznajmi jednemu z przyjaciół, gdy zobaczył... miejscowego głuszca. Był to niewątpliwie głuszec, a jednak wykazywał wyraźne różnice w porównaniu z głuszcami występującymi w Polsce. W głowie Dybowskiego błysnęła wówczas myśl zbadania lokalnej flory pod kątem zmian ewolucyjnych, dokonujących się pod wpływem odmiennych warunków klimatycznych.

Od tego momentu praktycznie każdego dnia zbierał okazy, preparował je i opisywał, a następnie, kiedy było to już możliwe – wysyłał do Warszawy, do tamtejszego gabinetu zoologicznego. Ich liczby z czasem stały się zawrotne, były to setki, potem tysiące opisanych egzemplarzy: ssaków, ptaków, bezkręgowców, skorupiaków i ryb. Niektóre z nich nie były wcześniej znane nauce, zaś te znane każdego dnia potwierdzały wstępną tezę Dybowskiego o ewolucyjnych mutacjach zwierząt. Dybowskiego ciągnęło nad Bajkał. Jezioro, a właściwie Święte Morze – jak nazywali je Buriaci – było wówczas jedną wielką zagadką, i to właśnie Polacy w tym momencie zaczynali ją rozwiązywać. Aleksander Czekanowski i Jan Czerski przebadali je od strony geologicznej. Wyniki ich badań są aktualne do dziś. Dybowski marzył zaś o zbadaniu jego fauny – domyślał się, że tak wielki, głęboki i odizolowany zbiornik musi skrywać mnóstwo prastarych gatunków niewystępujących nigdzie indziej na świecie. Endemitów. Takich właśnie jak gołomianka. Rozwiązanie jej zagadki stało się w pewnym momencie jego obsesją. Wreszcie zimą 1868 r. udało mu się dotrzeć nad Bajkał i osiąść z grupą badaczy zesłańców w Kułtuku.

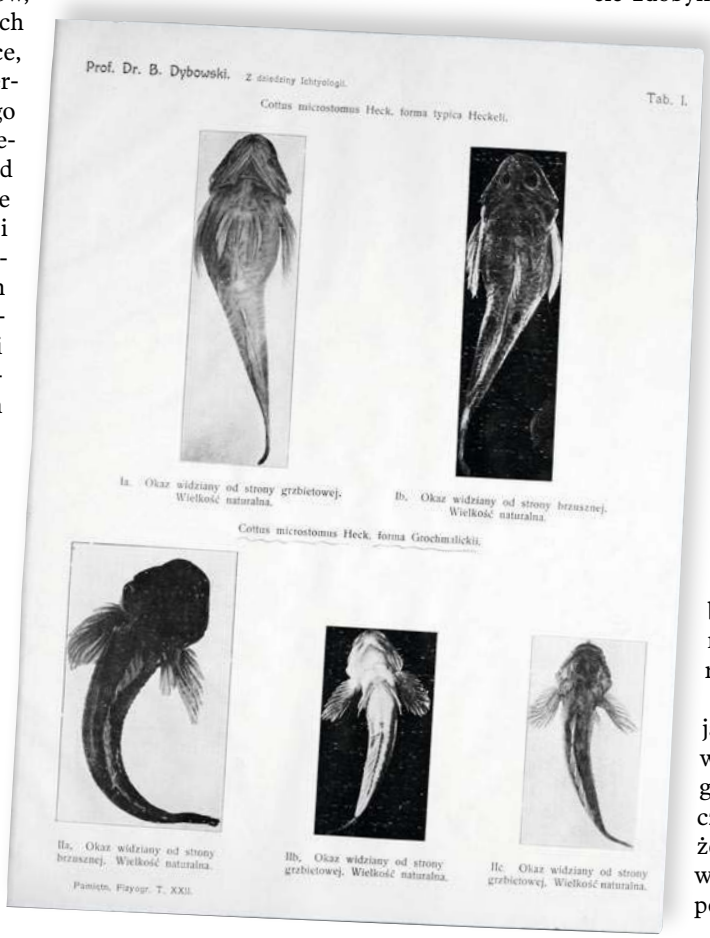
„Wieś sama licha i nędzna" – zanotował wówczas częsty gość naukowców, również zesłaniec, Józef Kalinowski. Nędzna była też chatka wynajęta od miejscowego rybaka, badaczom jednak najzupełniej wystarczyła. Nie zdążono dobrze się rozpakować, gdy gnany ambicją i ciekawością Dybowski przystąpił do badań.

„Na te gładkie przestwory jeziora, czyli morza, puściliśmy się z rana, przy jasnej, cichej pogodzie. Dno jeziora występowało z dokładnością, jak gdyby było prześwietlane od spodu. Chwilami zdawało się, że jakimś cudem stąpamy po powierzchni wody niezamarzniętej, jakgdybyśmy nie byli oddzieleni od niej żadną twardą przestrzenią. Oswoiwszy się z położeniem niezwykłym, przystąpiliśmy do badania szczegółów, w tym celu okrywszy głowę nieprzeźroczystą osłoną, zbliżyliśmy oczy do lodu. To, cośmy z pierwszego wejrzenia spostrzegli, napełniło nas radością wielką, widzieliśmy bowiem życie zwierzęce, jak nam się zdawało obfite" – wspominał później zachwycony.

Ale mimo oczarowania urodą Bajkału, nigdy nie stracił z oczu swojego celu. Już pierwsze połowy w wyrąbanych przeręblach pozwoliły się Dybowskiemu upewnić, że co do fauny Bajkału miał całkowitą rację, a już wkrótce okazało się, że sukces przeszedł wszelkie, nawet jego samego wyobrażenia. Jak notował: „Każda przerębla przynosiła nowe formy, coraz to ciekawsze, coraz oryginalniejsze. Różnorodność form, barwność kolorów pokryw ciała, dziwaczność uzbrojenia itd., wszystko to trzeba było poznać dokładnie, ocenić, wymierzyć, obliczyć i z całego chaosu najróżnorodniejszych danych utworzyć przejrzysty schemat dla możności dalszych prac w poznawaniu coraz to nowych form. Musiałem tworzyć nową anatomię dla skorupiaków, zbadałem budowę ich ciała aż do najdrobniejszych szczegółów, na podstawie tej budowy utworzyłem podział prowizoryczny, opracowałem tablicę synoptyczną".

Po kilku miesiącach codziennych badań – często przy minus 40 stopniach – Dybowski odnotował swój największy sukces. Rozwiązał tajemnicę gołomianki. „Godlewski będący u steru miał większą siatkę przy sobie, sięgnął po nią i nareszcie zdobyliśmy żywą gołomiankę" – opisywał Dybowski swój wielki dzień. Badacze umieścili słabą, lecz wciąż żywą rybę w naczyniu i pospiesznie popłynęli do brzegu. W chatce przystąpili do obserwacji, kiedy jednak poszli spać, gołomianka zdechła. Niezrażony tym Dybowski przystąpił do sekcji zwłok. Jak wspominał, nie spodziewał się znaleźć w tym okazie nic więcej, poza potwierdzeniem przypuszczeń, że gołomianka wypływa na powierzchnię w celu złożenia ikry. „Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast ikry w jajnikach znalazłem zarodki w stanie rozwoju daleko już posuniętego. Jasną było dla mnie rzeczą, że gołomianki nie składają ikry, lecz rodzą żywe młode"...

...po porodzie zaś umierają... I takie właśnie było rozwiązanie zagadki apokalipsy gołomianki – tłumaczyło, dlaczego giną wyłącznie osobniki żeńskie i będące w podobnym wieku. W jednej z trzech prac poświęconych gołomiance pod


Prof. Dr. B. Dybowski. Z dziedziny Ichtyologii. Tab. I.

Cottus microstomus Heck. forma typica Heckeli.

Ia. Okaz widziany od strony grzbietowej. Wielkość naturalna.

Ib. Okaz widziany od strony brzusznej. Wielkość naturalna.

Cottus microstomus Heck. forma Grochmalickii.

IIa. Okaz widziany od strony brzusznej. Wielkość naturalna.

IIb. Okaz widziany od strony grzbietowej. Wielkość naturalna.

IIc. Okaz widziany od strony grzbietowej. Wielkość naturalna.

Pamięt. Fizyogr. T. XXII.

eprasa.pl e3b98bc95b

ryciną przedstawiającą rybę Dybowski napisał: „Sława Bajkału... i moja". Miał rację. Kiedy kilka lat później odkryto drugi, nieco mniejszy gatunek ryby, został on oficjalnie nazwany Comephorus dybowskii.

RATUNEK DLA KAMCZATKI

Nad Bajkałem spędził Dybowski w sumie osiem lat, rozwiązując jeszcze niejedną zagadkę natury, a warszawski gabinet zoologiczny zasilając kolejnymi setkami okazów. Nawet jednak po tych wszystkich latach nie uważał, że jego misja została zrealizowana. Został uwolniony z zesłania, wrócił nawet do Warszawy, ale kiedy tylko tu dotarł, zaczął czynić starania o ponowne wysłanie na Syberię, tym razem na Kamczatkę, gdzie wystarał się po posadę miejscowego lekarza.

„Rozstawać się z rodziną, krajem rodzinnym, z Warszawą, pędzić na koniec świata, zagrzebać się gdzieś w kącie dalekim – tak wyglądał w oczach moich znajomych projekt podróży na Kamczatkę. Najbliżsi przyjaciele, a już nie mówię cała rodzina, starali się odwieść mnie od tego przedsięwzięcia. Trzeba było pokonać namowy prośby. Zrobiwszy jednak raz postanowienie, zacząłem jak najszybciej szykować się do drogi" – wspominał.

Dotarł na Kamczatkę na przełomie czerwca i lipca 1879 r. Nawet Pietropawłowsk trudno było nazwać wówczas miastem – było to kilkadziesiąt bezładnie rozrzuconych chałup na wpół zatopionych w błocie – ale w skali całej wyspy i tak była to metropolia. Zamieszkiwało tu stosunkowo niewielu Rosjan. W tych warunkach lepiej radziły sobie lokalne plemiona: Kamczadale, Koriaci, Lamuci, były też nieco mniejsze skupiska Aleutów i Kuryli. W lecie plemiona te zamieszkiwały w jurtach ze skór lub szczap drewna, w zimie preferowały prymitywne ziemianki – zasadniczo ludy te żyły jeszcze w świecie neolitycznym, żelazo znając o tyle, o ile wyroby z niego przywieźli tu Rosjanie.

I tutaj prowadził Dybowski nieustające badania fauny i flory, zbierał kolekcje i pisał rozprawy. Kilkakrotnie objechał, obszedł i opłynął półwysep. Tu jednak bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zainteresowali go ludzie. „Kamczadale i Koriaci, pogrążeni w nędzy, znajdują się pod względem ekonomicznym i patologicznym w iście rozpaczliwym położeniu, któremu nie przyświeca ani jeden promyk nadziei na przyszłość" – zanotował i natychmiast postanowił to zmienić. Kiedy stwierdził, że szata roślinna jest tu stosunkowo uboga, w porównaniu z tajgą, którą badał wcześniej – załatwił z władzami zalesianie nieużytków. Po zbadaniu warunków osobiście przetransportował na Wyspę Beringa stadko 15 reniferów – zwierząt łatwych w hodowli i rozwiązujących mnóstwo problemów żywieniowych. Po 20 latach grupka tych kilkunastu sztuki rozrosła się do kilku tysięcy – ratując zamieszkujących tam Aleutów od głodu. Tam, gdzie było to możliwe, uczył też Dybowski uprawy roli, a nawet sam ściągnął nasiona oraz sadzonki. I oczywiście leczył – głównie będącą tu prawdziwą plagą kiłę. Znalazł jednak również czas na badania etnograficzne. Już wcześniej błysnął małym, ale świetnym dziełkiem o Buriatach, jednak to lokalne plemiona Kamczatki poznał i opisał najlepiej.



Leon Dąbrowski, Feliks Zienkowicz, Henryk Wohl, Marian Dubiecki, Benedykt Dybowski

fot. NAC

Do opuszczenia Syberii nakłoniono go dopiero trzy lata później. W 1882 r. zwolniło się stanowisko dziekana katedry zoologii uniwersytetu lwowskiego. Wolne miejsce zaproponowano właśnie Dybowskiemu. „Fakultet stanowczo postanowił przedstawić ciebie jednego, a nikogo innego ani obok, ani zamiast ciebie" – pisał w liście do badacza słynny antropolog Izydor Kopernicki i zaklinał, by przyjął oferowane mu stanowisko. Dybowski uległ namowom i dwa lata później pojawił się w Warszawie witany tu jak gwiazda. W salonie znajomych przy ul. Ordynackiej, nieopodal Nowego Światu, urządził wystawę swoich kamczackich pamiątek: okazów fauny i flory, rysunków oraz fotografii, którą odwiedziły podobno tysiące warszawiaków. Zachwycał się nią i nim samym nawet Bolesław Prus w swojej „Kronice tygodniowej", publikowanej na łamach „Kuriera Warszawskiego", wspominając coś o „wzorze dla narodu", „filantropie i pionierze kultury", a także wysokiej lokacie „w historii nauk przyrodniczych". W aurze sławy Benedykt Dybowski wyruszył więc do Lwowa, by objąć stanowisko profesora.

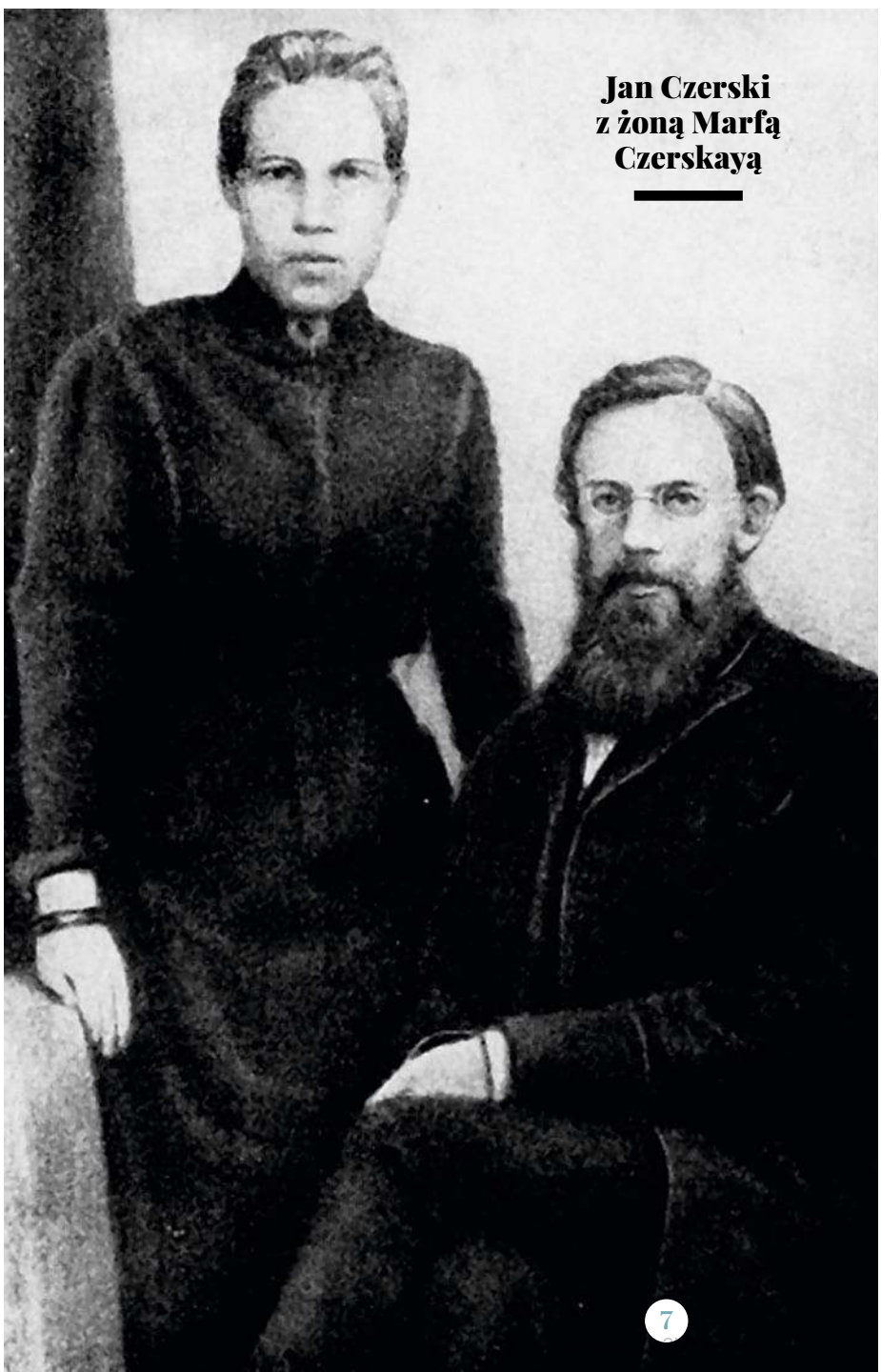
Tu dożył swoich dni, choć niewiele brakowało, by jeszcze raz trafił na Syberię, tym razem do Jakucji. Kiedy wybuchła I wojna światowa, miał 81 lat, co nie przeszkodziło Rosjanom skazać go na zesłanie. Był poddanym austriackim, tymczasem wojna zastała go w majątku siostry na terenie Rosji. Tym razem uratował go autorytet – w jego obronie stanęły chyba wszystkie możliwe instytucje naukowe Europy i osiągnęły skutek. Dybowski przeżył jeszcze 16 lat – to mniej więcej tyle samo, ile łącznie przebywał na Syberii. Symbolicznie przebywa tam nadal. Najwyższy szczyt na Wyspie Beringa nazywa się Górą Dybowskiego. Ile gatunków nosi jego nazwisko – trudno zliczyć.

eprasa.pl e3b98bc95b

W głąb Syberii

WOJCIECH LADA

Ukończył zaledwie gimnazjum, a postawił na głowie całą wiedzę o historii naturalnej Syberii. Jan Czerski był genialnym samoukiem, geologiem, osteologiem, a nawet pionierem nowoczesnej archeologii. Do dziś pięć gór w okolicach Bajkału nosi jego nazwisko



Jan Czerski z żoną Marfą Czerskayą

fot. NAC

Miał 18 lat, kiedy trafił do koszar w Omsku. Zanim to nastąpiło, uczył się w Instytucie Szlacheckim, z którego jednak w styczniu 1863 r. uciekł, by wziąć udział w powstaniu styczniowym. Nie walczył długo – jego oddział zdążył stoczyć jedną potyczkę z Rosjanami, po czym został rozbity, a jego członkowie w większości schwytani. Również Czerski, któremu z powodu niepełnoletności złagodzono karę i zasądzono pięcioletnią służbę w batalionach amurskich. Kiedy dotarł do Omska, nie miał prawie żadnego wykształcenia, cenił sobie za to rozrywki towarzyskie, którym w pierwszym okresie pobytu na Syberii oddawał się z prawdziwą pasją. Mógł sobie na to pozwolić – żołnierze, nawet skazańcy, mieli swobodę poruszania się po mieście, a Omsk był wówczas kulturalnym centrum tej części Syberii.

Rozrywki wymagają jednak pieniędzy, te zaś szybko mu się skończyły, a na ich dopływ z Polski nie mógł już liczyć, bo jego majątek przepadł w wyniku popowstaniowych represji. Od tego momentu Czerski przestał niemal wychodzić z koszar, co miało dwa skutki – po pierwsze, mocno podupadł na zdrowiu, także psychicznym. Po drugie zaś, chłonąc wszystkie dostępne książki – a wbrew powszechnemu wyobrażeniu biblioteki syberyjskich instytucji, także więzień, pełne były najnowszych dzieł naukowych – po kilku latach stał się erudytą w dziedzinie nauk przyrodniczych, głównie geologii, osteologii i paleozoologii.

Znający go z tamtego okresu Siergiej Potanin wspominał: „Aby nie nudzić się w koszarach, zaczął czytać książki z biblioteki oficerskiej. Historii naturalnej w Instytucie Szlacheckim nie wykładano zupełnie. Miał przed sobą całkiem nową,

rozległą dziedzinę nauki. Poznanie jej ograniczał zasób biblioteki, zaopatrzonej jednak w podstawowe książki przyrodnicze. Studium Darwina było dla niego oszałamiającą nowością. Szczególnie wielki wpływ wywarła na nim książka profesora Stiepana Kutorgi z Petersburga »Historia skorupy ziemskiej«. Po zapoznaniu się z podstawami geologii rozpoczął Czerski naukę astronomii: zdobył lunetę obserwacyjną i rozpoczął z balkonu oglądać niebo. W końcu był w tej literaturze lat sześćdziesiątych bardziej zorientowany niż jakikolwiek oficer batalionu omskiego. Kiedy trzeba było uzupełnić zbiory biblioteczne, koło oficerskie poleciło Czerskiemu zestawić spis nowych książek".



Снимок из архива М. Н. Черской. Сделан в Иркутске в 1879—1880 гг.

O tym, jak wiele się nauczył i jaką posiadał intuicję badawczą, najlepiej świadczy jednak nie opinia koła oficerskiego, lecz fakty. Otóż jeszcze w trakcie służby wojskowej postawił na głowie całą historię naturalną okolic Omska – na podstawie skamieniałej muszli ślimaka dowodząc, że wbrew dotychczasowym ustaleniom nigdy nie było w tej okolicy morza. Odkrycie to stało się sensacją. Czerski został dostrzeżony przez petersburską Akademię Nauk, zaczął publikować, i to rzeczy na tyle ważne, że po zwolnieniu z wojska i pewnym okresie starań uzyskał zgodę na wyjazd do Irkucka. Tam został powitany przez polskie środowisko naukowe, m.in. Benedykta Dybowskiego i Aleksandra Czekanowskiego, jako równorzędny kolega – choć był ponad 10 lat młodszy i nie miał formalnego wykształcenia. Nie tracono czasu na wylewne powitania.

Jak wspominał Dybowski: „Po powitaniu rozpoczęliśmy długą rozmowę treści przyrodniczej, z niej dowiedziałem się, że Czerski obok geologii zajmuje się zwierzętami ssącymi, a miałem właśnie ważne zagadnienie do rozwiązania, mianowicie orzec musiałem, czy okazy łasiczki górskiej stanowić mają nowy gatunek, czy też będą znane pod nazwą foetorius altaicus Pall albo foetorius altaicus Radde" – zanotował, dodając, że Czerski przyznał się wówczas do posiadania w mieszkaniu kilku egzemplarzy czaszek łasiczek i gronostajów. Dybowski nie mógł się oprzeć takiej okazji i obaj badacze niezwłocznie udali się „do jego mieszkania, na przedmieściu, w pobliżu Angary".

Dzięki wsparciu kolegów Czerski zdobył w Irkucku posadę w Muzeum Towarzystwa Geograficznego. Mając zapewniony byt, mógł przystąpić do badań. I skorzystał z okazji natychmiast. Przede wszystkim kontynuował rozpoczęte przez Czekanowskiego badania Bajkału – po kilku latach formułując obowiązującą w nauce do dziś historię jego powstania. Sławę przyniosły mu także odkrycia zmumifikowanej, a więc doskonale zachowanej fauny w jaskiniach: niżnieudinskiej i bałaganskiej, którą opisał, dając światu wiedzę o wielu nieznanych wcześniej gatunków. Odbywał też wiele wypraw badawczych, m.in. Angarą, Kołymą i Indygirką, z których obserwacje niemal całkowicie zmieniły wyobrażenie o przeszłości i geologii Syberii. Do Polski nie chciał wracać, bo nie miał po co. Stracił majątek, o losach rodziny nic nie wiedział, a na Syberii miał dokładnie wszystko, czego potrzebował w życiu – zwłaszcza wówczas, gdy się ożenił i urodziły mu się dzieci. Inna rzecz, że wiedział też, iż jest poważnie chory. Schorzenia, których nabawił się jeszcze w omskich koszarach, z czasem się pogłębiły. W listach z wypraw wspomina o pogarszającym się zdrowiu, całych tygodniach, kiedy nie był w stanie wstać z łóżka, a jego towarzysze opowiadali o nieznośnych bólach, na jakie cierpiał. Kiedy w 1891 r. ruszał w kolejną wyprawę na Kołymę, domyślał się, że prawdopodobnie z niej nie wróci. W liście do Potanina przyznawał: „Gdyby przyszło nawet szybko odjechać ad Patres, to umierając, mogę się pochwalić, że przy moich pracach, albo dokładniej, dzięki tym pracom ani razu nie tęskniłem i nie wiedziałem, co to nuda, nie bacząc na to, że od życia potrzebowałem stale świeżych i silnych wrażeń".

Do końca nie tracił humoru. Jak pisał: „W ogóle nie boję się śmierci – wcześniej czy później wszystkim nam jedna droga. Mogę tylko się cieszyć, że umieram w waszych okolicach. Za wiele, wiele lat jakiś geolog może znajdzie moje ciało i przekaże je z jakimś zamiarem do muzeum".

To prawdopodobne. Zmarł na środku Kołymy w okolicy o skalistych brzegach, więc z konieczności nie pochowano go zbyt głęboko. Prawdopodobnie 7 lipca 1892 r.

fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl e3b98bc95b

W lodach Antarktyki

WOJCIECH LADA

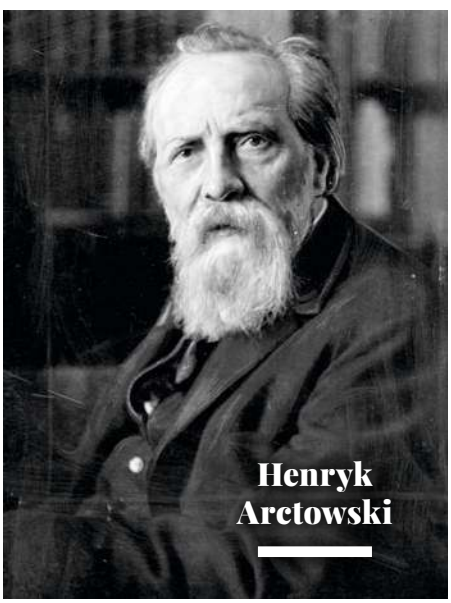
Polacy usłyszeli o Henryku Arctowskim w 1903 r., choć urodził się w Warszawie i w Polsce mieszkał przez pierwszych kilkanaście lat życia. Ale już studia oraz pierwszy okres pracy naukowej związał z Francją i, przede wszystkim, Belgią. Nie zmienia to jednak faktu, że w 1903 r. wciąż czuł się Polakiem – zmienił nawet rodowe nazwisko z Artzt na Arctowski

Był osobą wyjątkowo wszechstronną i głodną wiedzy. Podczas studiów w Liège poznał matematykę i fizykę – chciał zostać astronomem, ale... się rozmyślił. Kiedy wkrótce przeniósł się do Paryża, uczył się tam chemii i geologii, w tym geochemii i mineralogii – nimi też zajmował się naukowo po ukończeniu studiów, wkrótce stając się wybitnym specjalistą od skał magmowych i minerałów skałotwórczych. Dla młodego człowieka (w 1895 r. miał zaledwie 24 lata) to było wciąż mało. Kiedy otrzymał propozycję wzięcia udziału w wyprawie na Antarktykę, zanim ją przyjął, najpierw wyjechał do Anglii, gdzie zaczął studiować oceanografię i meteorologię, a następnie do Szwajcarii, gdzie dodatkowo poznał glacjologię.

Gdy w 1897 r. wyruszał na statku „Belgica" w kierunku Antarktyki, był przygotowany do tej wyprawy pod każdym względem. Jej przebieg opisał oficer marynarki belgijskiej i polarnik Adrien de Gerlache de Gomery (kierownik ekspedycji) w książce „Piętnaście miesięcy na Oceanie Antarktycznym" – niezwykle popularnej, uhonorowanej nagrodą Akademii Francuskiej, w Polsce zaś wydanej w 1903 r. w przekładzie Zofii Nałkowskiej. Z niej właśnie Polacy pierwszy raz dowiedzieli się o Henryku Arctowskim.

Ale dowiedział się o nim również cały świat. Młody polski naukowiec otrzymywał propozycje od uniwersytetów w Europie i Ameryce, podjął jednak pracę w Królewskim Obserwatorium w belgijskim Uccle, gdzie poświęcił się opracowywaniu materiałów pozyskanych podczas wyprawy. Był też inicjatorem dalszych badań Antarktyki. Wyniki jego badań dodatkowo wzmocniły pozycję Polaka w świecie nauki. Ustalił np. analogie między budową geologiczną gór Półwyspu Antarktycznego i Andów, odkrył podniesienie się granicy śniegu, a także wyliczył, że klimat Antarktyki jest znacznie zimniejszy, niż sądzono. Warto pamiętać, że czas na obserwacje dała mu sama Antarktyka, która uwięziła na wiele miesięcy „Belgicę" w swoich lodach. Przez kolejne lata Arctowski pracował głównie naukowo, początkowo w Belgii, a następnie w USA. W 1910 r. uczestniczył we francuskiej wyprawie na Spitsbergen i Lofoty, a po powrocie został dyrektorem działu przyrodniczego Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, prowadząc przy okazji pionierskie badania nad zmianami klimatu. W uznaniu dla jego prac naukowych, ale z pewnością też za promowanie polskości (Arctowski uczestniczył w pracach Komisji do spraw Polski Edwarda M. House'a) Uniwersytet Franciszkański we Lwowie przyznał mu doktorat honoris causa w 1912 r. We Lwowie osiadł i kierował katedrą geofizyki i meteorologii na uniwersytecie Jana Kazimierza, kiedy powrócił do kraju po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Nie podejmował już wypraw, ale naukowo pracował niezwykle intensywnie. Do 1939 r. opublikował ponad setkę prac naukowych, zredagował też 10 tomów „Komunikatów Instytutu Geofizyki i Meteorologii UJK".

Tuż przed wybuchem II wojny światowej należał do najwybitniejszych klimatologów świata, o czym świadczy choćby to, że został wybrany na prezesa Międzynarodowej Komisji Zmian Klimatu. Właśnie na jej konferencję wyjechał do Waszyngtonu w 1939 r. i tam pozostał już do śmierci. Zmarł w roku 1958.



Henryk Arctowski



Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego

25/0418/F

eprasa.pl/e3098be95b



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl e3b98bc95b

Hit tygodnia

Xiaomi Mi Mix 3



Xiaomi Mi Mix 3 to już trzecia generacja tego smartfona, ale pierwsza z 10 GB RAM (dostępne będą również wersje 8 oraz 6 GB). Jest to również pierwszy smartfon w ofercie producenta z wysuwanym przednim aparatem oraz specjalnym przyciskiem aktywującym asystenta AI – Xiao. Niestety, bateria wydaje się dość słaba jak na ten sprzęt: zaledwie 3200 mAh, jednak należy dodać, że ma szybkie oraz bezprzewodowe ładowanie. Co ciekawe, Xiaomi postanowiło dołączyć do każdego zestawu bezprzewodową podstawkę ładującą o mocy 10 W. Jeśli chodzi o aparat, nieodzowną już część smartfona, to ma 12 Mpix i obiektyw o jasności f/1,8, drugi – 12 Mpix z teleobiektywem × 2 o jasności f/2,4. Cena produktu w Chinach zaczyna się od 3 299 juanów (ok. 1,8 tys. zł). W Polsce telefon będzie dostępny w ciągu najbliższych miesięcy. Cena, dostępne kolory oraz wersje w Polsce będą ogłoszone w późniejszym terminie. **premiera**

Plusy i minusy

+ wygląda, mimo pewnych słabszych stron jak bateria, całkiem dobrze
– zobaczymy, jak już będzie można go wypróbować

Plantronics Savi 8200 Series i Voyager 4200 UC Series



Plantronics, pionier dźwięku i lider technologii komunikacyjnych, prezentuje zestawy słuchawkowe Savi 8200 Series i Voyager 4200 UC Series, które w znacznym stopniu eliminują zbędny hałas podczas codziennej pracy i pomagają się skupić pracownikom podczas wykonywania ich obowiązków. Savi 8200 ma zasięg aż do 180 m, zawiera funkcję aktywnej redukcji szumów (ANC) i nową funkcję ograniczania dźwięku otaczających rozmów; Voyager 4200 UC łączy w sobie swobodę komunikacji bezprzewodowej oraz wysięgnik mikrofonu zapewniający czyste rozmowy. Zestawy słuchawkowe Voyager 4200 UC są pierwszymi urządzeniami z serii Voyager, które otrzymały certyfikat Skype for Business Open Office. Savi 8200 i Voyager 4200 zintegrowane są z Plantronics Manager Pro, dzięki czemu pracownicy działów IT mogą centralnie zarządzać tymi urządzeniami, aktualizując je i udostępniając nowe funkcje. **premiera**



Vordon DVR-140

Vordon DVR-140 to rejestrator skierowany do tych użytkowników, którzy poszukują niezawodnej, prostej w obsłudze kamery samochodowej bez nadmiaru zbędnych funkcji, a przy tym atrakcyjnej cenowo. Kamera DVR-140 nagrywa wideo w rozdzielczości Full HD 1920 x 1080 przy 30 klatkach na sekundę. Vordon DVR-140 wyróżnia się wyjątkowo dużym kątem widzenia 170°, dzięki czemu obiektyw może objąć nie tylko jezdnię przed samochodem, lecz także wyloty bocznych ulic i dróg, a także pobocza i chodniki. Rejestrator zapisuje klipy wideo w pętli na karcie pamięci micro SD (do 32 GB), zastępując starsze nagrania nowszymi. Gdy dojdzie do stłuczki, samochód wpadnie w dziurę w jezdni lub będzie ostro hamował, film zostanie zabezpieczony przed nadpisaniem, dzięki czemu materiał dowodowy nie przepadnie. Czuwa nad tym czujnik przeciążenia (G sensor), plik można też manualnie oznaczyć jako nieusuwalny, wciskając klawisz na urządzeniu. Wideorejestrator pozwala także na skorzystanie z trybu parkingowego. Gdy po zaparkowaniu pojazdu Vordon DVR-140 wykryje drgania samochodu, kamera włączy się na kilkanaście sekund, zarejestruje zabezpieczony obraz wideo, a następnie, gdy już sytuacja się uspokoi, znów przełączy się w tryb czuwania. **cena: 199 zł**

Sprostowanie

W tygodniku „Sieci” z 10 września br. przy opisie produktu Vordon HT-869BT pojawiło się niewłaściwe zdjęcie. Za pomyłkę przepraszamy.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl e3b98bc95b



Kulinarne bitwy Matteo

MATTEO BRUNETTI
FINALISTA POLSKIEJ EDYCJI „MASTERCHEFA"

Jestem osobą otwartą na nowe smaki i kultury. Nie mam jednej ulubionej kuchni, najbardziej lubię oczywiście włoską, ale też francuską czy japońską. Francuska kuchnia zachwyca mnie przemianami, które przechodzi, zawsze jest w niej coś nowego. Natomiast włoska kuchnia wprowadza nowe smaki z użyciem prostych składników i dań. Tym podejściem japońska kuchnia bardzo przypomina mi włoską. Od kiedy mieszkam w Polsce, w mojej kuchni zdecydowanie częściej pojawiają się kiszonki i wszelkiego rodzaju tłuszcze.

Muszę przyznać, że byłem zachwycony propozycją udziału w programie „Bitwa na smaki: David vs. Matteo" i nie mogłem się doczekać dnia, w którym wejdę na plan. Od dawna marzyłem, żeby mieć własny program i móc się podzielić swoją wiedzą z szeroką publicznością. Kuchnia+ dała mi tę możliwość.

Davida Gaboriauda [współprowadzącego francuskiego kucharza – dop. red.] nie miałem okazji poznać przed rozpoczęciem nagrań, nie wiedziałem więc, czego się spodziewać. Na szczęście okazał się świetnym człowiekiem. Nie mogę powiedzieć, że to mój przeciwnik, raczej dobry przyjaciel, z którym wiele mnie łączy. Spotkaliśmy się jednak na planie „Bitwy na smaki...".

Jestem wojownikiem z krwi i kości. Nigdy się nie poddaję, mierzę się z przeciwnościami i walczę do końca. Nie tylko w kwestii kulinariów. Także w codziennym życiu. Bardzo lubię rywalizację, ale nie tylko po to, żeby wygrać. Najważniejsze są cały proces dojścia do wygranej i to, czego można się nauczyć od konkurentów.

Jeżeli chodzi o moją bitewną strategię w programie, jest taka sama jak moje motto życiowe: „Nigdy się nie poddawać i dawać z siebie, przy każdym wyzwaniu, ponad 200 proc.". Wtedy, cokolwiek się wydarzy i jakikolwiek będzie finał, nie będę mógł mieć do siebie żalu za ewentualne niepowodzenia.

W mojej rodzinie nie wszyscy gotują, ale wszyscy lubią dobrze zjeść. Pasję do gotowania przekazała mi mama [Polka – przyp. red.], ale potrzeba gotowania rozwijała się we mnie wraz z dorastaniem. Właściwie dopiero kiedy skończyłem 18 lat, zacząłem się tym na serio interesować i przygotowywać posiłki dla siebie oraz bliskich.

Pierwszą potrawą, którą zrobiłem sam, były naleśniki, ale popisowym daniem stało się semifreddo z białej czekolady i kokosa. Przygotowywałem ten deser w każdą niedzielę na rodzinne obiady.

Od kilku lat w moim sercu króluje tylko jedna, chyba najbardziej włoska potrawa ze wszystkich, czyli moja ukochana pasta alla carbonara, oczywiście bez śmietany. To też jest moje popisowe danie. Robię je dla siebie i dla najbliższych, nawet kilka razy w tygodniu, ale do przepisu zaproponuję coś innego.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna



Kulki smażone z ziemniaków

Składniki: 400 gramów ziemniaków, 200 gramów mąki pszennej, 16 gramów proszku do pieczenia, jajko, sól, pieprz do smaku.

Do farszu: 100 gramów prosciutto cotto, 70 gramów oscypka, świeże oregano, 1 l oleju do smażenia.

Przygotowanie: Obrać i ugotować ziemniaki. Ugotowane wymieszać z mąką, proszkiem do pieczenia, jajkiem i odrobiną soli. Powstałe ciasto rozwałkować i za pomocą szklanki wykroić kółka. Pokroić szynkę i oscypka na kawałki, doprawić oregano, solą i pieprzem. Farsz ułożyć na środku wyciętego kółka i przykryć drugim kółkiem. Dobrze skleić dwa kawałki ciasta. Usmażyć na głębokim tłuszczu w temperaturze 180°C, aż będą złoto-pomarańczowe.

Fot. Mat. prasowe, Shutterstock

eprasa.pl e3b98bc95b

SŁODKO-SŁONY

Pomysł na jabłko



ANNA MONICKA

Kiedy czytam, że mamy za dużo jabłek w Polsce, że nie ma na nie pomysłu, że klęska urodzaju..., że się nie opłaca zbierać, robi mi się słabo. Przecież jabłka to świetne, zdrowe owoce, a do tego tanie. Można z nich zrobić mnóstwo pysznych potraw, dodawać do sałatek, mięs, ciast. Tłoczyć soki, dusić, piec. Wykorzystać można nawet skórki i ogryzki.

Przystawka – jabłka z oscypkiem i cebulką. Wszystkie składniki kroimy w cieniutkie półksiężyce i posypujemy solą. Podajemy w salaterce.

Doskonale czuje się także w zupie, i to wcale nie owocowej, lecz w witaminowym, rozgrzewającym musie, którego podstawą jest na przykład dynia piżmowa. Dynię kroimy w kostkę i pieczemy na blasze, w tym czasie podsmażamy w garnku na oliwie posiekaną cebulkę z czosnkiem i chili. Wrzucamy dynię, jabłko bez gniazdka, doprawiamy masalą lub samym cynamonem, mieszamy cały czas, podsmażając, zalewamy bulionem i miksujemy. Doprawiamy sokiem z cytryny i posypujemy kolendrą. Podajemy z grzankami czosnkowymi. Świetnie pasuje do selera – i zupy warzywnej, w której on właśnie gra główna rolę. Początek jest taki sam – podsmażamy cebulkę i czosnek. Wrzucamy pokrojone w kostki warzywa: seler naciowy, marchewkę, duże kwaskowate jabłko i posiekany kawałek imbiru. Podsmażamy, dodajemy bulion warzywny, miksujemy. Możemy podprawić jogurtem.

Na drugie danie – indyk w jabłkach. Lekki i przyjemny kawałek mięsa, które nie leży długo na wątrobie. Pieczemy w folii, żeby delikatny i mało tłusty indyk nie wysechł. Posypujemy obficie majerankiem. Możemy też posmarować mięso jabłkowym musem i podlewać sokiem z jabłek z miodem i solą. Doskonale pasuje do sałaty masłowej skropionej limonką i pieczonych ziemniaków.

Deser – nic nie przebije jabłuszek pieczonych, nadzianych rodzynkami moczonymi w rumie.

Na wynos – jeśli macie suszarkę do grzybów, koniecznie zróbcie z jabłek czipsy, trzeba tylko usunąć gniazdka i pokroić owoce w plastry. Trwa to kilka godzin, ale radość jest wielka, dziecko ma zdrową przekąskę do szkoły, a i susz do wigilijnego kompotu gotowy.

Na ogryzkach i skórkach nastawiamy ocet – zalewamy je przegotowaną wodą w wyparzonym słoju, słodzimy (2–3 łyżki cukru na litr wody), nakrywamy gazą i ustawiamy w ciepłym miejscu. Mieszamy codziennie, żeby nie zrobiła się pleśń. Po trzech tygodniach przelewamy płyn do słoja (bez owoców) i czekamy kolejne trzy tygodnie na ocet. Jest delikatniejszy i zdrowszy od spirytusowego.

WILCZYM OKIEM

Pstrągi świętej Anny

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakiś czas temu wybrałem się do kościoła św. Anny stojącego przy ulicy św. Anny w Krakowie. Kościół jest duży, barokowy, o jasnych ścianach i miedzianym, zielonkawym, szlachetnie zaśniedziałym dachu. Stoi tuż przy drzewiastym pierścieniu Plant okalających Rynek i Stare Miasto; kiedyś za kościołem kończył się gród, a wznosiły się mury miejskie z fosą u stóp. Kościół jest kolegiatą uniwersytecką, a że o 21.30 odbywają się w nim najpóźniejsze w mieście msze, wieczorami w niedziele skupia studentów wracających z plecakami z rodzinnych domów lub z górskich, weekendowych wycieczek (wówczas plecak uzupełniony jest zabłoconymi, górskimi butami) oraz liczne grono klasycznych krakowskich oryginałów.

W pewnym momencie mój wzrok, błądzący nieco wbrew mojej woli po pięknym wnętrzu, padł na kolumnę w lewej nawie. Znajdowała się na niej niepozorna płaskorzeźba wyobrażająca dwie ryby. Z przyzwyczajenia zacząłem się zastanawiać, czy artysta miał na myśli jakiś konkretny gatunek. Płetwa tłuszczowa, czyli mały wyrostek tuż przed płetwą ogonową, świadczyła o tym, że każda z ryb należy do łososiowatych. Kształt ich sylwetek również. Coś więcej? Jest! Poczułem się jak wędkarz zacinający rybę lub rybak odkrywający, że sieć nie jest pusta. Rząd cętek wzdłuż boku świadczył, że to pstrąg potokowy. Jedyny rodzimy pstrąg.

Gdy kupujemy pstrąga w sklepie albo zamawiamy smażonego w restauracji, to nawet jeżeli jest z pobliskiego stawu, prawie zawsze jest to pstrąg tęczowy – pochodzący z zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej. Abstrahując od cech wyglądu, jeśli płaskorzeźba od św. Anny jest tak stara, na jaką wygląda, nie mogłaby przedstawiać pstrągów tęczowych, zostały one bowiem sprowadzone do Europy w 1882 r.

Pstrągi tęczowe są hodowane i tuczone w stawach na masową skalę. Żyją wprawdzie w Polsce dziko, ale jako uciekinierzy z hodowli lub wypuszczane podczas zarybień. Prawdziwym dzikim pstrągiem polskich rzek jest natomiast szlachetny pstrąg potokowy. A że szlachetność idzie w parze z dzielnością, zamieszkuje on kamieniste, natlenione, czyste, zimne i ubogie w pokarm nurty, będąc często jedyną rybą, która jest w stanie przetrwać w wodach zwanych „krainą pstrąga".



Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl e3b98bc95b

Już nie potrafimy

PIOTR SKWIECIŃSKI

Porównując w wywiadzie dla „Plusa-Minusa" polskie wojny wewnętrzne, tę obecną z tą międzywojenną, prezydent Andrzej Duda ocenił konflikt sprzed '39 roku jako „niewyobrażalnie bardziej radykalny", i uznał, że „to są sytuacje nie do porównania". A to dlatego, że wtedy były akty prawdziwej przemocy, terroru, morderstwa (Narutowicz), wydarzenia krakowskie 1923 r. (kiedy to w walce polskich robotników z polskim wojskiem zginęło jednych i drugich łącznie 32 osoby), zamach majowy, Bereza. „To był inny świat" – powiedział prezydent. „Nie chcemy pamiętać o tamtych czasach w ten sposób i o tym, że ojcowie niepodległości w II RP wcale się z sobą nie przyjaźnili... To była wrogość, a nie szorstka przyjaźń".

Do rejestru prezydenta dodałbym jeszcze strajk chłopski '37 (44 zabitych), wydarzenia lwowskie '36 (być może aż 49 zabitych), hańbę Brześcia, gdzie katowano opozycjonistów, zamordowanie na rozkaz lub przynajmniej za wiedzą Piłsudskiego generała Zagórskiego. Z rzeczy mniej wymiernych powiedziałbym o zadufaniu sanacji, że stanowi jedyną prawdziwą elitę kraju, skontrastowaną z endeckim przekonaniem, iż to narodowcy stanowią cały w zasadzie polityczny naród polski, godny tego miana. Tak można by długo i przekonująco.

A jednak bardziej się z prezydentem w tej sprawie nie zgadzam, niż zgadzam.



Obecni Polacy nie zabijają się wcale nie dlatego, że nie chcą, tylko dlatego, że nie potrafią

Bo to prawda – wtedy Polacy mordowali się wzajemnie, a dziś (nie licząc tragicznego przypadku Marka Rosiaka) się jednak nie mordują. I pod tym względem sytuacja jest oczywiście lepsza. Zastanówmy się jednak – właściwie dlaczego się nie mordują? Jeśli poprawnie czytam myśl prezydenta, to jest on skłonny sądzić, że dlatego, iż mniej niż wtedy się obecnie nienawidzą.

Otóż moim zdaniem jest inaczej. Nienawidzą się bardziej niż wtedy. A nie zabijają, bo... bo czasy się zmieniły, zmieniła natura ludzka i ludzka gotowość do zadawania (ale w związku z tym również: do przyjmowania) śmierci, a także do posługiwania się (a więc: i do mniejszego niż dziś bulwersowania się, gdy ktoś nam ją zadaje) przemocą fizyczną.

Innymi słowy, to, że obecnie Polacy się wzajemnie nie zabijają, wcale nie świadczy o tym, że konflikt między nimi jest słabszy. Oni się nie zabijają, bo próg tolerancji na fizyczną agresję w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci drastycznie się obniżył. W czasach, o których mowa, było na przykład rzeczą normalną, że co któryś chłopiec nie miał jednego oka. Drugie stracił w czasie walk między chłopakami na kamienie i nikogo to nie bulwersowało nawet w sferach inteligenckich. Dziś w takim wypadku w robocie byłaby prokuratura. Wtedy bójki między mężczyznami (w warstwach elitarnych przyjmujące wysublimowaną formę pojedynku) również były czymś normalnym, akceptowalnym. Dziś są wielokrotnie rzadsze.

Ta zmiana obyczajów w Polsce zaczęła się, nawiasem mówiąc, gdzieś w okresie gomułkowskim. Świadczy o tym spektakularnie różny pod pewnym kątem widzenia przebieg wypadków poznańskich '56 i grudnia '70. Rozdziela je tylko 14 lat, a jakaż różnica. W pierwszym wypadku zbuntowany tłum owładnięty był jednym dążeniem – zdobyć broń i strzelać, i zabijać, mentalnie zgadzając się na ewentualność, że w związku z tym samemu będzie się zabitym. W drugim wypadku zbuntowani reagowali i działali zgoła inaczej – a przecież, podobnie jak ich wcześniejsi koledzy z Poznania, należeli do najodważniejszych w swoich rocznikach.

Mówiąc brutalnie: obecni Polacy nie zabijają się nie dlatego, że nie chcą, tylko dlatego, że już nie potrafią. Gdyby jakimś cudownym sposobem wyposażyć ich na chwilę w psychikę ich pradziadków... Lepiej sobie tego nie wyobrażać.

Tym bardziej że od owych pradziadków różni ich jeszcze jedno. Oni się potrafili, i owszem, mordować. Ale zarazem – chyba – mniej się nawzajem odrzucali. I coś ich podskórnie łączyło. Trochę chyba to, że pokolenia ukształtowane pod rozbiorami potrafiły docenić istnienie wolnej Polski jako najważniejszego, wspólnego, łączącego Polaków ponad podziałami dobra; młodsi czuli to już niestety mniej. Ale głównie dlatego, iż taka była w ogóle cecha starej kultury, że nienawiść i nawet zabijanie się nie wykluczały jakiejś dozy wzajemnego, specyficznego szacunku. Świadczy o tym choćby względna łatwość, z jaką – kiedy przyszło co do czego – ci sami, którzy jeszcze przed chwilą gotowi byli się mordować i planować operacje, skutkiem których musiałyby nastąpić politycznie motywowane rzezie, potrafili zacząć się dogadywać. Współdziałać.

Myślę tu o podziemiu okresu okupacji. Chciałbym się mylić, ale sądzę, że gdybyśmy dziś stanęli przed podobną próbą, nie zdalibyśmy jej. I żadna tam Rada Jedności Narodowej nigdy by nie powstała. Na zasadzie: „No co ty?! Z tymi... [tu proszę wstawić dowolne słowo, powszechnie uważane za obraźliwe] mielibyśmy coś razem zrobić...?!".

Czy z dwojga złego lepiej się zabijać, ale zarazem szanować, czy nie potrafić się zabijać, ale za to sobą nawzajem pogardzać? Nie poważę się nawet próbować odpowiedzieć na to pytanie.

Fot. Andrzej Wiktor

32/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki



Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A. innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

eprasa.pl e3b98bc95b



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Jeszcze o pierwszej turze

Bez szczegółowych badań socjometrycznych i socjologicznych populacji mieszkańców dużych miast trudno jednoznacznie ustalić motywy wyborczych decyzji

Ubiegły numer tygodnika „Sieci" zachowam w prywatnym archiwum. Zawiera wiele wnikliwych spostrzeżeń po pierwszej turze wyborów samorządowych. Publicyści i felietoniści obiektywnie opisali kampanię mającą cechy ogólnopolskiego plebiscytu, czyli głosowania w zasadzie na dwa polityczne bloki – Koalicję Obywatelską oraz rząd utożsamiany z Prawem i Sprawiedliwością. O ile jednak PiS prezentowało swój program samorządowy i dokonania rządu, które można przełożyć na sukces w terenie, o tyle opozycja postawiła na „totalną" negację rządu oraz PiS. I bądźmy pewni, że nie odpuści także za rok. Nadal będzie wplątywać zagranicę w wewnętrzne polskie sprawy, rysując czarny obraz Polski pod rządami PiS, a siebie jako heroiczną, demokratyczną opozycję zatroskaną o stan praworządności, konstytucję, wolne sądy i media oraz o godne miejsce Polski w Europie. Doskonale wiedzą, że nie ma to nic wspólnego z prawdą. Nie o prawdę tu jednak chodzi. Celem jest odsunięcie PiS od władzy, a środkiem utrudnianie uczynienia Polski w pełni suwerennym w Europie podmiotem. „Totalna opozycja" nie zejdzie z tej drogi, tym bardziej że „totalna" negacja, jak się okazuje, przynosi pewne efekty, a przy tym minimalizuje koszty i do niczego nie zobowiązuje. Nie trzeba obiecywać, prezentować programu, pomysłu, wystarczy się skupić na utrzymaniu w gotowości twardego elektoratu w walce ze znienawidzonym PiS.

Postawa wyborców dużych miast musiała jednak zaskoczyć zarówno rządzących, jak i opozycję. Kto by przypuszczał, że tak przez nas długo oczekiwana i tak społecznie pożądana wysoka frekwencja wyborcza (w Warszawie aż 66 proc.) obróci się przeciwko PiS, że zmobilizuje jej negatywny elektorat. Wśród komentatorów „Sieci" przeważa pogląd, że ta nadfrekwencja w dużych miastach została wywołana zbyt intensywną kampanią wyborczą i dlatego zadziałała niekorzystnie dla PiS. Mam pewne wątpliwości może dlatego, że przez lata byłem przekonany, iż to właśnie wysoka frekwencja musi wpływać korzystnie na dobrą zmianę. Czyją kampanię można nazwać „zbyt intensywną", pozytywną kandydatów PiS czy negatywną opozycji? Czy jeden telewizyjny materiał o zagrożeniu migracją mógł do tego stopnia oburzyć zwolenników Koalicji Obywatelskiej, że ruszyli do urn, aby pogonić w Warszawie Patryka Jakiego? Czy może jednak na zwiększoną frekwencję wpłynęło ciągłe straszenie wyborców polexitem? Z tym bym się zgodził, ale to potwierdza moją teorię, że „zbyt intensywna" była raczej kampania opozycji, tym bardziej że dysponowała medialną przewagą. Trudno mi uwierzyć, że „zbyt aktywna" kampania Jakiego zaszkodziła mu, bo uruchomiła jego negatywny elektorat. Przecież wykazał się skutecznością, walcząc ze złodziejami kamienic, zaprosił do swojej kampanii lewicowca Piotra Guziała, zrezygnował z członkostwa w partii.

Jak to możliwe, że aktywny kandydat może wywołać tak negatywną reakcję, a kandydat więcej niż bierny, a takim był Rafał Trzaskowski, dzięki swojej byleja-kości potrafi zdobyć poparcie i wygrać w pierwszej turze? A w jaki inny sposób nowi kandydaci mogą zyskiwać wyborców, jeśli nie przez prezentację swoich sylwetek i programów? Jeżeli jest tak, że kandydaci na prezydentów dużych miast, ludzie nowi, nieskompromitowani, pełni zapału i pomysłów przegrywają wybory z miejskimi oligarchami, kandydatami oskarżanymi o korupcję, po wyrokach sądowych, to mamy poważny problem natury etycznej. Czy mając do wyboru dwóch kandydatów, tak trudno sobie wyobrazić sytuację, który z nich, z większym prawdopodobieństwem, oddałby nam pożyczone pieniądze? Pamiętając jeszcze o Trzaskowskiego 20-groszowym „darze serca" dla warszawskiej staruszki.

Bez szczegółowych badań socjometrycznych i socjologicznych populacji mieszkańców dużych miast w wieku 40 lat i więcej trudno jednoznacznie i precyzyjnie ustalić motywy wyborczych decyzji. Na ile są samodzielne, a na ile stymulowane przez kłamliwą propagandę. Na razie możemy się tylko domyślać, że przeciw Jakiemu zagłosowała grupa ludzi raczej zadowolonych ze swojego status quo. Czy uznała, że lepsze, które prezentował Jaki, jest wrogiem dobrego, czyli kandydata opozycji? I czy rzeczywiście jest tak, o czym przekonuje w wywiadzie dla Jacka i Michała Karnowskich prof. Waldemar Paruch, że „swojej szansy PiS może upatrywać tylko w miastach małych i średnich, [...] gdyż w wielkich miastach w ciągu roku wiele zrobić się nie da, bo wymaga to pracy niemal pokoleniowej"? Nie wierzę, że jest aż tak źle i że nic nie da się z tym zrobić. Dlatego przyszła kampania powinna być jeszcze bardziej intensywna, ale to wymaga zrównoważenia siły mediów.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl e3b98bc95b

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Z życia much



Witold Gadowski

– Przy drodze leżał cierpiący człowiek. Był ranny, jego rana ropiała. Oblepiła ją chmara much. Podniecone roiły się na biednym człowieku. Drogą przechodził wędrowiec i ulitował się nad nieszczęśnikiem. Wziął w dłonie gałązkę i odgonił muchy. „Po co to zrobiłeś?! – szepnął cierpiący. – Przecież te muchy, które już siedziały na ranie, były najedzone, a teraz przylecą głodne muchy i te dopiero sprawią mi ból".

– Po co pan opowiada mi tę historię?

– Ona dotyczy naszych wyborów. Tego, co wydarzyło się kilkanaście dni temu, i tego, co jeszcze nas czeka. Nie tylko zresztą w Polsce.

– Nie widzę czytelnych analogii.

– Jeśli zrozumie pan moją opowieść, to pojmie pan także, dlaczego w dużych miastach zazwyczaj zwyciężyli ci, którzy do tej pory tam rządzili. Ludzie wolą najedzone muchy, wiedzą, czego można się po nich spodziewać, obliczają swoje plany życiowe w oparciu o znajomość owadziej psychologii najedzonych much.

– To znaczy, że nic się nie zmieni?

– Raczej niewiele. Bo trzeba byłoby dużo pozmieniać, aby cokolwiek się zmieniło. Przede wszystkim trzeba byłoby wyleczyć ropiejące rany.

– Sporo jest cynizmu w tym, co pan powiada. Przecież nie wszyscy działają tylko ze względu na spodziewane korzyści. Nie wszyscy też lokują swoje cele jedynie w powiększaniu materialnego posiadania. Istnieją altruiści, idealiści, Judymowie i cała rzesza ludzi uczciwych, chcących poprawić warunki, w jakich żyją ich bliźni.

– Sęk w tym, że ich diabeł nabiera najłatwiej.

– A to i z diabłem mamy tu sprawę?

– A jak pan myślał? Przecież on jest ojcem ran.

– To w takim razie kto dowodzi muchami?

– Jeżeli znajdzie pan odpowiedź na to pytanie, to jednocześnie zrozumie pan naturę tego, co nazywamy prawdziwymi sprężynami polityki.

– Pan tego nie wie?

– Gdybym wiedział, napisałbym książkę, która zmieniłaby świat.

– Napisał pan już niejedną książkę i w żadnej z nich nie było choć krztyny tej prawdy?

– Gdybym napisał prawdę, już byśmy nie rozmawiali.

– Rozumiem. Zatem nadal będę skupiał się na odganianiu much z rany.

Starszy mężczyzna ciężko podniósł się z ławki.

– Powodzenia, choć wydaje mi się, że obaj straciliśmy ostatni kwadrans.

Długo spoglądałem na jego nierówny, chory, sposób chodzenia. W pewnej chwili zniknął mi z oczu... Zabrałem się do pisania przeterminowanego felietonu.

Sto lat dla Niepodległej!



Lech Makowiecki

Nietaktem jest wznoszenie toastu „Sto lat!" na urodzinach stulatka. Dziś, gdy dostojnym jubilatem jest nasza ojczyzna, odnoszę wrażenie, że niektórzy z fetujących Niepodległą postępują w myśl zasady: sto lat i... wystarczy.

Tumiwisizm części młodego pokolenia poraża, brakuje podstawowej wiedzy na temat najnowszej historii i procesów wpływających na losy świata. Postkomuna, „nowocześni inaczej" i pseudoliberałowie (zwani totalną targowicą) na wyścigi zrzekają się suwerenności Polski, bez żalu rezygnując z naszego narodowego dziedzictwa i wypracowanego tu przez wieki świata wartości. Ludzie szczerze zatroskani o losy kraju nie są dopuszczani do głosu. Rząd dusz dzierży mainstream (czyli tzw. Europejczycy), sowicie opłacany z lewa (UE, Soros, łże-media) i z prawa (dotacje, granty, stypendia). To celebryci, artyści, twórcy, dziennikarze, „tęczowi" i „pożyteczni idioci". Ton debacie nadają kosmopolityczne pięknoduchy, gotowe bezrefleksyjnie złożyć kraj na ołtarzu europejskiego zjednoczenia. I zgodzą się na każdą głupawkę, ochoczo wdrażając zbiorowe samobójstwo, jakim jest zabójczy miks: multikulti, islamskiej migracji i LGBT.

Nie udało się wrogom (zaborcom, niemieckim okupantom, sowieckiej Rosji) zdemoralizować ani ogłupić Polaków. Załatwił to dopiero wprowadzony po okrągłym stole antydekalog z jedynym przykazaniem: „Róbta, co chceta!". Dlatego dziś każdy Marsz Niepodległości ma swój antymarsz. Każda patriotyczna inicjatywa oskarżana jest przez „obrońców wolności wszelakich" o faszyzm, rasizm i ksenofobię. Każdy przejaw religijności okrzyknięty zostaje ciemnogrodem...

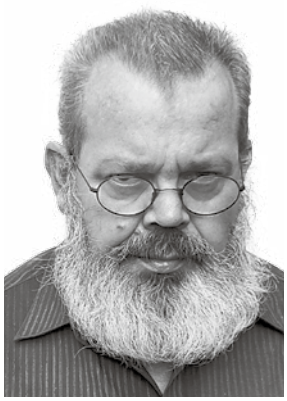
PS Polska sztuka, która rozkwitła podczas zaborów, stanowi dziś najważniejszą część naszego dorobku kulturalnego. Nie było wtedy ani Polski, ani nawet MKiDN. Cały XIX-wieczny romantyzm powstał oddolnie, jako odtrutka na nasze zniewolenie. Czy my naprawdę – by tworzyć ponadczasowe dzieła o umiłowaniu ojczyzny – znowu musimy utracić niepodległość?

eprasa.pl e3b98bc95b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Została nam wspólnota cmentarzy

Dzień Wszystkich Świętych, niegdyś przez tuby komunizmu nazywany Świętem Zmarłych, to czas zupełnie szczególny. Nigdzie na świecie nie widziałem na cmentarzach tylu zniczy zapalanych jednocześnie i tworzących nad miastami łunę jasności. Łunę życia, które tu, na ziemi, się skończyło, ale jak energia w fizyce nigdy nie znika, tak naprawdę jest wieczne. Kiedyś usłyszałem od całkiem młodego człowieka, że wierzy w życie wieczne, bo skoro Bóg stworzył komórki, kwanty, elektrony, kosmos i cudowny mechanizm żywego, a zwłaszcza ludzkiego organizmu, a to wszystko działa sensownie, to dlaczego miałby stworzyć bezsensowną śmierć. Nawet jeśli chwilowo sensu śmierci nie rozumiemy, to nie znaczy, że on nie istnieje. Musimy jeszcze tylko trochę poczekać.



Aleksander Nalaskowski

Śmierć nie ma koloru, nie ma zapachu, nie ma też poglądów. I dlatego właśnie cmentarze jednoczą

Żyjemy w czasach Apokalipsy. Św. Jan spisał ją na wyspie Patmos około dwóch tysięcy lat temu. Od tego czasu rumaki jeźdźców się zmęczyły, nie cwałują, już tylko pełzną. Stąd i nasza Apokalipsa jest pełzająca. Nie widzimy jej, jak nie widzimy ruchu wskazówek zegara, ale wystarczy, że spojrzymy nieco wstecz i przez porównanie zobaczymy jej postęp. Zobaczymy kolejne zniszczone, obrócone wniwecz rejony. Rewiry beznadziei i anihilacji wszystkiego. Apokalipsa już zniszczyła ludzki wstyd, zniszczyła język prawdy, płciowość, normalność, podpaliła Kościół i ustawiła na krawędzi ognia wielu ludzi, liczne instytucje, idee. Zbiera swoje żniwo tak pomału, że aż niedostrzegalnie. Nie potrafimy, jak rozsypanych puzzli, ułożyć ich w całość. Liczymy więc tylko sukcesy albo „sukcesy", bo suma klęsk i porażek staje się niepoliczalna, taki rachunek byłby zapewne politycznie niepoprawny. Ta zamiana Europy w tonącą Atlantydę trwa, a my nawet nie próbujemy budować szalup, o arkach nie wspominając. Tak pięknie toniemy, myśląc, że to cudne jacuzzi.

Nasza Polska pocięta skalpelem (skalpelami?) podziałów jest już chyba nie do sklejenia. Ale jeszcze jesteśmy w stanie się zjednoczyć, lecz tylko wokół śmierci. Tej śmierci, która już nastąpiła, już nas zraniła, którą już opłakaliśmy. Śmierć nie ma koloru, nie ma zapachu, nie ma też poglądów. I dlatego właśnie cmentarze jednoczą. Tam podziały polityczny, ideologiczny czy światopoglądowy nie mają wstępu, bo i nie mają sensu. Tam jesteśmy jeszcze naprawdę razem. Chyba tylko tam. Bo już nigdzie indziej.

Cmentarze to chyba największe nagromadzenie krzyży w Polsce i zbiorowe wyznanie wiary. Ilu działaczy lewicy, doczesnych ateistów, grzeszników ma na mogile krzyż? Prawie żaden z nich ani spośród tych, którzy ich odprowadzali, nie miał odwagi powiedzieć krzyżowi „nie". W chwili ostatecznej ich wątpliwości w wierze zawsze przemawiały „na korzyść" Boga. Czyż krzyż to tylko dekoracja grobu? Na cmentarzach jesteśmy naprawdę razem, ocieramy się o ostateczność, gromadzimy się wokół jednego, wyobrażonego krzyża zbudowanego z wszystkich krzyży nagrobnych. To nasza siła. Nawet jeśli teraz jej nie dostrzegamy, nie chcemy dostrzec albo jeśli to wszystko uznajemy zaledwie za rytuał, to i tak na cmentarzu głośno wybrzmi ostatni wers z „Nie-boskiej komedii" Krasińskiego – „Galilee, victis!". Cmentarze to ostatni bastion doczesności, sporów, pychy i mamony. Ale pod nagrobkami jest już tylko wieczność. I tę zapowiada właśnie krzyż. Niepojęta ludzkim rozumem wieczność zaczyna się właśnie od niego. Bo nadzy przyszliśmy, nadzy odejdziemy. Bez naszej władzy, aut, domów, dzieł. One wszystkie zostaną na powierzchni, tylko trochę będą jeszcze trwać, ale nas to już nie będzie interesować. A kto chce zobaczyć, jak wygląda cmentarz bez Boga, niechaj jedzie chociażby do Pragi. Niech spojrzy na nieodebrane przez najbliższych urny z prochami matek, ojców, dziadków. Tam widać, jak umiera nadzieja. A śmierć nadziei to śmierć absolutna i doskonała.

I to wiemy, stojąc z zapalonymi zniczami pamięci, to wiemy, spotykając się wokół grobów matek, ojców, braci i sióstr. Ceńmy to i nie dajmy sobie tego ostatniego uścisku naszej jedności rozerwać. Póki jeszcze gdzieś umiemy być razem, to cały czas jest nadzieja, że możemy być razem wszędzie. Tylko potrzebny nam krzyż. Ten najprostszy i najgłębszy ze znaków. Jeśli żywi nas już tylko dzielą, to niech nas we wspólnotę połączą umarli. Dajmy im tę szansę, zanim pełzająca Apokalipsa podzieli nas na piekło i niebo. Zanim podzieli nas już na zawsze.

eprasa.pl e3b98bc95b

PRZEZ ŚWIETLIK

PiS przegrało ankietę

Ostatnich kilka dni spędziłem za oceanem, przeglądając archiwa powywożone z naszego kraju. Nieco więcej o tym będą państwo mogli poczytać wkrótce na stronach internetowych Polskiego Radia. Ale jako aperitif mogę podać, że miałem przyjemność zapoznać się choćby z pocztówką z początku 1989 r. wysłaną przez dwa lata młodsze ode mnie dziecko, dziewczynkę, do rzecznika prasowego rządu. Dziewięciolatka życzyła panu Jerzemu wszystkiego najlepszego i deklarowała się jako fanka jego audycji. Wszystko to pół roku przed wyborami czerwcowymi i całkiem na poważnie.



Wiktor Świetlik

Jakoś ta wzruszająca kartka przypomniała mi się, kiedy przypadkowo zacząłem przeglądać strony internetowe portalu NaTemat.pl, który kiedyś założyła paczka Tomasza Lisa przy owocnym wsparciu opanowanych przez Platformę Obywatelską spółek skarbu państwa. Portal ten nadal istnieje, nie jest raczej wart codziennej kwerendy, ale trzeba przyznać, że nieprzeglądany od dłuższego czasu przynosi sporo śmiechu.

Oto np. mamy badania, z których wynika, że Prawo i Sprawiedliwość wygrało nie wybory, ale opowiadanie o wyborach, bo kłamliwie – zdaje się – wmówiło Polakom, że owe wybory wygrało. Wszystko na podstawie odpowiedniego sondażu dotyczącego tego, „kto zdaniem Polaków wygrał wybory". Od tej pory także po wyborach prezydenckich można by robić sondaż. Ewentualnie w ogóle ich wynik musiałby być zatwierdzany sondażem, mógłby być przeprowadzany na jednoosobowej próbie wyborczej wybitnego publicysty o trzyliterowym nazwisku.

Od tej pory także po wyborach prezydenckich można by robić sondaż. Ewentualnie w ogóle ich wynik musiałby być zatwierdzany sondażem

Ale przejdźmy dalej. Reporter, a nawet, nie bójmy się tego słowa, reportażysta NaTemat.pl dostał się na spotkania wyborcze Beaty Szydło i Roberta Biedronia. Dlaczego akurat tych polityków? „Odpowiedź jest prosta: oboje deklarują, że chcą być bliżej ludzi. Beata Szydło, przynajmniej na papierze, jest w rządzie odpowiedzialna za sprawy społeczne. A Biedroń? Faktycznie jest między ludźmi. W swojej karierze jako samorządowiec odbył już wiele podróży i spotkań w całej Polsce: od malutkiej Gołdapi do ogromnej Warszawy".

W całej dość przydługiej analizie porównawczej Biedroń pod każdym względem wypada wspaniale, a była premier fatalnie. Cała sytuacja zasługuje na nieco przewidywalne podsumowanie: „Można śmiało przyznać, że energia, otwartość, poczucie humoru i dialog są symbolami nowoczesnego polityka. Dzięki nim to Robert Biedroń wypada lepiej w zestawieniu z wieloma innymi politykami, chociażby właśnie ze wspomnianą Beatą Szydło. Można się spierać, że przecież to różnica charakterów, temperamentów – owszem, pewnie tak jest. Ale nadal polityk musi mieć i jedno, i drugie, zwłaszcza jak chce być dobrym liderem".

Skoro Biedroń taki wspaniały, a pani Beata taka beznadziejna, to dlaczego było w wyborach, jak było? Ach, sorry, to tylko zmanipulowani ankietowani tak twierdzą, tak naprawdę wygrali je Ewa Kopacz z Janem Vincentem, a nominat Platformy nadal jest szefem Orlenu, na którym są pyszne, swojskie parówki.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA





51/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b

Postęp w mrokach kłamstw



Jerzy Jachowicz

Od pierwszych dni tego tygodnia ruszy z kopyta akcja Koalicji Obywatelskiej pod tajnym kryptonimem „Kaganek postępu". Oficjalna jej nazwa brzmi: „Spotkania z ciekawymi Polakami". Celem akcji jest dokonanie wstrząsu kulturowego wśród mieszkańców żyjących w tych regionach kraju, w których w wyniku zaniedbań cywilizacyjnych wyborcy tamtych województw, powiatów i gmin w ostatnich wyborach samorządowych oddali swoje głosy na Prawo i Sprawiedliwość.

Pogłębiona analiza kierownictwa KO wskazała przyczyny tak niekorzystnego dla opozycji politycznej wyniku wyborów, szczególnie w miasteczkach i na wsiach. Inaczej mówiąc – ustalono, gdzie leży pies pogrzebany.

Z analizy wyłonił się przerażający obraz części polskiego społeczeństwa, w którym na co dzień zagnieździły się – niczym trujące zarazki – przesąd i zabobony polityczne jako przejawy ciemnoty i zacofania, serwowanych tym biednym ludziom przez polityków rządzącej partii i służalcze im media. Biednym głównie dlatego, że opuszczonym przez światłe elity państwa, co doprowadziło ich – jak to ujęła Ewa Kopacz – do „wtórnego analfabetyzmu politycznego".

Zanim skompletowano listę osób, którym powierzono zadanie podciągnięcia zagubionych ludzi na właściwy poziom kultury i świadomości politycznej, sprawiających, że staną się pożytecznymi wyborcami, było trochę zamieszania.

Przewodniczący KKK (Koalicyjnej Komisji Kwalifikacyjnej) Jerzy Jachowicz odrzucił kandydaturę Katarzyny Lubnauer, która zapaliła się, by wziąć udział w tej zaszczytnej akcji. Szef Komisji swoją opinię zawarł w dwóch krótkich zdaniach: „Zbyt niskie kwalifikacje intelektualne. Wiedza to nie wszystko".

Oto trójka pierwszych koryfeuszy, wszyscy z tytułami profesorskimi, którzy rozpoczną przywracanie Polsce (a i Europie) mieszkańców południowych i wschodnich regionów kraju.

Małgorzata Fuszara – temat: „O przemianie ról społecznych oraz płci kobiet i mężczyzn". Magdalena Środa – „Rola Kościoła katolickiego w stymulowaniu przemocy wobec kobiet". Wojciech Sadurski – „Kogo z PiS postawić przed Obywatelskim Trybunałem Stanu?".

CO MNIE ZASTANAWIA

Smutne wspomnienia



Katarzyna Łaniewska

W pierwszych dniach listopada wspominamy tych, który odeszli na wieczną wartę.

W tych dniach wraca do mnie wiersz ks. Twardowskiego: spieszmy się kochać ludzi. Spieszmy się z nimi spotkać, spieszmy się porozmawiać o trudnych sprawach. W chaosie, bieganiu, ciągłej pracy nie znajdowaliśmy na to czasu, a on mija nieuchronnie. Ile nieodbytych telefonów, ile urażonej ambicji, że skoro on nie dzwoni, to ja też nie będę. A może trzeba wyciągnąć rękę i znaleźć czas?

Przecież w najbliższej rodzinie czasem nie możemy pytać, o co chodzi, jak są jakieś niesnaski. Mówimy: „To nieważne, nie ma o czym mówić". A jest o czym, bo lepiej sobie wszystko wyjaśnić. Spotkać się i dowiedzieć się, o co danej osobie chodziło. Oczywiście życie biegnie jeszcze szybciej, niż kiedy byłam młoda, a pracowałam często i intensywnie. Do tej pory żałuję, że nie dopytałam się o pewne sprawy dotyczące mojego ojca. Nie wszystko wiem. Wiem, że był w legionach, był działaczem spółdzielczym, został zamordowany w Oświęcimiu przez Niemców. Jego samego niewiele pamiętam i o wielu rzeczach już się od mamy nie dowiem. Czasami ktoś z młodszej rodziny mnie pyta, a ja nie wiem, jak odpowiedzieć i nie mam się do kogo zwrócić.

Nie mogę zapomnieć babci, która mnie wychowywała. Leżała chora w łóżku, zajmowałam się nią. Mówiła do mnie: „Zostań, Kasiu zostań", ja byłam umówiona z koleżankami. „To idź" – odpowiedziała. Może wtedy powinnam zostać, bo dla niej było to ważne. Takich spotkań, nieodbytych rozmów i telefonów mamy mnóstwo w naszym życiu.

Sama chciałabym opowiadać o swoich przeżyciach młodszemu pokoleniu rodzinnemu. Wiem, że są bardzo zajęci, że nie bardzo mają czas. Może teraz ich to nie interesuje, ale czy kiedyś nie będą żałować?

Ważne jest, że pamiętamy o cmentarzach. Może to i ważne dla tych po drugiej stronie? Często zastanawia mnie, co nas tam czeka, czy będziemy mogli czuwać nad tymi, którzy zostali po tej stronie. To wszystko jest wielką niewiadomą, kiedy nadejdzie ostateczny rachunek z życiem. Dla niektórych jest to wielką wiarą, a dla innych wielką tajemnicą.

Autopromocja

eprasa.pl e3b98bc95b

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **ORLĘTA NIEPODLEGŁEJ**
  1918: Jak Polacy wywalczyli wolną ojczyznę?
- **POLSCY BONDOWIE**
  Rodzina Kowalewskich – geniusze wywiadu
- **OSIEM WSPANIAŁYCH**
  Historia pierwszych posłanek Niepodległej



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Marsz z przeszkodami

Wspólny marsz stulecia Niepodległej przerasta możliwości Polaków Anno Domini 2018



Ryszard Makowski

Wygląda na to, że marsz 11 listopada nie będzie na miarę naszej dumy narodowej. Ciężka praca mącicieli daje gorzkie owoce akurat w tym podniosłym momencie. Przekaz jest prosty: trzymajcie się od tego marszu z daleka, bo tam się otrzecie o Ruch Narodowy, ONR albo Młodzież Wszechpolską. MW powinna być traktowana przez michnikowszczyznę z atencją. Wydała takiego tuza jak Roman Giertych. Na Westerplatte premier Mateusz Morawiecki wezwał: „Pójdźmy razem w jednym marszu niepodległości". Wiatr od morza powiał optymizmem, ale na krótko. PiS zrezygnowało z marszu.

Rzeczniczka Beata Mazurek tłumaczyła absencję: „Chcieliśmy, by nas wszystkich łączyły wyłącznie biało-czerwone barwy, na co niestety nie zgodzili się organizatorzy". Pan prezydent wycofał się, bo ma tego dnia za dużo obowiązków. Warunki flagowe są niedorzeczne. Organizatorzy mają się szarpać z kimś z flagą unijną albo tęczową? Z nim nie. Biało-czerwony wymóg to ocenzurowanie flag ONR ze znakiem falangi. Tylko jeden drobiazg. ONR działa legalnie, a znak falangi nie jest zakazany. Co najistotniejsze, większość uczestników marszu nie ma nic wspólnego z żadną ideologią. Chcą się radować Niepodległą. Nikt im lepszego marszu od lat nie proponuje. Rejterada polityków ze strachu, że ich okrzykną faszystami, rasistami... to przyznanie, że u nas de facto rządzą podłe fake media, a to smętna konstatacja na 100-lecie. Można to jeszcze zmienić.

eprasa.pl e3b98bc95b

***Zawistowski prezentuje:* Smok**



Wycinki z przeszłości

Gdy Polski nie było na mapie, Tadeusz Kościuszko symbolizował niezgodę na rozbiory. To jego insurekcja odsunęła widmo hańby, jaką byłby brak sprzeciwu wobec likwidacji naszej państwowości. W „Tygodniku Narodowym" z 1913 r. znajdujemy taki wiersz:

– Co to za obraz, matko, na ścianie?
Rycerz z pałaszem w chłopskiej sukmanie,
Czworograniasta czapka na głowie,
Powiedz mi, matko, jak on się zowie?
– Zaraz ci powiem, moje serduszko,
To jest nasz rodak sławny Kościuszko.
– Czy żyje jeszcze? Umarł od dawna,
Ale cześć jego taka jest sławna,
Że dziś w obrazach ozdabia ściany
Panów i kmiotków, bo wciąż kochany,
I żaden Polak jego imienia
Już nie wypowie dziś bez wzruszenia.
– Jakie ma imię? – On Tadeusza
Imię to nosił; piękna to dusza,
A miłosierny, jak rzadko który,
Walczył za Polskę, wrogów bił z góry,
Aż sam spadł z konia, krwią swą zalany,
Oto wiesz teraz synu kochany.

X. Tomicki

(mk)



Ilustracja pochodzi z książki „Dzieje insurekcji kościuszkowskiej". Napisał Kazimierz Bartosiewicz. Wiedeń. Nakładem Franciszka Bondego ok. 1900 r.

Polonez listopadowy



Leszek Długosz

Jak piękna, czysta
Łopoce
I zachwyca
Biało-czerwona
Na tle błękitu października
Ze złotym już nalotem
Listopada
Ponad wawelskim wzgórzem
Flaga...
Wyniosła, prosta
Niczym by fraza mickiewiczowska
Lub Chopin jakby ponad nami
Obdarowywał z nieba nas
Polonezami
– Wyniosła, swojska
Na wietrze śpiewa
Chorągiew polska
Lecz dla nas jeszcze
W serc pamiętaniu
Do drzewca tego niech dołączają
Wszystkie, co przez stulecia
Tęskniły
Biegły do upadu
Śniły o takiej rezurekcji chwili
Szły w bój,
Na zsyłki, w tiurmy, na Sybiry
Na wszystkie poniewierki
Po wszystkich krańcach ziemi
Ściszane kneblem
Strzałem w potylicę
Zabite, nieuległe
W piach padające
Z wiarą
Że przecież – oni tam
Za nami, po nas...
Że jest i trwa:
„Póki my żyjemy..."
To ona dzisiaj
– Z wszystkimi, co się nad Wawelem
W tę jedną oto zbiegły
Biało-czerwona
Jedenastolistopadowa
Wysoko uniesiona
Sercom i spojrzeniom naszym
Łopoce
– W niebo i światu śpiewa
Duma i chwała
Znak i zawołanie
Zadanie
Zadane dzisiaj nam

(Kraków, październik/listopad 2018)

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl e3b98bc95b

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dwa marsze

W ostatnią sobotę października 2018 r. w siedzibie Fundacji Polska Wielki Projekt otwarto wystawę niecodziennych prac Andrzeja Krauzego – zwykle kojarzonego z rysunkami satyrycznymi. Wystawę w większości tworzą frapujące niepokojem rysunki i wycinanki z czarnego papieru przedstawiające drzewa. Jednak choć przebogata jest symbolika drzewa, to nie o wystawie chcemy pisać, lecz o refleksji, do której sprowokowała. Krauze, jak sam wspomniał, stworzył rysunki i wycinanki drzew przy okazji rekonwalescencji po chorobie. Mało pogody jest w tych pracach. Zwłaszcza wycinanki drzew o chaotycznych konarach kojarzą się ze złowieszczym lasem z baśniowych opowieści – taki las choć budzi lęk, wciąga jak wir.



Cyfrowe lojalności coraz bardziej wypierają pokoleniową transmisję kodów kulturowych

WIRY CYFROWE

Wiry – jak wiadomo – pochłaniają. Metaforą wiru cyfrowych stymulacji posłużył się niedawno wybitny historyk (choć może raczej eseista) Timothy Snyder. Swój wykład zatytułowany „W obronie historii" zaczął od spostrzeżenia, że umysły współczesnych, zwłaszcza zaś ludzi młodych, przechwytuje internet, który jest wirem nieustających cyfrowych pobudzeń. Liczne atrakcyjności świata cyfrowego powodują niewrażliwość nie tylko na ludzką, w tym naszą polską, historię, lecz także na to, co się dzieje bezpośrednio między ludźmi w każdej ich teraźniejszości.

ZRYWANIE CIĄGŁOŚCI

Jeśli przyjąć, że cywilizacje możliwe są przede wszystkim dzięki ludzkiej zdolności do odraczania przyjemności (na łamach naszego tygodnika pisał o tym Bronisław Wildstein), to cyfrowy świat natychmiastowych gratyfikacji – klikasz i od razu masz efekt – jest głęboko antycywilizacyjny. Oducza wytrwałości i dyscypliny, utrudniając budowę więzów instytucjonalnych, które ludzki wysiłek kumulują.

Nawet w kręgach liberalnej poprawności coraz otwarciej dyskutuje się o przynoszącej niepewność wojnie kulturowej, która toczy się w Europie. Mówiąc w uproszczeniu, walczą z sobą Europa laicka i „oświecona", nowoczesna z tą Europą, która pamięta chrześcijańską wizję wspólnoty i która uważana jest za zacofaną, zbyt zamkniętą. Rzadko jednak eksponuje się problem chyba najistotniejszy.

Czy niestabilność – przecież nie tylko kulturowa, także gospodarcza i polityczna – nie staje się czymś więcej niż tylko przejściowym stanem? Czy nie następuje głębokie zerwanie ciągłości dziejów ludzkich? Do tej pory przełomy rozwojowe, cywilizacyjne były wprawdzie pewnego rodzaju naderwaniami ciągłości, ale jednak nie były to zerwania totalne.

Rozwój technologiczny wytworzył nową cyfrową rzeczywistość, zaburzył tradycyjne pojmowanie przestrzeni, czasu, relacji, tożsamości. Wir internetowych pokus jest silniejszy niż tradycyjne nauczanie rodziny i szkoły. Cyfrowe lojalności coraz bardziej wypierają pokoleniową transmisję kodów kulturowych.

Ten proces kontrcywilizacyjny przykrywa bieżąca polityka, walka o władzę, o jej utrzymanie, forsowanie takiej, a nie innej wizji rozwoju państwa. Gdy dotrzemy do sedna problemu, którym jest polityczna, wyborcza gra o Polskę, to w istocie chodzi o groźbę głębokiego zerwania ciągłości z polskością.

TRWA ORSZAK

Przez Polskę idą dwa marsze. Można tak mówić, nie tylko dzięki deklaracji Grzegorza Schetyny, że opozycja totalna rozpoczęła „długi marsz po zwycięstwo". Na pewno trwa czarny marsz totalnej opozycji. Oraz całkiem inny marsz, który można zamknąć w formule odbywającego się od kilku lat kongresu – „Polska Wielki Projekt".

Czarny marsz – wyjściowo proaborcyjny, za prawami kobiet, dla wielu przeciw PiS, staje się także marszem przeciw życiu, przeciw tradycji oraz naturze.

Tymczasem wizja Polski jako nieustającego Wielkiego Projektu, kierując wzrok ku przyszłości, podkreśla odpowiedzialność za stałe niesienie dziedzictwa, które zobowiązuje. Do odpowiedzialności za przyszłe pokolenia, za przekazywanie kanonu kultury, ram tożsamości.

Obok marszu do hiperwolności i superindywidualizmu („Don't worry, be happy"), marszu w istocie donikąd, trwa orszak rozpoczęty ponad tysiąc lat temu.

Gdy opozycja symbolem czyni walkę o Puszczę Białowieską, zapomina, że drzewa potrzebują silnych korzeni.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 11/1018/F

eprasa.pl e3b98bc95b

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności

tygodnika SIECI



VI EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz szósty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2017

Prezes Trybunału Konstytucyjnego **Julia Przyłębska**



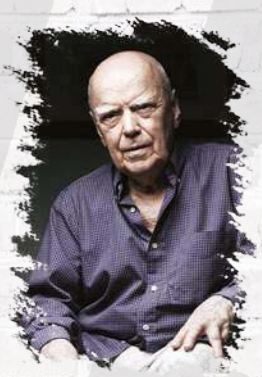
2016

Prezes PiS **Jarosław Kaczyński**



2015

Prezydent RP **Andrzej Duda**



2014

Poeta i pisarz **Jarosław Marek Rymkiewicz**



2013

Historyk z IPN **prof. Krzysztof Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2018**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 30 listopada 2018 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".
Głosować można również na **www.wsieciprawdy.pl**. Tam też dostępny jest regulamin plebiscytu.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2018 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2018 tygodnika Sieci" przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2018 tygodnika Sieci".

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis . . . . . .

Partner plebiscytu ORLEN

Organizator plebiscytu SIECI

eprasa.pl e3b98bc95b

GRAJ W ZAKŁADY SPECJALNE!

Typuj 5 liczb z 45, wygrywaj już za trafienie 3 liczb!

Losowanie 10 listopada 2018 r.

Grając, wspierasz Program Stypendialny „100 na 100”
dla najzdolniejszych studentów.
www.fundacjalotto.pl/100stypendiow





niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl e3b98bc95b